

**roald dahl**  
**WUJ OSWALD**

Przełożył ANDRZEJ GRABOWSKI

Krajowa Agencja Wydawnicza Warszawa 1989

Tytuł oryginału My Uncle Oswald

Redaktor Anna Brzezińska

Projekt okładki i ilustracje Krzysztof Tyszkiewicz

Redaktor techniczny Teresa Kowalicka

Korekta

Małgorzata Lewandowska

Jadwiga Wójcik

© Copyright by Icarus S A, 1979

© Copyright for the Polish edition by Krajowa Agencja Wydawnicza,  
Warszawa 1989

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Grabowski, Warszawa  
1989

RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH” KRAJOWA AGENCJA  
WYDAWNICZA WARSZAWA 1989

Wydanie II. Nakład 100 000+260 egz.

Objętość, ark. wyd. 11.60, ark druk. 10.125

Skład: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Zakłady Graficzne Piła

Druk i oprawa Opolskie Zakłady Graficzne Opole.

ul Niedziałkowskiego 8 12 Zam. 105 10 1 89 1'-68

Nr prod. X-I3 335 88

ISBN 83-03-02657-7

*Ach, jak ja lubię się migdalić!*

1.

Ponownie wzbiera we mnie chęć, by jeszcze raz uczcić pamięć mojego wuja Oswalda. Mam naturalnie na myśli nieboszczyka Oswalda Hendryksa Corneliusa, znanego jako koneser, bon vivant, kolekcjoner pajaków, skorpionów i lasek, miłośnik opery, znawca chińskiej porcelany, uwodziciel i największy rozpustnik wszechczasów. Wszyscy bez wyjątku słynni pretendenci do tego tytułu wydają się śmiesznie mali i niepozorni, gdy zestawia się ich osiągnięcia z wyczynami mojego wuja. Zwłaszcza zaś Casanova niebożę. Przy moim wuju wygląda on na takiego, któremu poważnie szwankuje instrument.

Mija piętnaście lat od chwili, kiedy w 1964 roku po raz pierwszy opublikowałem krótki fragment pamiętników wuja Oswalda. Zadałem sobie podówczas trud wybrania czegoś, co nie obraziłoby nikogo, a epizod

ów dotyczył, jak Państwo może pamiętać, niewinnego, acz frywolnego opisu obłąpanki mojego wuja z pewną trędowatą na pustyni synajskiej.

Obyło się bez kłopotów. Odczekałem jednak bite dziesięć lat (do roku 1974), nim podjąłem ryzyko opublikowania drugiego fragmentu. I tym razem dobrałem starannie taki ustęp, który - przynajmniej w oczach mojego wuja - nadawałby się niemal do odczytania przez pastora w wiejskiej szkółce niedzielnej. Fragment ten dotyczył odkrycia perfum o tak silnym działaniu, że mężczyzna, który Je poczuł od kobiety, nie był w stanie oprzeć się żądzy i natychmiast ją zaspokajał.

Opublikowanie tej błahostki nie wywołało reperkusji sądowych. Owszem, odbiło się ono wielokrotnym echem, ale gdzie indziej. Zostałem nagle zasypany setkami listów, które nie mieściły się w mojej skrzynce, a w których czytelniczki domagały się choć kropli cudownych perfum wuja Oswalda. Z tą samą prośbą zwrócili się do mnie listownie niezliczeni mężczyźni, w tym wyjątkowo niesympatyczny afrykański dyktator, angielski lewicujący minister oraz pewien kardynał. Książę z Arabii Saudyjskiej zaproponował mi ogromną sumę w walucie szwajcarskiej, a któregoś popołudnia zjawił się u mnie facet z CIA, w ciemnym garniturze i z walizką pełną studolarówek. Oświadczył, że perfumy wuja Oswalda z powodzeniem będą się nadawać do skompromitowania co znaczniejszych rosyjskich dyplomatów i mężów stanu oraz że jego przełożeni chcą wykupić przepis na ich wytwarzanie.

Ponieważ niestety nie miałem ani kropli cudownego płynu wuja, którą mógłbym sprzedać, sprawa na tym się skończyła.

Obecnie, w pięć lat po opublikowaniu opowieści o perfumach, postanowiłem uchylić przed czytelnikami kolejny rąbek tajemnic bujnego

życia mojego krewniaka. Wybrany przeze mnie fragment pochodzi z tomu XX, spisanego w roku 1938, kiedy wuj Oswald miał czterdzieści trzy lata i był w kwiecie wieku. Zostało w nim wymienionych z nazwiska wiele znanych osobistości, przez co niewątpliwie bardzo się narażam ich rodzinom i przyjaciołom, którzy mogliby poczuć się dotknięci niektórymi stwierdzeniami mojego wuja. Pozostaje mi tylko modlić się o to, żeby zainteresowani okazali dla mnie pobłażanie i zrozumieli, że kierują mną wyłącznie czyste pobudki. Jest to bowiem dokument o znacznej wartości naukowej i historycznej. Byłoby zatem niepowetowaną stratą, gdyby nie ujrzał światła dziennego.

Oto więc zapowiedziany fragment z XX tomu pamiętników Oswalda Hendryksa Corneliusa, przytoczony słowo w słowo za jego autorem:

Londyn, lipiec 1938

Właśnie powróciłem z owocnej wizyty w fabryce Lagonda w Staines. W.O. Bentley przyjął mnie lunchem (łosoś z Usk i butelka Montracheta), podczas którego omówiliśmy specjalne wyposażenie mojego nowego samochodu Lagonda V 12. Obiecał mi komplet trąbek, które wygrywają idealnie czysto mozartowską arię „Son gia mille e Tre”. Niektórzy z czytelników mogą to uznać za nader dziecinny kaprys, dla mnie jednak, ilekroć naciśnę klakson, jest to miłe i budujące przypomnienie, że poczciwy Don Juan pozbawił wianka raptem tysiąc trzy hoże hiszpańskie dziewczeczki. Poleciałem Bentleyowi, żeby fotele w samochodzie obito delikatną, drobnoziarnistą krokodylą skórą, a jego wnętrze wyłożono cisem. Dlaczego cisem? Otóż dlatego, że po prostu lubię kolor i układ słoików angielskiego cisu ponad wszelkie inne drewno.

Nadzwyczajny człowiek ten Bentley. W jego osobie wytwórnia Lagonda zyskała prawdziwy skarb. Z drugiej strony to smutne, że tego, kto zaprojektował i użyczył swojego nazwiska jednemu z najpiękniejszych samochodów świata, zmuszono do ustąpienia z własnej firmy i rzucono w ramiona konkurenta. Oznacza to jednak, że nowe Lagondy nie mają sobie równych w świecie i na przykład ja nigdy bym sobie nie sprawił innego auta. Ale mój nowy wóz nie będzie tani. Nigdy bym nie przypuszczał, że samochód może tyle kosztować.

Kto by tam jednak dbał o pieniądze? Na pewno nie ja, bo zawsze miałem ich w bród, swoje pierwsze sto tysięcy zarobiłem jako siedemnastolatek, a potem jeszcze więcej. Po napisaniu tych słów przypomniało mi się, że przecież nie wspomniałem jeszcze w pamiętnikach, w jaki sposób stałem się bogaty.

Pora chyba, żebym tym się zajął. Myślę, że właściwa. Bo chociaż te pamiętniki mają być dziejami sztuki uwodzenia i rozkoszy kopulacji, nie byłyby pełne, gdybym nie wspomniał o sztuce robienia pieniędzy i płynących stąd przyjemnościach.

A więc dobrze. Przekonałem się do tego. Dlatego od razu opowiem, jak zabrałem się do robienia pieniędzy. Gdyby jednak niektórych z Państwa kusilo, żeby pominąć ten fragment pamiętników i od razu przejść do pikantniejszych opisów, to zapewniam, że następne strony będą obficie doprawione pieprzem. Inaczej pisać nie potrafię.

Jeżeli ktoś nie dziedziczy wielkich bogactw po przodkach, to może do nich dojść wyłącznie w czworaki sposób: dzięki matactwom, talentowi, genialnym pomysłom i szczęściu. Ja doszedłem do swojej fortuny dzięki połączeniu wszystkich tych czterech elementów. Czytajcie uważnie, a

pojmiecie, w czym rzecz.

W roku 1912, mając zaledwie siedemnaście lat, uzyskałem stypendium na wydziale nauk przyrodniczych w Trinity College w Cambridge. Byłem młodzieńcem nad wiek rozwiniętym i egzamin na studia zdałem na rok przed terminem. Ponieważ do Cambridge mogli mnie przyjąć dopiero wtedy, gdy ukończę osiemnaście lat, miałem zatem przed sobą dwanaście wolnych miesięcy. Dlatego ojciec mój postanowił, że powinienem wypełnić ten czas odwiedzeniem Francji dla poznania języka. Liczyłem, że w tym wspaniałym kraju poznam znacznie więcej niż tylko sam język. Rozsmakowałem się już, jak Państwo wiecie, w rui i porubstwie z londyńskimi pannami wchodzącymi do towarzystwa. Ponadto młode Angielki już mi się przejadły. Uznałem, że są zbyt bezpłciowe, i pilno mi było wyszumieć się że ha na obcej niwie. Zwłaszcza francuskiej. Wiedziałem z dobrze poinformowanych źródeł, że paryżanki wiedzą o miłowaniu parę takich rzeczy, o których ich angielskim kuzynkom nawet się nie śniło. Figo-fago, jak głosiła plotka, było w Anglii jeszcze w powijkach.

Wieczorem w przeddzień planowanego wyjazdu do Francji wydałem w swoim rodzinnym domu w Cheyney Walk małe przyjęcie. Matka z ojcem umyślnie wyszli o siódmej na kolację, żebym miał dom wyłącznie do swojej dyspozycji. Zaprosiłem z tuzin znajomych płci obojga, na ogół moich rówieśników, i o dziewiątej zasiedliśmy do stołu, wesoło gawędząc, popijając wino i jedząc wyborną gotowaną baraninę z kluskami. Wtem rozległ się dzwonek do drzwi. Poszedłem je otworzyć i na progu zastałem mężczyznę w średnim wieku, z wielkimi wąsami, rumianą cerą i walizką ze świńskiej skóry w ręce. Przedstawił mi się jako major Grout i spytał,

czy zastał ojca. Odparłem, że wyszedł na kolację.

- Tam, do kata - rzekł na to major. - Zaprosił mnie, żebym się u niego zatrzymał. Jestem jego starym przyjacielem.

- Ojciec na pewno zapomniał - powiedziałem. - Ogromnie mi przykro. Proszę wejść.

Ponieważ nie wypadało mi zostawić majora samego w gabinecie na lekturze „Puncha”, kiedy my bawiliśmy się w pokoju obok, spytałem go, czy ma ochotę dotrzymać nam towarzystwa. Miał jak najbardziej. Z wielką przyjemnością. Tak więc znalazł się pośród nas, z wąsami i czym tam jeszcze, jowialny, rozpromieniony i wprawdzie trzykroć starszy od każdego z naszego grona, to jednak świetnie czujący się w naszym towarzystwie. W kwadrans zmiotł porcję baraniny i opróżnił butelkę czerwonego wina.

- Wyborne jadlo - pochwalił. - Czy jest jeszcze wino? Otworzyłem mu drugą butelkę i z niejakim podziwem obserwowaliśmy, jak zabiera się do jej osuszenia. Jego policzki z karmazynowych bardzo prędko stały się fioletowe, a nos jakby się rozplomieniał. Kiedy załatwiał się z trzecią flaszką, rozwiązał mu się język. Powiedział, że pracuje w angielsko-egipskim Sudanie i przyjechał do kraju na urlop. Zatrudniony był w Sudańskiej Służbie Irygacyjnej; praca żmudna, w upale. Niemniej fascynująca. Dobry ubaw, rozumiemy się. Z miejscowym tałatajstwem nie było kłopotów, jeśli tylko miało się pod ręką cały czas bykowiec.

Skupiliśmy się wokół niego słuchając, zaciekawieni tym osobnikiem o purpurowym obliczu, który przybył do nas z dalekich krajów.

- Sudan to wspaniały kraj - oznajmił. - Olbrzymi. Odległy. Zagadkowy i tajemniczy. Chcecie, żebym opowiedział wam o jednej z największych



tajemnic Sudanu?

- Bardzo chcemy, panie majorze - odparliśmy. - Niech pan opowie.

- Jedną z jego największych tajemnic - rzekł, wlewając sobie do gardła następny kieliszek wina - tajemnicą znaną tylko garstce takich jak ja weteranów i tubylcom, jest chrząszczyk zwany majką sudańską albo - by posłużyć się naukową nazwą - *Cantharis vesicatoria sudanii*.

- To znaczy, skarabeusz? - spytałem.

- Skądże znowu. Majka sudańską to skrzydlaty owad, skrzyżowanie muchy z chrząszczem, mający dwa centymetry długości. Ślicznie wygląda, ma błyszczący, mieniący się złotozielony pancerz.

- Dlaczego to taka tajemnica? - spytaliśmy.

- Te małe chrząszcze można znaleźć tylko w jednej części Sudanu - ciągnął major. - Jest to obszar o powierzchni około dwudziestu mil kwadratowych, na północ od Chartumu, gdzie rosną drzewa haszabowe. Żuki te żywią się właśnie liśćmi haszabu. Niektórzy spędzają całe życie na poszukiwaniu tych owadów. Zwą ich łowcami żuków. To bystroocy tubylcy, którzy wiedzą wszystko co należy o zwyczajach i miejscach, w których występują te małe stworzy. Po złapaniu zabijają je, suszą na słońcu i rozkruszają na drobniutki proszek. Miejscowi bardzo go sobie cenią i przechowują zwykle w małych, kunsztownie rzeźbionych szkatułkach. Szkatułka naczelnika plemienia jest ze srebra.

- Ale co oni robią z tym proszkiem? - spytaliśmy.

- Mniejsza o to, co z nim robią oni, rzecz w tym, co on robi z człowiekiem. Maleńka szczypta tego proszku to najsilniejszy na świecie środek podniecający.

- Mucha hiszpańska! - wykrzyknął ktoś. - To mucha hiszpańska.

- No, nie całkiem, ale jest pan na właściwym tropie - przyznał major.

- Zwykła mucha hiszpańska występuje w Hiszpanii i południowych Włoszech. Ta, o której mówię, to mucha sudańska i choć należy do tej samej rodziny, różni się od tamtej jak dzień od nocy. Reakcja po zażyciu tego maleńkiego sudańskiego żuczka jest wyjątkowo drastyczna, tak że nawet małe jego dawki są niebezpieczne.

- Ale oni je zażywają?

- Mój Boże, tak. Wszyscy tubylcy w Chartumie i na północ od tego miasta zażywają żuczka. Biali, ci, którzy o nim wiedzą, wolą trzymać się od niego z daleka, bo taki jest niebezpieczny.

- A pan go zażywał? - spytano.

Major podniósł wzrok na pytającego i uśmiechnął się lekko pod ogromnymi wąsami.

- Za parę chwil dojdziemy do tego - odparł.

- A jak on działa na człowieka? - spytała jedna z dziewcząt.

- Mój Boże, czegoż on nie robi! - rzekł major. - Rozpłomienia genitalia. Nie tylko gwałtownie rozpala żądze, ale i potężnie podrażnia. Nie tylko wywołuje nieposkromioną chutliwość, ale zapewnia też kolosalną, długotrwałą erekcję. Zechce mi pan ofiarować jeszcze jeden kieliszek wina, drogi chłopcze?

Zerwałem się, żeby przynieść mu jeszcze wina. Moi goście nagle zamilkli. Dziewczęta wpatrywały się w skupionego i nieruchomo siedzącego majora oczami błyszczącymi jak gwiazdy, chłopcy zaś wpatrywali się w dziewczęta, chcąc zobaczyć, jak reagują na jego niespodziewane niedyskrecje. Napełniłem majorowi kieliszek.

- Pański ojciec zawsze miał przyzwoicie zaopatrzoną piwnicę - rzekł

Grout. - A także dobre cygara - dodał i spojrzał na mnie wyczekująco.

- Zapali pan cygaro, majorze? - spytałem.

- Jest pan bardzo uprzejmy - odrzekł.

Poszedłem do stołowego i przyniosłem pudełko ojcowskich cygar marki Montecristo. Major schował jedno do kieszeni na piersiach, a drugie wetknął w usta.

- Jeśli chcecie - rzekł - to opowiem wam prawdziwą historię o sobie i sudańskim żuku.

- Proszę opowiedzieć - zawołaliśmy. - Niech pan mówi, majorze.

- Spodoba wam się - zapewnił, wyjmując cygaro z ust i paznokciem kciuka ucinając jego koniuszek. - Kto ma zapalki?

Przypaliłem mu cygaro. Głowę spowiły mu kłęby dymu, przez który jego twarz widzieliśmy niewyraźnie; była ona ciemnawa i miękka jak wielki przejrzały fioletowy owoc.

- Pewnego wieczoru - zaczął - siedziałem na werandzie mojego bungalowu w głębi kraju, jakieś pięćdziesiąt mil na północ od Chartumu. Skwar był piekielny, a ja miałem za sobą ciężki dzień. Piłem właśnie whisky z wodą sodową - była to moja pierwsza szklaneczka tego wieczoru. Leżałem rozciągnięty na leżaku, z nogami zarzuconymi na małą balustradkę, która okalała werandę. Czuję, jak whisky styka się ze ściankami mojego żołądka, a wierzcie mi, że pod koniec długiego dnia spędzonego w nieznośnym klimacie nie ma nic bardziej rozkosznego niż pierwszy łyk whisky wpadającej do trzewi i przenikającej do krwiobiegu. Po kilku minutach wszedłem do środka i nalałem sobie drugą szklaneczkę, po czym wróciłem na werandę. Znowu się położyłem. Wprawdzie koszulę miałem mokrą od potu, ale byłem zbyt zmęczony, żeby wziąć prysznic. I wtedy

raptem zeszywniałem. Właśnie niosłem szklanę z whisky do ust, kiedy ręka zastygła mi, dosłownie zastygła w powietrzu, i tak została, a ja ścisnąłem w dłoni szklanę. Nie mogłem się poruszyć. Nie mogłem się odezwać. Próbowałem przywołać na pomoc służącego, ale nie byłem w stanie. Stężenie pośmiertne! Paraliż! Cały skamieniałem!

- Przestraszył się pan? - spytał ktoś.

- Jasne, że się przestraszyłem. Byłem piekielnie przerażony, zwłaszcza tam, na sudańskiej pustyni, skąd wszędzie daleko. Ale ten paraliż nie trwał długo. Minutę, może dwie. Nie potrafię powiedzieć. Kiedy przyszedłem do siebie, jeżeli tak to można nazwać, przede wszystkim natychmiast poczułem pieczenie w okolicy krocza. Oho, powiedziałem sobie, a tym razem co, u licha?! Ale było jasne, co się ze mną dzieje. Ruch wewnątrz moich spodni stał się zaiste gwałtowny i po kilku sekundach mój członek zeszywniał i wyprostował jak grotmaszt szkunera sztaksłowego.

- Jaki pański członek? - spytała panienka imieniem Gwendolina.

- Sądzę, kochanie, że pojmie to pani w dalszym ciągu opowieści - odrzekł major.

- Niech pan mówi, majorze - zachęciliśmy go. - Co było potem?

- Potem zaczął mi pulsować.

- Co zaczęło pulsować? - spytała znów Gwendolina.

- Mój członek - odparł major. - Od jego nasady do czubka czułem każde uderzenie serca. Pulsował i drżał przeraźliwie i był nadęty jak balon. Znacie państwo te długie balony z przyjęć dla dziatwy? Właśnie z takim balonem go sobie kojarzyłem, a z każdym uderzeniem serca miałem uczucie, jakby dopompowywano mu powietrza i miał zaraz pęknąć.

Major popił wina. Przyjrzał się popiołowi na cygarze. Siedzieliśmy bez

słowa, czekając.

- Oczywiście starałem się rozwikłać zagadkę, co też mi się właściwie przydarzyło - mówił dalej. - Spojrzałem na szklankę. Stała tam, gdzie ją zawsze odstawiałem, na pomalowanej na biało, niskiej balustradzie otaczającej werandę. Potem podniosłem wzrok na skraj dachu bungalowu i nagle ciach! Wszystko zrozumiałem! Pojąłem, co zaszło.

- Co? - zapytaliśmy chórem.

- Duży sudański chrząszcz, który wyszedł na wieczorny spacer po dachu, zapuścił się zbyt blisko jego skraju i spadł.

- Prosto do pańskiej szklanki z whisky! - wykrzyknęliśmy.

- Właśnie - potwierdził major. - A ja, szaleńczo spragniony z powodu upału, wypilem ją, nie patrząc.

Panienka imieniem Gwendolina wpatrywała się w majora oczyma wielkimi ze zdumienia.

- Słowo daję. nie rozumiem, o co ten cały hałas-powiedziała. - Przecież jeden maleńki żuczek nie może zaszkodzić.

- Drogie dziecko - rzeki major - proszek otrzymany po wysuszeniu i rozdrobnieniu majki sudańskiej nazywa się kantarydyna. To nazwa farmaceutyczna. Jego sudańska odmiana zwie się cantharidin sudanii. A cantharidin sudanii jest absolutnie śmiertelna. Najwyższa bezpieczna dawka dla człowieka, jeżeli w ogóle taka istnieje, to minim. Minim zaś to jedna sześćdziesiąta uncji. Przyjąwszy, że połknąłem całego, dorosłego żuka, oznaczało to, że zażyłem dawkę Bóg wie ile razy silniejszą od maksymalnej.

- Boże - wyszeptaliśmy. - Boże Święty.

- Tymczasem pulsowanie tak się wzmogło, że aż się cały trząsałem.

- To znaczy, że bolała pana głowa? - spytała Gwendolina.

- Nie - odparł major.

- I co dalej? - spytaliśmy.

- Mój członek zamienił się w rozżarzony do białości, żelazny pręt, wypalający mi dziurę w ciele. Zerwałem się z leżaka, popędziłem do samochodu i na łeb na szyję pojechałem do najbliższego szpitala, który był w Chartumie. Dotarłem tam dokładnie w czterdzieści minut. Przeląknąłem się nie na żarty.

- Zaraz, chwileczkę - przerwało mu stworzenie imieniem Gwendolina.

- Nadal nie całkiem pana rozumiem. Właściwie co pana tak przestraszyło? Okropne dziewczynisko. W ogóle nie powinienem był jej zapraszać. Major, co mu się bardzo chwali, tym razem całkiem zignorował jej pytanie.

- Wpadłem do szpitala - ciągnął - i odszukałem dyżurny gabinet zabiegowy, gdzie angielski lekarz zszywał komuś ranę od noża. „Patrz pan!”, zawołałem, wyjmując go i wymachując mu nim przed oczami.

- Czym pan wymachiwał, na miłość boską?! - przerwała mu straszliwa Gwendolina.

- Bądź cicho, Gwendolino - ostrzegłem ją.

- Dziękuję panu - rzekł major. - Lekarz przerwał zszywanie i przyjrzał się temu, co lekko zatrwożony wyciągnąłem w jego stronę. Prędko opowiedziałem mu, co się stało. Spochmurniał. Oznajmił, że na sudańskiego żuka nie ma antidotum. Że jestem w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ale uczyni wszystko, co w jego mocy. Zrobili mi płukanie żołądka, wpakowali do łóżka i ze wszystkich stron obłożyli lodem mój biedny, pulsujący członek.

- Kto obłożył? - spytał ktoś. - Co za jedni?

- Pielęgniarka. Młoda szkocka pielęgniarka z ciemnymi włosami - wyjaśnił major. - Przyniosła ten lód w gumowych torebeczkach, obłożyła mi go nimi naokoło i obwiązała bandażem.

- Nie odmroził go sobie pan?

- Jakże można odmrozić coś, co faktycznie rozgrzane jest do czerwoności?

- odparł major.

- I co dalej?

- Zmieniali mi ten lód co trzy godziny, dzień i noc.

- Kto, ta szkocka pielęgniarka?

- Boże Święty!

- Oziębiali go przez dwa tygodnie.

- Dwa tygodnie! - zawołałem. - I nic się panu nie stało? Nic panu me jest? Major uśmiechnął się i popił wina.

- Głęboko wzrusza mnie pańska troska - odparł. - Jest pan młodzieńcem, który dobrze wie, co jest w życiu najważniejsze. Daleko pan zajdzie.

- Dziękuję, panie majorze - powiedziałem. - Ale jak to się skończyło?

- Na pół roku wypadłem z obiegu - odrzekł major, lekko się uśmiechając - ale w Sudanie to niewielka bieda. Jeżeli pan jednak ciekaw, to w tej chwili nic mi nie jest. Cudownie ozdrowiałem.

Taka oto była historia majora Grouta, którą opowiedział nam na małym przyjęciu, jakie wydałem w przeddzień wyjazdu do Francji. Dała mi ona do myślenia. O tak, dała mi bardzo wiele do myślenia. Właściwie tamtej nocy, kiedy leżałem w łóżku, a cały mój bagaż stał spakowany na podłodze, w głowie zaczął mi raptownie dojrzewać przerażająco śmiały plan. Mówię „śmiały”, ponieważ, dalibóg, był on diabło śmiały, jeśli

zważyć, że miałem podówczas siedemnaście lat. Patrząc na to z dzisiejszej perspektywy, chylę przed sobą czoło za to, że w ogóle rozważałem takie przedsięwzięcie. Tak czy owak, nazajutrz rano już wiedziałem, co zrobię.

## 2.

Pożegnałem się z rodzicami na peronie dworca Victoria i wsiadłem do pociągu jadącego, via prom, do Paryża. Przyjechałem tam po południu i stawiłem się w domu, w którym ojciec załatwił mi wikt i opierunek. Stał on przy Avenue Marceau, a mieszkająca w nim rodzina Boisvainów wynajmowała pokoje gościom. Pan Boisvain, ponoć urzędnik państwowy, był równie nieciekawy jak reszta rodziny. Jego małżonka, blada kobieta z krótkimi palcami i obwisłym zadkiem, była ulepiona, nie przymierzając, z tej samej gliny co mąż, z czego wywnioskowałem, że żadne nie sprawi mi kłopotu. Boisvainowie mieli dwie córki: piętnastoletnią Jeanette i dziewiętnastoletnią Nicole. Mademoiselle Nicole była do pewnego stopnia wybrykiem natury, bo gdy reszta rodziny była po francusku drobna i foremnie zbudowana, ta dziewczyna miała proporcje Amazonki. Przywodziła mi na myśl żeńskiego gladiatora. Na bosaka mierzyła chyba metr dziewięćdziesiąt, niemniej był z niej pięknie zbudowany młody gladiator, z drugimi kształtnymi nogami i parą ciemnych oczu, skrywających, zda się, liczne tajemnice. Po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia pokwitania trafiłem na kobietę nie tylko strasznie wysoką, ale i powabną, a to, co w niej dostrzegłem, zrobiło na mnie wrażenie. Od



tamtego czasu w ciągu minionych lat naturalnie wiele razy kosztowałem wysokich dziewoi i muszę przyznać, że w sumie cenię je sobie wyżej niż ich drobniejsze siostry. Przede wszystkim w ciałach wysokich kobiet jest więcej mocy i energii, a poza tym ma się znacznie więcej do obłapiania.

Innymi słowy, naprawdę lubię wysokie kobiety. Bo czemu miałbym ich nie lubić? Nic w tym dziwnego. Natomiast za niezwykle i zadziwiający uważam fakt, że na ogół kobiety, a dotyczy to wszystkich kobiet świata, mają kompletnego fioła na punkcie niepozornych mężczyzn. Wyjaśnię od razu, że „niepozornymi mężczyznami” nie nazywam zwykłych niskich osobników, jak dżokeje albo kominiarze. Myślę o prawdziwych karłach, tych malutkich, krzywonogich jegomościach, którzy biegają w pantalonach po arenach cyrkowych. Wiercie mi lub nie, ale każdy z tych konusów potrafi, jeśli się postara, rozplócić najozięblejszą z kobiet. Protestujcie sobie do woli, Drogie Czytelniczki. Oskarżcie mnie, że wariuję, że się mylę, że źle poinformowany. Ale zanim to zrobicie, radzę wam pogadać z kobietą faktycznie podbitą przez któregoś z tych niziołków. Potwierdzi moje wnioski. Powie wam: tak, tak, tak, to prawda, niestety, to prawda. Przyzna, że są odrażający, ale nie sposób im się oprzeć. Pewien nadzwyczaj brzydki cyrkowy karzeł w średnim wieku, mający najwyżej metr pięć wzrostu, zwierzył mi się kiedyś, że poderwie każdą kobietę w każdym miejscu i o każdej porze. Bardzo mnie to zadziwia.

Ale powróćmy do mademoiselle Nicole, panny o wymiarach Amazonki. Natychmiast wpadła mi w oko i kiedy podaliśmy sobie ręce, nieco silniej uścisnąłem kostki jej dłoni, obserwując jej minę. Rozwarła usta i ujrzałem, jak spomiędzy zębów wysuwa nagle koniuszek języka. Doskonale, młoda

damo, powiedziałem sobie. W Paryżu ty będziesz moją pierwszą zdobyczą.

Jeżeli powyższe słowa brzmią zdaniem Państwa zbyt zuchwale w ustach siedemnastoletniego wyrostka, to trzeba Wam wiedzieć, że choć byłem tak młody, to fortuna obdarzyła mnie nie samą tylko urodą. Przeglądając dziś stare rodzinne fotografie z tamtych czasów widzę, że byłem uderzająco pięknym młodzieńcem. To fakt niezbity i głupio byłoby udawać, że jest inaczej. Niewątpliwie ułatwiało mi to życie w Londynie i z ręką na sercu oświadczam, że żadna mi jeszcze nie odmówiła. Oczywiście na podlotki polowałem dopiero od niedawna i najwyżej kilkadziesiąt wziąłem do tej pory na muszkę.

Żeby przeprowadzić plan, który podsunął mi poczciwy major Grout, prosto z mostu oznajmiłem madame Boisvain, że nazajutrz rano od razu wyjeżdżam na prowincję do przyjaciół. Nadal staliśmy w przedpokoju i właśnie skończyliśmy wymieniać uściski dłoni.

- Ależ monsieur Oswald, dopiero co pan przyjechał! - wykrzyknęła moja gospodyni.

- O ile wiem, to mój ojciec zapłacił pani z góry za pół roku - odparłem. - Jeżeli mnie tu nie będzie, zaoszczędzi pani na jedzeniu.

Podobna arytmetyka zmiękczyłaby serce każdej francuskiej gospodyni, tak więc madame Boisvain więcej się nie sprzeciwiała. O siódmej wieczorem zasiedliśmy do kolacji. Były to flaczki z cebulą. Uważam je za drugie pod względem obrzydliwości danie na świecie. Najbardziej obrzydliwą potrawą jest coś, czym zajadają się skopiarze na owczych fermach w Australii.

Skopiarze ci - nie zaszkodzi o tym opowiedzieć, abyście mogli Państwo

uniknąć tej „frajdy”, jeżeli kiedyś tam traficie - a więc skopiarze ci, czyli pastuchy owiec, nieodmiennie kastrują swoje baranki w taki oto barbarzyński sposób: dwóch z nich trzyma stworzenie głową w dół za przednie i tylne nogi, trzeci zaś rozcina mu mosznę i wyciska z niej na wierzch jądra, po czym pochyla się, bierze je do ust, zaciska na nich zęby i szarpnięciem wyrywa je nieszczęsnemu zwierzęciu, a następnie wypluwa ten przyprawiający o mdłości kęs do miski. Proszę mi nie mówić, że to niemożliwe, bo to fakt. Oglądałem te praktyki przez cały zeszły rok na własne oczy, przebywając na fermie opodal Cowra w Nowej Południowej Walii. Ci idioci bez ustanku przechwalali się przede mną, że trzech fachowych skopiarzy potrafi wykastrować sześćdziesiąt baranów w sześćdziesiąt minut i robić to przez cały dzień. Powiedzieli, że wprawdzie bolą ich po tym trochę szczęki, ale że to się bardzo opłaca, bowiem nagroda jest wspaniała.

- Jaka nagroda? - spytałem.

- Oho, tylko pan zaczekaj! - odpowiedzieli.

Wieczorem zaś zmusili mnie, żebym stał i przyglądał się, jak nad ogniskiem smażą swoje trofea w baranim tłuszczu na patelni. To kulinarne cudo jest, przysięgam Wam, najbardziej odrażającą, najtwardszą, mdlącą i najgęstsza potrawą, jaką można sobie wyobrazić. Flaczki stoją u mnie na drugim miejscu.

Wciąż odbiegam od tematu. Muszę ciągnąć opowieść. A więc nadal znajdujemy się w pieleszach Boisvainow, a na kolację są flaczki... Pan Boisvain zaczął rozplýwać się nad tym świństwem, głośno siorbiąc, mlaskając i wykrzykując po każdej łyżce: *Delicieux! Ravissant! Formidable! Merveilleux!* A kiedy skończył - czyż nigdy dość makabry? -

spokojnie wyjął z ust pełen garnitur sztucznych zębów i zanurzył je w miseczce do mycia palców.

O północy, kiedy państwo Boisvainowie mocno spali, wykradłem się na korytarz i wszedłem do sypialni mademoiselle Nicole. Leżała otulona w ogromnym łóżku, a na stoliku obok niej płonęła świeca. Przyjęła mnie, o dziwo, sztywnym francuskim uściskiem dłoni, ale zapewniam Was, że w tym, co nastąpiło potem, nie było nic sztywnego. Nie mam zamiaru rozwodzić się nad tym incydentem. Nie ma on nic wspólnego z głównym nurtem mojej opowieści. Wiedźcie jednak, że wszystkie plotki, jakie słyszałem o paryskich dziewczętach, w ciągu paru godzin spędzonych z panną Nicole znalazły pełne potwierdzenie. W porównaniu z nią londyńskie panny z towarzystwa były nieruchawe jak kłody. Rzuciła się na mnie niczym mangusta na kobrę. Nagle wyrosło jej dziesięć par rąk i pół tuzina ust. W dodatku przemieniła się w kobietę-gumę i w wirze członków nie raz migały mi w przelocie kostki jej nóg, którymi oplatała sobie kark. Ta dziewczyna przepuściła mnie przez wyżymaczkę. Nadużywała mnie ponad moją wytrzymałość. Będąc taki młody, doprawdy nie byłem przygotowany na podobnie surowy egzamin i po mniej więcej godzinie nieustannego ruchu zacząłem majaczyć. Pamiętam, iż wydawało mi się, że moje ciało to długi, dobrze naoliwiony tłok, ślizgający się gładko tam i z powrotem wewnątrz cylindra o ścianach z najgładszej stali. Bóg jeden wie, jak długo to trwało, ale kiedy się skończyło, nagle ocknąłem się na dźwięk niskiego, spokojnego głosu, który mówił:

- Doskonale, monsieur, jak na pierwszą lekcję, wystarczy. Sądzę jednak, że dużo wody upłynie, nim opuści pan przedszkole.

Zmaltretowany i srogo doświadczony, powlokłem się do swojego pokoju i zasnąłem.

Nazajutrz, realizując swój plan, pożegnałem się z Boisvainami i wsiadłem do pociągu do Marsylii. Miałem przy sobie pieniądze na półroczne wydatki, dwieście funtów we francuskich frankach, w które zaopatrzył mnie ojciec przed moim wyjazdem z Londynu. W roku 1912 było to dużo pieniędzy.

W Marsylii wykupiłem bilet do Aleksandrii na francuski dziewięcotonowy parowiec „L’Imperatrice Josephine”, miły stateczek pasażerski kursujący regularnie pomiędzy Marsylią, Neapolem, Palermo i Aleksandrią.

Podróż przebiegła mi bez wydarzeń, z tym że pierwszego dnia spotkałem jeszcze jedną wysoką kobietę. Tym razem była to smagłokóra turecka dama, tak obwieszona różną biżuterią, że przy chodzeniu dzwoniła. Zrazu pomyślałem sobie, że siedząc na wierzchołku czereśni, cudownie odstraszałaby ptaki, ale zaraz potem, bardzo szybko po pierwszej, naszła mnie myśl, że ma nadzwyczajną figurę. Piersi i ich okolice falowały jej tak wspaniale, że patrząc na nią przez pokład czułem się jak podróżnik w Tybecie oglądający po raz pierwszy w życiu szczyty Himalajów. Turczynka odwzajemniła moje spojrzenie, wyniośle zadzierając brodę i tocząc wzrokiem po mnie całym od stóp do głów i z powrotem. Po minucie spokojnie przeszła przez pokład i zaprosiła mnie do swojej kabiny na kieliszek absyntu. Nie słyszałem o takim trunku, ale poszedłem z ochotą, z ochotą pozostałem i opuściłem jej kajutę dopiero po trzech dniach, kiedy zawinęliśmy do Neapolu.

Mogłem sobie być w przedszkolu, jak chciała Nicole, ona sama zaś w

jakiejś szóstej klasie, lecz w takim razie wysoka Turczynka była profesorką uniwersytetu.

Schadzkę tę utrudniał mi dodatkowo fakt, iż przez całą drogę z Marsylii do Neapolu nasz parowiec zmagął się z okropnym sztormem. Huśtał się i kołysał zatrważająco, i niejednen raz myślałem, że się wywróci. Kiedy wreszcie, szczęśliwi, rzuciliśmy kotwicę w Zatoce Neapolitańskiej, wyszedłem z jej kabiny ze słowami:

- O mój Boże, cieszę się, że nam się udało. Przeżyliśmy nielichy sztorm.

- Drogi chłopcze - odrzekła mi na to Turczynka, wieszając na szyi kolejne grono błyskotek - morze było cały czas równe jak stół.

- Ależ skąd, madame - zaprzeczyłem. - Był straszliwy sztorm.

- To nie był sztorm - odparła Turczynka. - To ja.

Szybko się uczyłem. Nauczyłem się przede wszystkim, a potwierdziło się to od tamtej pory wiele razy, że wpaść w ramiona Turczynki, to jak przebiec pięćdziesiąt mil bez śniadania. Trzeba mieć zdrowie.

Resztę podróży spędziłem odzyskując siły, a kiedy cztery dni później zawinęliśmy do Aleksandrii, znów byłem pełen animuszu. W Aleksandrii złapałem pociąg do Kairu. Tam przesiadłem się na inny pociąg i pojechałem do Chartumu.

W Sudanie było naprawdę gorąco. Wprawdzie nie byłem ubrany odpowiednio do tropików, lecz nie chciałem marnować pieniędzy na ubranie, które będę nosił dzień czy dwa. W Chartumie wynająłem pokój w dużym hotelu, w którego foyer roiło się od Anglików w szortach koloru khaki i hełmach tropikalnych. Wszyscy nosili wąsy, policzki mieli rumiane jak major Grout, a w dłoniach dzierżyli szklanki z trunkami. Przy wejściu przechadzał się Sudańczyk, chyba hotelowy portier. Był okazałym,

przystojnym mężczyzną w białej szacie i czerwonym fezie. Podeszedłem do niego.

- Ciekaw jestem, dobry człowieku, czy mi pomożesz - powiedziałem, wyjmując trochę francuskich banknotów i odliczając je od niechcienia.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

- Chodzi o sudańskie żuki - dodałem. - Słyszałeś o nich?

Klamka zapadła. Nadszedł *le moment critique*. Przyjechałem do Chartumu aż z Paryża, żeby zadać to jedno pytanie, dlatego przyglądałem się niecierpliwie minie Sudańczyka. Bardzo możliwe, że historia majora Grouta była zwykłym żartem opowiedzianym gwoli rozrywki.

Sudański portier uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Wszyscy wiedzą o sudańskim żuku, sahib - odparł. - Czego pan chce?

- Chcę się dowiedzieć, gdzie mogę pojechać, żeby złapać ich tysiąc.

Przestał się uśmiechać i wpatrywał we mnie, jakbym postradał rozum.

- Chodzi panu o żywe żuki?! - wykrzyknął. - Chce pan złapać sam jeden tysiąc żywych sudańskich żuków?

- Właśnie.

- A na co panu żywe żuki, sahib? Z żywych żuków nie będzie pan miał żadnej pociechy.

O mój Boże, pomyślałem. A więc major zakpił sobie z nas. Portier przysunął się do mnie bliżej i położył mi na rękę swoją prawie kruczoczną dłoń.

- Pan chce sobie dziubu-dziub, no nie? Pan chce środek, co pomaga na dziubdzianie?

- Z grubsza tak - przyznałem. - Mniej więcej.

- W takim razie nie musi pan się martwić o żywe żuki, sahib. Panu

potrzeba żuków w proszku!

- Myślałem, że zabiorę je do kraju i będę hodował - odrzekłem. - Żeby mieć stałe zaopatrzenie.

- W Anglii? - spytał.

- W Anglii albo Francji. Gdzieś tam.

- Nic z tego - rzekł, potrząsając głową. - Ten żuczek żyje tylko tu, w Sudanie. Wymaga bardzo gorącego słońca. W pańskim kraju wszystkie żuki zdechną. Czemu nie kupi pan proszku?

Zrozumiałem, że muszę nieco skorygować swoje plany.

- Ile kosztuje ten proszek? - zapytałem.

- A ile pan go chce?

- Dużo.

- Z tym proszkiem trzeba bardzo, bardzo uważać, sahib. Bierze się go tylko małą szczyptę, bo inaczej są bardzo duże kłopoty!

- Wiem o tym.

- My, Sudańczycy, odmierzamy porcję sypiąc ten proszek na główkę szpilki, zaś to, co na niej zostaje, jest właśnie akuratną pojedynczą dawką. Nie jest to wiele. Tak więc lepiej niech pan uważa, młody sahibie.

- O tym wszystkim wiem - odparłem. - Powiedz mi tylko, jak zdobyć dużo tego proszku.

- Dużo, to znaczy ile?

- No, powiedzmy, dziesięć funtów.

- Dziesięć funtów! - wykrzyknął. - Taka ilość wystarczyłaby wszystkim Afrykańczykom do kupy!

- Wobec tego pięć funtów.

- A co, u licha, zrobi pan z pięcioma funtami proszku z sudańskich żuków,



sahibie? Kilka uncji wystarczy na całe życie nawet tak dużemu, silnemu mężczyźnie jak ja!

- Nieważne, co z nim zrobię - odparłem. - Ile to będzie kosztować?

Przechylił głowę i starannie rozważył moje pytanie.

- Kupujemy go w malutkich porcjach - rzekł. - Po ćwierć uncji każda. To bardzo drogi środek.

- Chcę pięć funtów - powtórzyłem. - Netto.

- Mieszka pan tu, w hotelu? - spytał.

- Tak.

- A więc spotkamy się jutro i dam panu odpowiedź. Muszę obejść ludzi i się rozpytać.

Na tym na razie stanęło.

Nazajutrz czarny portier był jak zwykle na swoim miejscu, u wejścia do hotelu.

- Co słyhać z proszkiem? - spytałem.

- Załatwiam - odrzekł. - Mam miejsce, gdzie zdobędę dla pana pięć funtów proszku.

- Ile będzie kosztował? - spytałem.

- Ma pan angielskie pieniądze?

- Mogę załatwić.

- Będzie to pana kosztować tysiąc angielskich funtów, sahibie. Bardzo tanio.

- Wobec tego nie ma o czym mówić - odparłem, odwracając się.

- Pięćset - zaproponował.

- Pięćdziesiąt - powiedziałem. - Zapłacę ci pięćdziesiąt funtów.

- Sto.

- Nie. Pięćdziesiąt. Na więcej mnie nie stać. Wzruszył ramionami i uniósł w górę rozwarte dłonie.

- Pan załatwi te pieniądze, ja załatwię proszek - powiedział. - Dziś wieczorem o szóstej.

- Skąd będę wiedział, że nie dajesz mi trocin lub czegoś takiego?

- Sahibie! - zawołał oburzony. - Nigdy nikogo nie oszukałem.

- Nie jestem taki pewien.

- W takim razie pan sam wypróbuj proszek i przed zapłaceniem zażyj porcyjkę. Co pan na to?

- Dobry pomysł - odparłem. - Do zobaczenia o szóstej.

Jeden z londyńskich banków miał w Chartumie zamorską filię. Poszedłem tam i wymieniłem część swoich franków na funty. O szóstej po południu odszukałem portiera. Stał teraz w hotelowym foyer.

- Masz go? - spytałem.

Wskazał na dużą, owiniętą brązowym papierem paczkę, stojącą na podłodze za filarami.

- Chce pan najprzód spróbować, sahibie? - spytał. - Będzie pan bardzo zadowolony, bo to bezwzględnie najlepszy proszek w Sudanie. Jedna porcyjka wielkości główki od szpilki wystarczy, żeby dziubdział pan całą noc i pół następnego dnia.

Wątpiłem, czy zaproponowałyby mi tę próbę, gdyby proszek nie był jak należy, tak więc zapłaciłem mu i wziąłem paczkę.

W godzinę potem jechałem nocnym pociągiem do Kairu. Po dziesięciu dniach wróciłem do Paryża i zapukałem do drzwi domu madame Boisvain przy Avenue Marceau. Schodząc na ląd ze statku nie miałem najmniejszych kłopotów z francuskimi celnikami. W owych czasach

szukali oni noży i pistoletów, ale nic ponadto.

### 3.

Oznajmiłem madame Boisvain, że na jakiś czas zatrzymam się u niej, lecz mam jedno żądanie. Studiuję nauki przyrodnicze, powiedziałem. Odparła, że wie o tym. Moim życzeniem, ciągnąłem, jest nauczyć się w czasie pobytu we Francji nie tylko francuskiego, ale również kontynuować moje badania naukowe. Dlatego też będę przeprowadzał w swoim pokoju pewne eksperymenty, wymagające korzystania z przyrządów i chemikaliów, które dla laików mogą być niebezpieczne bądź trujące. Dlatego też życzę sobie mieć klucz do swojego pokoju, a także tego, żeby nikt tam nie wchodził.

- Pan nas wszystkich wysadzi w powietrze! - zawołała, przyciskając dłonie do policzków.

- Proszę się nie obawiać, madame - uspokoilem ją.- To są zwykłe środki ostrożności. Tej zasady nauczyli mnie moi profesorowie.

- A kto będzie sprzątał pana pokój i słał łóżko?

- Ja sam - odparłem. - Zaoszczędzi to pani fatygi.

Po wcale słusznej porcji gderań i wyrzekań w końcu jednak ustąpiła. Na kolację u Boisvainów były tego wieczoru świńskie nóżki w białym sosie

- jeszcze jedno odrażające danie. Monsieur Boisvain pochłaniał je przy akompaniamencie tradycyjnego siorbania, cmokania i okrzyków zachwyty, a kiedy wreszcie skończył, całą twarz usmarowaną miał lepkiem białym sosem. Przeprosiłem i wstałem od stołu w chwili, gdy zabierał się do przeniesienia sztucznych zębów z ust do miseczki do mycia palców.

Wszedłem na górę do mojego pokoju i zamknąłem drzwi.,  
Dopiero teraz otworzyłem owiniętą brązowym papierem paczkę. Proszek zapakowano, dzięki Bogu, w dwa duże blaszane pudełka po herbatnikach. Otworzyłem jedno z nich. Proszek był bladoszary i prawie taki miałki jak mąka. Oto leży przede mną, powiedziałem sobie, bodaj największy garniec złota, jaki może znaleźć człowiek. Powiedziałem „bodaj”, bo jeszcze nie miałem na to dowodów. Jedynie słowo majora, że proszek działa, i słowo hotelowego portiera, że towar jest autentyczny.

Położyłem się na łóżku i do północy czytałem książkę. Potem rozebrałem się i włożyłem piżamę. Wziąłem szpilkę, ustawiłem ją sztorcem nad otwartym pudełkiem i posypałem jej główkę szczyptą proszku. Przyłgnęło do niej niewiele pyłków szarej substancji. Bardzo ostrożnie podniosłem ją do ust i zlizalem. Proszek był bez smaku. Odnotowałem w pamięci godzinę na zegarku i usiadłem na brzegu łóżka, czekając na skutek.

Czekałem niedługo. Dokładnie po dziewięciu minutach cały zeszywniałem. Zacząłem ciężko dyszeć i bełkotać. Zamarłem w miejscu, gdzie siedziałem, tak jak major Grout ze szklanką whisky w ręku - zamarł na swojej werandzie. Ponieważ jednak zażyłem znacznie słabszą dawkę niż on, mój paraliż trwał tylko kilka sekund. Wtedy zaś poczułem, jak trafnie to wyraził major, pieczenie w okolicach krocza. Po niespełna minucie mój członek-jak znów trafnie, lepiej niż mogę to zrobić ja, wyraził się major - zeszywniał i wyprostował się niczym grotmaszt szkunera sztaksłowego.

Przystąpiłem do ostatecznej próby. Wstałem i podszedłem do drzwi. Otworzyłem je cicho i przekradłem się korytarzem. Wszedłem do sypialni mademoiselle Nicole, która, jak było do przewidzenia, leżała przykryta w

łóżku, zapaliwszy już świecę, i oczekiwała mnie.

- Bonsoir, monsieur - szepnęła, znowu witając mnie sztywnym uściskiem dłoni. - Przyszedł pan wziąć drugą lekcję?

Nic nie odpowiedziałem. Ułożyłem się już bowiem przy niej i zacząłem zanurzać w kolejną ze swoich dziwnych fantazji, które mnie pochłaniają, ilekroć zbliżę się do kobiety. Tym razem cofnąłem się do Średniowiecza, kiedy w Anglii panował Ryszard Lwie Serce. Byłem krajowym mistrzem rycerskich turniejów, zacnym księciem, który właśnie po raz kolejny sposobił się do złożenia dowodów swojego męstwa i siły przed królem i całym jego dworem w Obozie na Złotogłowie.

Moją przeciwniczką była olbrzymia i przerażająca Francuzka, która w turniejach rycerskich zarżnęła siedemdziesięciu ośmiu mężnych Anglików. Ale rumak pode mną był dzielny, a moja pika przeraźliwie długa, gruba, ostro zakończona, rozedrgana i z najtwardszej stali.

- Brawo, sir Oswaldzie! - zawołał król. - Mężu z mocarną lancą! Jedyne ty masz dość sił, by władać tak potężną bronią! Przebij ją, mój chłopcze! Przebij

Rzuciłem się więc galopem do walki, dzierżąc moją wyprostowaną olbrzymią pikę wymierzoną prosto i dokładnie w najczulsze miejsce Francuzki, natarłem na nią potężnym pchnięciem i niezawodnymi, prędkimi, celnymi sztychami w mgnieniu oka przedziurawiłem jej zbroję i zmusiłem do błagania o zmiłowanie. Ale nie byłem skory do litości. Zachęcony okrzykami króla i dworzan, wraziłem dziesięć tysięcy razy swoją kopię w wijące się ciało, potem drugie dziesięć tysięcy, aż usłyszałem wołania dworzan:

- Odstąp, sir Oswaldzie! Odstąp i wycofaj się! A potem głos króla

powiedział:

- Na miły Bóg, zda mi się, że jeżeli ten dzielny zuch zaraz jej nie poniecha, strzaska sobie tę wspaniałą pikę!

Ale nie strzaskałem sobie lancy i we wspaniałym finale nadziałem francuską olbrzymkę na ostry koniec mojej wiernej broni, po czym galopem objechałem arenę walki, wymachując ciałem mojej przeciwniczki wysoko nad głową wśród okrzyków: „Brawo!”, „To ci chwata!”, „Victor ludorum!”.

Wszystko to, jak możecie sobie Państwo wyobrazić, trwało czas jakiś. Jak długo, nie mam pojęcia, w końcu jednak wynurzyłem się z powrotem na powierzchnię świadomości, wyskoczyłem z łóżka i stanąłem triumfalnie, patrząc z góry na moją skonaną ofiarę. Dziewczyna ziajała niczym osaczony jeleni i zacząłem rozważać myśl, czy przypadkiem nie zrobiłem jej krzywdy. Jednakże niewiele mnie to obchodziło.

- No i jak, mademoiselle, nadal jestem w przedszkolu? - zapytałem.

- Och, nie! - zawołała, a jej długie ręce i nogi drżały.- Och, nie, monsieur! Nie, nie, nie! Jest pan dziki, cudowny, mam wrażenie, jakby mój kociół wyleciał w powietrze!

Słyszając to, poczułem się wybornie. Nie odpowiedziawszy nic, wyszedłem i przekradłem się korytarzem z powrotem do swojego pokoju. Co za triumf! Proszek był fantastyczny! Major miał rację! Portier z Chartumu mnie nie oszukał! A więc wkroczyłem na drogę wiodącą do mojego garnca złota i nic nie mogło mnie powstrzymać. Pograżony w tych szczęśliwych myślach, zasnąłem.

Nazajutrz rano natychmiast zabrałem się do dzieła. Proszę pamiętać, że stypendium uzyskałem z nauk przyrodniczych. Dlatego dobrze

orientowałem się w chemii, fizyce i paru innych dziedzinach wiedzy, ale chemia była zawsze moją najmocniejszą stroną.

Dlatego też wiedziałem dokładnie, jak wykonać prostą pigułkę. W roku 1912, w którym właśnie się znajdujemy, przygotowywanie przez farmaceutów pigułek we własnej aptece było na porządku dziennym, a używali w tym celu przyrządu zwanego pigularką. Owego paryskiego ranka wybrałem się więc na zakupy i w końcu, w bocznej uliczce na lewym brzegu Sekwany, znalazłem dostawcę używanych aparatów farmaceutycznych. Kupiłem od niego wspaniałą, małą pigularkę, wytwarzającą na raz dwadzieścia cztery pigułki dobrej profesjonalnej jakości. Kupiłem również bardzo czułą wagę chemiczną.

Potem znalazłem aptekę, w której sprzedano mi dużą ilość węgla wapnia i nieco mniejszą gumy tragakantowej. Nabyłem też butelkę koszenili. Zaniósłem te zakupy do swojego pokoju, uprzątnąłem toaletkę i ustawiłem na niej w ordynku wszystkie moje zapasy i aparaturę.

Robienie pigułek to żadna filozofia, jeżeli się wie jak. Węgiel wapnia, który jest substancją neutralną i nieszkodliwą, tworzy masę pigułki. Do niego dodaje się dokładnie odważoną ilość składnika aktywnego, w tym przypadku proszku kantarydowego. Zaś na koniec, jako rozczynnik, troszkę gumy tragakantowej. Rozczynnik to po prostu spoiwo, które sprawia, że wszystkie składniki zlepiają się i twardnieją, tworząc przyjemną dla oka pigułkę. Odważyłem odpowiednią ilość każdej z tych substancji potrzebnej do wytworzenia dwudziestu czterech całkiem dużych, imponujących pigułek. Dodałem też kilka kropel koszenili, która jest szkarłatnym, pozbawionym smaku środkiem barwiącym. Wszystko to porządnie i dokładnie wymieszałem w misce, po czym włożyłem

otrzymaną miksturę do pigularki. W jednej chwili powstały dwadzieścia cztery czerwone pigułki idealnego kształtu i twardości. Przyjmując, że wszystko odważyłem i zmieszałem jak należy, każda z nich zawierała tyle kantarydowego proszku, ile mieści się na główce szpilki. Innymi słowy, każda była skutecznym i gwałtownym środkiem wzmagającym potencję. Wszelako nie byłem jeszcze gotów do akcji.

Znów wyszedłem na paryski bruk i znalazłem wytwórcę pudełek. Kupiłem od niego tysiąc małych kartonowych pudełeczek całowej średnicy. Nabyłem też watę.

Potem udałem się do drukarza i zamówiłem tysiąc malutkich okrągłych etykietek. Na każdej z nich miał widnieć następujący napis po angielsku:

PROFESORA

JUSUPOFFA

Pigułki na potencję

Pigułki te są nadzwyczaj silne.

Nie szafuj nimi, bo możesz doprowadzić siebie  
lub partnerkę do kompletnego wyczerpania.

Zalecana dawka: raz w tygodniu.

Jedyny europejski agent

O. Cornelius, Avenue

Marceau 192

Paryż

Etykiety były zaprojektowane tak, żeby dokładnie zakrywały wieczka kartonowych pudełeczek.

Odebrałem je dwa dni później. Kupiłem słoik kleju, wróciłem do swojego



pokoju i przykleiłem etykiety do dwóch tuzinów pudełek. Ich wnętrza wymościłem białą watą. Na niej ułożyłem w każdym po jednej szkarłatnej pigułce i zamknąłem.

Byłem gotów.

Jak już się państwo dawno domyślili, miałem właśnie wejść w świat handlu. Zamierzałem sprzedawać swoje pigułki na potencję klienteli, która już wkrótce miała zacząć dopominać się o wciąż nowe i nowe. Postanowiłem sprzedawać je pojedynczo, po jednej w pudełku, i liczyć sobie za nie bardzo słono.

No, a klientela? Skąd ją wziąć? Jak siedemnastoletni chłopak w obcym mieście powinien zabrać się do szukania chętnych na swoją cudowną pigułkę? Cóż, ja nie miałem żadnych wątpliwości. Wystarczyło bowiem znaleźć tylko jedną osobę odpowiedniego typu, poczęstować ją pigułką, a ów zachwycony szczęśliwiec natychmiast przy galopowałby po dokładkę. Szepnąłby o tym na ucho swoim znajomym i radosna wieść rozprzestrzeniłaby się niczym pożar w lesie.

Wybrałem już swoją pierwszą ofiarę.

Nie wspomniałem Wam jeszcze, że mój ojciec, William Cornelius, pracował w dyplomacji. Własnego majątku się nie dorobił, był jednak zręcznym dyplomata, potrafiącym żyć całkiem dostatnio ze swojej pensji. Ostatnio sprawował urząd ambasadora w Danii, a obecnie utknął na jakimś stanowisku w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Londynie przed otrzymaniem nowej, poważniejszej nominacji. W tamtych dniach ambasadorem Wielkiej Brytanii we Francji był jegomość nazywający się sir Charles Makepiece, stary znajomy ojca, który przed moim wyjazdem do Paryża wysłał do sir Charlesa list z prośbą, żeby miał na mnie oko.

Wiedziałem, co muszę zrobić, i zabrałem się do tego natychmiast. Włożyłem najlepszy garnitur i udałem się do ambasady angielskiej. Naturalnie nie wszedłem tam przez kancelarię. Zapukałem do prywatnej rezydencji ambasadora, która mieściła się w tymże okazałym budynku, lecz na jego tyłach. Była czwarta po południu. Lokaj w białych bryczesach i szkarłatnym surducie otworzył mi drzwi i zmierzył mnie wzrokiem. Nie miałem wizytówki, lecz zdążyłem powiedzieć mu, że moi rodzice to bliscy znajomi sir Charlesa i lady Makepiece, i poprosiłem o łaskawe zawiadomienie jaśnie pani, że szanowny Oswald Cornelius przyszedł złożyć wyrazy uszanowania.

Lokaj wprowadził mnie do westybulu, gdzie usiadłem i czekałem. Po pięciu minutach wpłynęła tam majestatycznie w powodzi jedwabów i szyfonów lady Makepiece.

- No, no! - zawołała, ujmując mnie za rękę. - Więc to pan jest synem Williama! Szelma, zawsze miał dobry gust! Otrzymaliśmy jego list i czekaliśmy na pańskie pojawienie się.

Była dorodną babą. Jasne, że niemłoda, ale też nie całkiem jeszcze przekwitła. Dawałem jej około czterdziestki. Miała oszałamiającą twarz, z gatunku tych wiecznie młodych, których rysy są jakby wykute z marmuru, a niżej tors zwężający się w talię, która zmieściłaby mi się w dłoniach. Zmierzyła mnie jednym szybkim, przenikliwym spojrzeniem i widać zadowolono ją to, co ujrzała, bo jej następne zdanie brzmiało:

- Proszę wejść, synu Williama, zjemy podwieczorek i pogawędzimy.

Poprowadziła mnie za rękę przez wiele przestronnych i wspaniale urządzonych pokoi, aż dotarliśmy do mniejszej, przytulnej komnatki z kanapą i fotelami. Na jednej ze ścian wisiał pastel Bouchera, a na innej

akwarela Fragonarda.

- To jest mój prywatny gabinecik - oznajmiła. - Właśnie stąd dowodzę życiem towarzyskim ambasady.

Uśmiechnęła się i usiadła na kanapie. Fantazyjnie odziany lokaj wniósł na srebrnej tacy herbatę i kanapki. Były malutkie, trójkątne i przybrane Przymakiem Dzentelmena. Lady Makepiece usiadła przy mnie i nalala herbaty.

- No a teraz proszę mi opowiedzieć wszystko o sobie - powiedziała. Nastąpiło wiele pytań i odpowiedzi na temat mojej rodziny i mnie. Wszystkie bardzo banalne, wiedziałem jednak, że muszę przez nie przejść w imię mojego wspaniałego planu. Tak więc rozmawialiśmy przez jakieś czterdzieści minut, a jaśnie pani często klepała mnie po udzie ozdobioną klejnotami dłonią, żeby podkreślić jakąś kwestię. W końcu nie cofnęła ręki z mojej nogi i poczułem, że naciskają lekko palcami. Ho, ho, pomyślałem. Do czego ta staruszka zmierza? Wtem zerwała się na nogi i nerwowo zaczęła przemierzać pokój. Siedziałem i obserwowałem ją. Chodziła tam i z powrotem z dłońmi splecionymi z przodu, potrząsała głową i wzdychała głęboko, aż unosiły się jej piersi. Przypominała ciasno zwiniętą sprężynę. Nie wiedziałem, jak mam się zachować.

- Chyba już pójdę - powiedziałem wstając.

- Nie, nie! Proszę zostać! Usiadłem.

- Zna pan mojego męża? - strzeliła pytaniem. - Na pewno nie. Dopiero co pan przyjechał. Jest uroczy. To wspaniały człowiek. Ale posunął się, bidulek, w latach i nie może zażywać już tyle ruchu co dawniej.

- A to pech - powiedziałem. - Koniec z tenisem i polo.

- Nawet z ping-pongiem - poskarżyła się.

- Wszyscy się starzeją.

- Niestety. Rzecz jednak w tym... - Urwała, wczekując. Ja również czekałem.

Oboje czekaliśmy. Milczeliśmy bardzo długo.

Nigdy nie wiem, co począć z takim milczeniem. Denerwuje mnie.

- Rzecz w czym, madame? - spytałem.

- Nie rozumie pan, że staram się o coś pana spytać? - przemówiła wreszcie.

Nie znalazłem na to odpowiedzi, więc poczęstowałem się jeszcze jedną kanapką i wolno ją zjadłem.

- Chcę pana prosić o przysługę, *mon petit garçon* - powiedziała. - Zdaje się, że jest pan wysportowany?

- Raczej tak - potwierdziłem, z rezygnacją godząc się w duchu na grę w tenisa lub ping-ponga z tą kobietą.

- Zgodziłby się pan?

- Ależ tak. Zrobię to z przyjemnością - odparłem, chcąc ją pocieszyć.

Pragnąłem jedynie spotkać się z ambasadorem. To on był moim celem. Wybrańcem, który miał otrzymać pierwszą pigułkę, a tym samym uruchomić lawinę zamówień. Ale mogłem dostać się do niego tylko za pośrednictwem pani ambasadorowej.

- Nie proszę o wiele - powiedziała.

- Proszę mną dysponować, madame.

- Nie żartuje pan?

- Skądże znowu.

- Więc twierdzi pan, że jest wysportowany?

- W szkole grałem w rugby - odparłem. - I w krykieta. Jestem całkiem

niezłym, szybkim zawodnikiem.

Zatrzymała się i posłała mi długie spojrzenie.

W tym momencie w głowie zadzwonił mi mały ostrzegawczy dzwoneczek. Puściłem go mimo uszu. Bez względu na rozwój wypadków nie mogłem zrazić sobie tej kobiety.

- Niestety, ja nie gram w rugby - powiedziała. - Ani w krykieta.

- Dobrze też gram w tenisa - odpowiedziałem. - Ale nie mam ze sobą rakiety. - Wziąłem jeszcze jedną kanapkę. Ubóstwiam smak sardeli. - Mój ojciec twierdzi, że anchois niszczą zmysł smaku - dodałem, przeżuwając kanapkę. - Nie trzyma w domu Przysmaku Dżentelmena. Natomiast ja za nim przepadam.

Wzięła potężny oddech i piersi nadęły się jej jak dwa olbrzymie balony.

- Powiem ci, czego chcę - szepnęła pieszczotliwie. - Chcę, żebyś mnie zgwałcił, zgwałcił, zgwałcił! Chcę, żebyś mnie zgwałcił na śmierć! Chcę, żebyś to zrobił już! Natychmiast! Prędko!

O, do licha, pomyślałem. Masz babo placek.

- Nie bądź taki zgorszony, mój chłopcze.

- Nie jestem zgorszony.

- Ależ jesteś! Widzę to po twojej minie. Nie powinnam cię była prosić, jesteś taki młody. Ile ty masz lat? Nie, nie mów mi. Nie chcę wiedzieć. Jesteś prześliczny, ale uczniacy to zakazany owoc. Jaka szkoda. To przecież oczywiste, że nie wszedłeś jeszcze w świat namiętnych kobiet. Wątpię nawet, żebyś jakąś tknął.

To mnie ubodło.

- Jest pani w błędzie, lady Makepiece - powiedziałem. - Spółkowałem już z kobietami po obu stronach kanału. A także na morskich statkach.

- Ach, ty łobuziaku! Nie wierzę ci!

Nadal siedziałem na kanapie, a ona stała nade mną. Wielkie czerwone usta miała rozwarte i dyszała.

- Z pewnością rozumiesz, że nawet bym o tym nie wspomniała, gdyby Charles nie był... nie miał już tego raczej za sobą, prawda?

- Naturalnie, że rozumiem - odparłem, wierząc się. - Rozumiem doskonale. Ogromnie współczuję. Wcale pani za to nie winie.

- Poważnie?

- Oczywiście.

- Och, ty ślicznoto! - zawołała i rzuciła się na mnie jak tygrysica.

Nie mam nic szczególnie pouczającego do opowiedzenia o dzikich harcach, jakie potem nastąpiły, z wyjątkiem tego, że jaśnie pani zdumiała mnie swoimi zdolnościami, jeśli chodzi o wykorzystanie kanapy. Aż do tej pory byłem zdania, że kanapa to kiepski plac do miłosnych zbytków, choć niebo świadkiem, często korzystałem z niej wespół z londyńskimi pannami z towarzystwa, kiedy ich rodziciele chrapali na górze. Uważałem ów mebel za straszliwie niewygodny, gdyż otoczony z trzech stron wyściełanymi ściankami, posiadał tak wąską powierzchnię poziomą, że człowiek wciąż spadał na podłogę. Jednakże lady Makepiece figle na kanapie opanowała po mistrzowsku. Dla niej była ona niczym koń gimnastyczny, na którym skacze się, odbija od niego, fika, kręci i wyczynia najbardziej zawiłe ewolucje.

- Była pani nauczycielką gimnastyki? - zapytałem.

- Milcz i skup się - rozkazała, obracając mnie tak, jakbym był bryłą francuskiego ciasta.

Na szczęście byłem młody i giętki, bo jestem pewien, że w przeciwnym

razie połamałaby mi kości. Przyszedł mi na myśl biedny sir Charles i gehenna, którą musiał przeżywać w swoim czasie. Nic dziwnego, że wołał przejść w stan spoczynku. No, ale poczekajmy, aż łyknie sudańskiego chrząszcza, pomyślałem. A wówczas to ona będzie błagać o chwilę wytchnienia, a nie on.

Lady Makepiece umiała także po mistrzowsku zmieniać role. Dwie minuty po zakończeniu naszych swawoli siedziała znowu jakby nigdy nic przy małym biurczku w stylu Ludwika XV, tak schludna i spokojna, jak w chwili, gdy ją zobaczyłem po raz pierwszy. Energia już ją opuściła i miała senna, zadowoloną minę boa dusiciela, który właśnie połknął żywego szczura.

- Posłuchaj - powiedziała, pilnie wpatrując się w jakąś kartkę. - Jutro wydajemy wspaniały bankiet z okazji odsieczy Mafeking.

- Ależ Mafeking odbito dwanaście lat temu - odparłem ze zdziwieniem.

- Nadal czcimy to wydarzenie. Chcę powiedzieć, że odpadł nam admirał Joubert. Odbywa właśnie przegląd swojej floty na Morzu Śródziemnym. Co powiesz na to, aby zająć jego miejsce?

Z wielkim trudem powstrzymałem się od okrzyku „Hurra!” Właśnie tego było mi potrzeba.

- Będę zaszczycony - odparłem.

- Przyjdzie większość francuskich ministrów - powiedziała. - I wszyscy ważniejsi ambasadorowie. Masz biały krawat?

- Mam - potwierdziłem.

W owych czasach nikt me wyruszał w podróż bez kompletnego stroju wieczorowego, nawet osoby w moim wieku.

- Doskonale - powiedziała lady Makepiece, wpisując moje nazwisko na

listę gości. - A więc do jutra wieczór o ósmej. Do widzenia, mój mały mężczyzno. Miło mi było cię poznać-pożegnała mnie, bardzo zajęta ponownie przeglądaniem listy gości, sam więc odnalazłem drogę do wyjścia.

#### 4.

Następnego wieczoru, dokładnie o ósmej, stawilem się w ambasadzie. Byłem przepisowo wystrojony we frak i biały krawat. W owych czasach fraki miały w obu połach głębokie kieszenie i w nich to właśnie ukryłem tuzin pudełeczek z pigułkami. Ambasada jarzyła się światłami, a pod jej bramy ze wszystkich stron zajeżdżały powozy. Wszędzie stali lokaje w liberiach. Wszedłem i stanąłem w kolejce gości oczekujących na powitanie przez gospodarzy.

- Drogi chłopcze - powitała mnie lady Makepiece. - Tak się cieszę, że pan przyszedł. Charlesie, przedstawiam ci Oswalda Corneliusa, syna Williama. Sir Charles Makepiece był niskim, drobniutkim jegomościem ze wspaniałą, gęstą, siwą czupryną. Miał niezdrową cerę koloru herbatników, wyglądającą tak, jakby oproszono ją miłkim brązowym cukrem. Jego twarz od czoła po brodę pokrywała siatka głębokich, włoskowatych pęknięć, co w połączeniu z pudrowatą, herbatnikową skórą nadawało mu wygląd popiersia z terakoty, która właśnie zaczęła się kruszyć.

- A więc jest pan synem Williama? - spytał, ściskając mi dłoń. - Jak się panu powodzi w Paryżu? Jeśli mogę coś dla pana zrobić, proszę mi tylko powiedzieć.



Wmieszałem się w błyszczący tłum. Byłem chyba jedynym mężczyzną na przyjęciu, którego piersi nie pokrywały odznaczenia i wstążki. Staliśmy rozproszeni w salonie, popijając szampana. Potem zaś poproszono nas na bankiet. Ach, ta jadalnia, cóż to był za widok! Około setkę gości posadzono przy stole długości dwóch boisk do krykieta. Małe karteczki informowały, gdzie jest czyje miejsce. Ja znalazłem się pomiędzy dwiema starymi, niewiarygodnie brzydkimi kobietami. Jedna była żoną bułgarskiego ambasadora, a druga ciotką króla Hiszpanii. Skupiłem się na jedzeniu, które było wyborne. Do tej pory pamiętam dużą jak piłka golfowa truflę, upieczoną w białym winie i podaną w małym glinianym naczyniu z pokrywką. A także to, jak pysznie niedogotowany był skarp, ze środkiem niemal surowym, lecz przecież gorącym. (Anglicy i Amerykanie nieodmiennie gotują ryby zbyt długo). No a wina! Te wina to coś godnego pamięci!

Lecz co, jeśli łaska, mógł wiedzieć siedemnastoletni Oswald Cornelius o winach?! Słuszne pytanie. A jednak odpowiedź brzmi, że niemało. Ponieważ nie wyjawiałem Wam jeszcze, Czytelnicy, że mój ojciec kochał wino nade wszystko w życiu, w tym również nad kobiety. Myślę, że był w tej materii prawdziwym znawcą. Jego namiętnością był burgund. Uwielbiał też bordo, ale zawsze uważał, że nawet najprzedniejsze z tych czerwonych win są odrobinę zbyt damskie. „Bywa, że bordo ma ładniejszą twarz i lepszą figurę - mawiał - ale to właśnie burgundy są krzepkie i dziarskie”.

Kiedy skończyłem czternaście lat, zaczął przelewać część swojej pasji do win na mnie i nie dalej jak w ubiegłym roku zabrał mnie na dziesięciodniową pieszą wycieczkę do Burgundii w czasie wrześnieowego

winobrania. Zaczęliśmy od Chagny i stamtąd powędrowaliśmy swoim tempem na północ do Dijon, tak że w następnym tygodniu przemierzyliśmy całą Burgundię. Było to porywające przeżycie. Nie szliśmy główną szosą, ale wąskimi, koleistymi drogami prowadzącymi przez właściwie wszystkie wspaniałe winnice słynnego Złotego Stoku, najpierw do Montrachet, potem do Meursault i do Pommard, a nocowaliśmy w cudownym małym hoteliku w Beaune, gdzie jedliśmy *ecrevisses* pływające w białym winie oraz grzanki z masłem i cienkimi plasterkami gęsiej wątróbki.

Pamiętam, że następnego dnia siedzieliśmy na niskim białym murku na granicy Romanee Conti i jedliśmy południowy posiłek składający się z kurczaków na zimno, bułki paryskiej, *fromage dur* i butelki samego Romanee Conti. Rozłożyliśmy swoje wiktuały na tym murku, a obok postawiliśmy butelkę z winem i dwa pojemne kieliszki. Ojciec wyciągnął korek i nalał wina, a ja najlepiej jak umiałem podzieliłem kurczaka, potem zaś siedząc w ciepłym jesiennym słońcu przyglądaliśmy się zbieraczom winogron przeczesującym winorośle, napełniającym kosze, niosącym je na początek rzędów i wrzucającym winogrona do większych koszów, które jeden po drugim opróżniano na wozy zaprzężone w śmietankowo-brązowe konie. Pamiętam ojca, który siedział na tym murze i wymachiwał częściowo objedzoną nóżką kurczęcia w kierunku tego wspaniałego widowiska.

- Siedzisz, synu, na skraju najszlachetniejszej piędzi ziemi na świecie! - powiedział mi. - Tylko się przypatrz! To cztery i pół akra krzemienistej, rudej gliny! Nic więcej! Ale z winogron, które zbierają tamci ludzie, powstanie wino będące chlubą wszystkich win! W dodatku jest ono prawie

niedostępne, bo wytwarzają go bardzo niewiele. Wąchaj je! Wdychaj jego bukiet! Kosztuj je! Pij! Ale nie próbuj go opisać! To niemożliwe wyrazić słowami jego smak! Pić Romanee Conti, to jak przeżywać orgazm ustami i nosem jednocześnie.

Uwielbiałem, kiedy mój ojciec tak się zapalał. Słuchając go za moich młodych lat, począłem uświadamiać sobie, jakie to ważne jest być entuzjastą. Nauczył mnie, że jeśli ktoś interesuje się czymś, obojętnie czym, to powinien oddać się temu bez reszty. Objąć to, przytulić, pokochać, a nade wszystko rozpać w sobie namiętność do tego. Nie wolno być letnim. A nawet gorącym. Trzeba być rozpalonym do czerwoności i żarliwym.

Odwiedziliśmy Cios de Vougeot, Bonnes-Mares, Cios de la Roche, Chambertin i wiele innych cudownych miejsc. Zeszliśmy do piwnic tych *chateaux* i kosztowaliśmy z beczek zeszłoroczne wina. Przyglądaliśmy się, jak wyciska się winogrona gigantycznymi drewnianymi prasami na śrubach, do których obracania potrzeba sześciu chłopów. Widzieliśmy, jak spod tych pras wypływa do ogromnych drewnianych kadzi sok, a w Chambolle-Musigny, gdzie zbiór winogron rozpoczęto tydzień wcześniej niż w większości winnic, ujrzeliśmy, jak winogronowy sok ożywa w kolosalnych, trzyipółmetrowych beczkach, musując i bulgocząc po rozpoczęciu czarodziejskiego procesu przemiany cukru w alkohol. Akurat w chwili, gdy się temu przyglądaliśmy, wino to ożywiło się tak gwałtownie, a musowanie i bulgotanie tak rozszalało, że kilkunastu mężczyzn musiało się wspiąć i usiąść na pokrywach beczek, aby je powstrzymać.

Znów odbiegłem od tematu. Muszę wracać do mojej opowieści. Ale

chciałem szybko dowieść Państwu, że pomimo młodego wieku byłem całkowicie zdolny docenić jakość win, które piłem tego wieczoru w ambasadzie angielskiej w Paryżu. A były one zaiste godne zapamiętania.

Zaczęliśmy od Chablis Grań Cru „Grenouilles”. Później piliśmy Latour. Następnie Richebourg. A do deseru wspaniałe wiekowe Yquem. Nie pamiętam roczników tych win, ale wszystkie pochodziły sprzed epoki rozpanoszenia się wińca.

Po skończonym obiedzie panie z lady Makepiece na czele opuściły pokój, a sir Charles powiódł mężczyzn do sąsiedniego, ogromnego salonu na porto, koniak i kawę.

Skoro tylko męskie towarzystwo w salonie zaczęło dzielić się na grupki, szybko i przemyślnie znalazłem się przy gospodarzu.

- A, to pan, chłopcze - powiedział ambasador. - Proszę tu ze mną usiąść. Poszło mi idealnie.

W naszym gronie było wraz ze mną jedenastu panów, a sir Charles uprzejmie przedstawił mnie kolejno wszystkim.

- To młody Oswald Cornelius - powiedział. - Jego ojciec był naszym ambasadorem w Kopenhadze. Oto ambasador Niemiec, Oswaldzie.

Zawarłem znajomość z niemieckim ambasadorem. Potem z ambasadorami włoskim, węgierskim, rosyjskim, peruwiańskim i meksykańskim. Następnie poznałem francuskiego ministra spraw zagranicznych, francuskiego generała i wreszcie śmiesznego niskiego bruneta z Japonii, który przedstawiony mi został po prostu jako pan Mitsouko. Wszyscy oni mówili po angielsku, wybierając na ten wieczór nasz język zdaje się przez grzeczność dla gospodarza.

- Młody człowieku, proszę nalać sobie i podać wino dalej - rzekł sir

Charles Makepiece. Nalałem sobie wina i ostrożnie przekazałem karafkę sąsiadowi po lewej ręce. - To dobry trunek. Fonseca z osiemdziesiątego siódmego. Pański ojciec pisze mi, że otrzymał pan stypendium w Trinity. Czy tak?

- Tak, panie ambasadorze - odparłem. Moja szansa miała nadejść lada chwila. Nie mogłem jej przepuścić. Musiałem zaryzykować.

- Co ma pan studiować? - spytał sir Charles.

- Nauki przyrodnicze, panie ambasadorze - odrzekłem i skorzystałem z okazji. - Szczerze mówiąc - dodałem, podnosząc głos na tyle, żeby usłyszeli mnie wszyscy w naszym gronie - w jednym z tamtejszych laboratoriów pracują właśnie nad czymś absolutnie rewelacyjnym. Ścisłe tajnym. Nie uwierzyłby pan, co właśnie odkryli.

Dziesięć głów podniosło się, a dziesięć par oczu spojrzało na mnie z pewnym zainteresowaniem znad kieliszków z porto i filiżanek z kawą .

- Nie wiedziałem, że pan już studiuje - rzekł sir Charles. - Myślałem, że musi pan czekać jeszcze rok i właśnie dlatego jest pan tutaj.

- Istotnie - przyznałem - ale mój przyszły opiekun naukowy zaprosił mnie do spędzenia większości ostatniego trymestru w ich laboratorium nauk przyrodniczych. Nauki przyrodnicze to mój ulubiony przedmiot.

- A cóż tak rewelacyjnego tam odkryto, jeśli wolno spytać? - zagadnął odrobinę kpiarsko, co nie dziwne, sir Charles.

- No cóż, panie ambasadorze... - mruknąłem, rozmyślnie zawieszając głos. Przez kilka sekund panowała cisza. Dziewięciu obcokrajowców i angielski ambasador milczało, grzecznie czekając, aż podejmę temat. Patrzyli na mnie z wyrozumiałością i rozbawieniem. Temu młodzieńcowi, zdawali się mówić, nie brakuje czelności, żeby tak przed nami perorować. Ale

posłuchajmy go. To lepsze niż gadanie o polityce.

- Nie powie pan chyba, że dopuszczają kogoś w pańskim wieku do tajemnic - rzekł sir Charles z lekkim uśmiechem na kruchym, terakotowym obliczu.

- To nie są tajemnice wojskowe, panie ambasadorze - wyjaśniłem. - Wróg nic by na nich nie skorzystał. To tajemnice, które dopomogą ludzkości.

- W takim razie proszę nam o nich opowiedzieć - zachęcił mnie sir Charles, przypalając długie cygaro. - Ma pan przed sobą znakomite grono słuchaczy i wszyscy czekają na pańskie rewelacje.

- Moim zdaniem, jest to największy przełom w nauce od czasów odkryć Pasteura - powiedziałem. - Zmieni on nasz świat.

Francuski minister spraw zagranicznych świsnął przenikliwie, wciągając powietrze przez owłosione dziurki w nosie.

- A więc macie w tej chwili w Anglii swojego Pasteura? - zapytał.

- Skoro tak, to ogromnie chciałbym o nim usłyszeć.

Jaki gładki, obłudny i piekielnie inteligentny Francuz był z tego ministra. Musiałem się mieć przed nim na baczności.

- Jeżeli rzeczywiście świat stoi na progu przemian, odrobinę dziwi mnie, że wiadomość o tym nie trafiła na moje biurko - rzekł sir Charles.

Hola, Oswaldzie, ostrzegłem się w duchu. Ledwie co zacząłeś, a już się zagalopowałeś.

- Wybacz pan, panie ambasadorze, ale rzecz w tym, że on jeszcze nie ogłosił wyników.

- Kto nie ogłosił? Co za on?!

- Profesor Jusupoff, panie ambasadorze.

- Jusupow? - spytał rosyjski ambasador, odstawiając kieliszek z porto.

- To Rosjanin?

- Tak, panie ambasadorze, Rosjanin.

- To dlaczego ja o nim nie słyszałem?

Nie miałem ochoty wplątywać się w jeszcze większą kabałę z tym czarnookim, czarnobrodym Kozakiem, więc zamilkłem.

- Niechże pan mówi, młodzieńcze - zachęcił mnie sir Charles. - Proszę nam opowiedzieć o największym przełomie naukowym naszych czasów. Nie może pan przecież trzymać nas w niepewności.

Parę razy odetchnąłem głęboko i ryknąłem porto. Wielka chwila nadeszła. O niebiosy, byleby tylko wszystkiego nie zepsuć!

- Od wielu lat - zacząłem - profesor Jusupoff pracował nad teorią głoszącą, że pestki dojrzałego owocu granatu zawierają składnik, który ma silne właściwości odmładzające.

- W naszym kraju są miliony, miliony granatów - zawołał z dumną miną ambasador Włoch.

- Nie przerywaj, Emilio - rzekł sir Charles. - Niech chłopiec mówi dalej.

- Przez dwadzieścia siedem lat profesor Jusupoff badał pestki granatu - ciągnąłem. - Stało się to jego obsesją. Nocował w laboratorium. Z nikim się nie spotykał. Nigdy się nie ożenił. Jego pracownię wypełniły granaty i ich nasiona.

- Proszę wybaczyć - wtrącił niski Japończyk. - Ale dlaczego właśnie granaty? Dlaczego nie winogrona albo czarne porzeczki?

- Nie umiem na to odpowiedzieć, proszę pana - odparłem. - Sądzę, że chodzi tu po prostu o tak zwane przeczucie.

- Jak na przeczucie, to poświęcił mu mnóstwo czasu - powiedział sir

Charles. - Ale proszę mówić, chłopcze. Nie powinniśmy panu przerywać.

- W styczniu tego roku wytrwałość profesora doczekała się wreszcie nagrody - mówiłem dalej. - Zrobił rzecz następującą. Rozciął ziarno granatu i kawałek po kawałku zbadał jego zawartość pod potężnym mikroskopem. I właśnie dopiero wtedy zauważył w samym jądrze tego nasionka mikroskopijną drobinę czerwonej roślinnej tkanki, której nigdy dotąd nie widział. Przystąpił do wyodrębnienia tej malutkiej cząsteczki. Naturalnie była ona za mała, by z niej samej mieć jakiś pożytek. Dlatego też profesor zabrał się do podziału stu ziaren, żeby uzyskać z nich sto malutkich czerwonych cząsteczek. Właśnie wtedy pozwolił mi sobie asystować. To znaczy, oddzielać te cząsteczki pod mikroskopem. Zajęło nam to cały tydzień.

Znowu łyknąłem porto. Moi słuchacze czekali na dalszy ciąg.

- Tak więc wyodrębniliśmy sto czerwonych drobinek, ale nawet po ułożeniu wszystkich stu na szkiełku laboratoryjnym nie było ich widać gołym okiem.

- A więc te drobiniki były czerwone? - spytał ambasador Węgier.

- Pod mikroskopem były jaskrawoszarłatne - odparłem.

- I co z nimi zrobił ten słynny profesor?

- Dał do zjedzenia szczurowi.

- Szczurowi?!

- Tak - potwierdziłem. - Wielkiemu białemu szczurowi.

- Ale po co ktosz karmiłby tymi czerwonymi czostkami szczura? - spytał ambasador Niemiec.

- Ależ daj panu mówić, Wolfgang! Pozwól mu skończyć. Chcę wiedzieć, co się stało - rzekł do Niemca sir Charles i skinął mi głową, żebym



kontynuował.

- Widzi pan, panie ambasadorze - ciągnąłem - profesor Jusupoff miał w laboratorium wiele białych szczurów. Wziął te sto maleńkich drobinek i nakarmił nimi dużego zdrowego samca. Zrobił to, umieściwszy je najpierw pod mikroskopem w kawałku mięsa. A potem wpuścił tego szczura do klatki z dziesięcioma samicami. Pamiętam doskonale, jak staliśmy z profesorem przy tej klatce i obserwowaliśmy naszego pupila. Odbyło się to późnym popołudniem, byliśmy tak podekscytowani, że zapomnieliśmy zjeść lunch.

- Wybacz pan, jedną chwileczkę - przerwał mi bystry francuski minister spraw zagranicznych. - Ale co panów tak podekscytowało? Czemu to sądziliście, że coś się stanie z tym szczurem?!

No i masz, pomyślałem. Wiedziałem, że muszę się strzec tego przebiegłego Francuza.

- Byłem podekscytowany, panie ministrze, po prostu dlatego, że podniecony był profesor Jusupoff - odparłem. - Sprawiał wrażenie, jakby wiedział, że na pewno coś się wydarzy. Nie potrafię panom wyjaśnić, skąd czerpał to przekonanie. Proszę nie zapominać, że byłem tylko młodszym asystentem. Profesor nie zwierzał się mi ze wszystkich swoich tajemnic.

- Rozumiem - rzekł Francuz. - Posłuchajmy więc dalszego ciągu.

- Oczywiście, proszę pana - odparłem. - Tak więc obserwowaliśmy szczura. Z początku nic się nie działo. Aż tu raptem, dokładnie po dziewięciu minutach, szczur zamarł. Skulił się, drżąc na całym ciele. Patrzył na samice. Podkradł się do najbliższej, chwycił ją zębami za skórę na karku i pokrył. Nie trwało to długo. Posiadł ją bardzo gwałtownie i bardzo szybko. I tu właśnie zaczynają się rewelacje. W chwili gdy szczur

skończył kopulować z pierwszą samicą, chwycił drugą i obszedł się z nią dokładnie w taki sam sposób. Potem wziął trzecią samicę, czwartą, piątą... Był niezmordowany. Przechodził od samicy do samicy, spółkując z nimi po kolei, aż pokrył wszystkie dziesięć. Ale i wtedy, panowie, wcale nie miał dość.

- Wielkie nieba! - mruknął sir Charles. - Co za osobliwy eksperyment.

- Muszę dodać, że w normalnych warunkach szczury nie są stworzeniami rozwiązłymi. Tak naprawdę, to ich pobudliwość seksualna jest raczej umiarkowana.

- Jest pan pewien? - spytał francuski minister. - Sądziłem, że szczury to nadzwyczaj chutliwe zwierzęta.

- Nie, panie ministrze - odparłem stanowczo. - Szczury to w rzeczywistości bardzo inteligentne i łagodne stworzenia. Łatwo je oswoić.

- Proszę mówić - ponaglił mnie sir Charles. - I co z tego wszystkiego wynika?

- Profesor Jusupoff bardzo się podniecił. „Oswaldsky! - wykrzyknął, bo tak mnie nazywał - Oswaldsky, mój chłopcze, sądzę, że odkryłem bezwzględnie najpotężniejszy, najsilniejszy seksualny środek podniecający w historii ludzkości!” Odparłem, że podzielam jego zdanie. W dalszym ciągu staliśmy przy klatce ze szczurami, w której samiec bez przerwy rzucał się na udręczone samice, jedną po drugiej. Po godzinie padł z wyczerpania. „Daliśmy mu za dużą dawkę”, powiedział profesor.

- A propos tego szczura, co się z nim ostatecznie stało? - spytał ambasador Meksyku.

- Zdechł - odparłem.

- Z powodu zbyt wielu kobiet?

- Tak - potwierdziłem.

Niski Meksykanin klasnął mocno w dłonie i zawołał:

- Właśnie tak pragnę rozstać się z tym światem, kiedy przyjdzie mi skonać! Z powodu zbyt wielu kobiet!

- F Meksyku o to latfo, bo mnóstwo tam kóz i oślic - parsknął z pogardą ambasador Niemiec.

- Dość tego, Wolfgang - ostrzegł go sir Charles. - Nie wszczynajmy tu wojen. Słuchamy przecież nadzwyczaj interesującej historii. Niech pan mówi, chłopcze.

- Dlatego następnym razem wyodrębniliśmy tylko dwadzieścia tych maleńkich, czerwonych, mikroskopijnych jąder. Włożyliśmy je do kulki z chleba i udaliśmy się na poszukiwanie jakiegoś bardzo sędziwego starca. Dzięki miejscowej gazecie znaleźliśmy naszego staruszka w Newmarket. Jest to miasto niedaleko Cambridge. Nazywał się Rypkins i miał sto dwa lata. Cierpiał na zaawansowaną zgrzybiałość. Bredził niestworzone rzeczy i trzeba go było karmić łyżką. Od siedmiu lat nie wstawał z łóżka. Wraz z profesorem zapukaliśmy do drzwi jego domu. Otworzyła nam jego osiemdziesięcioletnia córka.

- Jestem profesor Jusupoff - przedstawił się profesor. - Odkryłem właśnie wspaniały lek, który pomaga starszym ludziom. Czy wolno nam będzie dać go trochę pani biednemu, leciwemu ojcu?

- A dawajcie mu, co wam się żywnie podoba! - odparła córka. - Ten stary dureń nie odróżnia dnia od nocy. Mam ja z nim krzyż pański.

Weszliśmy na górę, gdzie profesorowi udało się jakoś wepchnąć starcowi do gardła kulkę z chleba. Zapamiętałem godzinę na moim zegarku.

- Wycofajmy się na ulicę i obserwujmy - powiedział profesor. Wyszliśmy z

domu i stanęliśmy na chodniku. Liczyłem głośno upływające minuty. Wtem - nie uwierzycie, panowie, ale przysięgam, że tak właśnie było - dokładnie po dziewięciu minutach, co do sekundy, z domu Rypkinsów dobiegł nas gromki ryk. Drzwi otwały się z trzaskiem i na ulicę wypadł ten starzec. Był na bosaka, w brudnej piżamie w niebiesko-szare pasy, a na ramiona opadały mu długie siwe włosy.

- Chcę baby! - ryknął. - Chcę baby i, jak Bóg na niebie, będę ją miał! Profesor chwycił mnie za rękę.

- Stój! - rozkazał. - Tylko patrz!

Na ulicę wypadła za ojcem osiemdziesięcioletnia córka.

- Wracaj, stary durniu! - krzyknęła. - Co ty, do diabła, chcesz zrobić? Przy okazji wspomnę, że staliśmy na małej uliczce, po obu stronach której ciągnęły się rzędy identycznych, szeregowych domków. Pan Rypkins nie zareagował na wołania córki, podbiegł, tak jest, podbiegł do sąsiedniego domu i zaczął walić pięściami do drzwi.

- Otwórz, jejmość Chutkins! - ryknął. - Chodź, ślicznotko, otwórz drzwi, to się zabawimy!

W oknie mignęła mi przerażona twarz pani Chutkins. Po czym zniknęła. Pan Rypkins, nie przestając ryczeć, napał barkiem na wążle drzwi i wyważył je. Wpadł do środka. Pozostaliśmy na ulicy czekając, co będzie. Profesor był nadzwyczaj podniecony. Podskakiwał w swoich śmiesznych czarnych kamaszach i wykrzykiwał:

- Dokonaliśmy przełomowego odkrycia! Udało ię! Odmłodziliśmy świat!

Raptem z domu pani Chutkins dobiegły przeraźliwe krzyki i wrzaski. Na ulicy poczęli gromadzić się sąsiedzi.

- Wejdźcie tam i zabierzcie go! - zawołała stara córka. - Do reszty

zwariował!

Dwóch mężczyzn wbiegło do domu pani Chutkins. Usłyszeliśmy odgłosy szarpaniny. Wkrótce potem dwaj ochotnicy wynieśli stamtąd pana Rypkinsa za ręce i nogi.

- Załatwiłem ją! - krzyczał. - Przeleciałem tę starą wiedźmę tam i z powrotem! Wyłomotałem ją tak, że o mało nie umarła!

W tym momencie ja i profesor wycofaliśmy się dyskretnie z miejsca zdarzenia.

Przerwałem opowieść. Siedmiu ambasadorów, minister spraw zagranicznych Francji, francuski generał i niski Japończyk siedzieli wychyleni, wpijając we mnie wzrok.

- Czy wszystko to prawda? - spytał sir Charles.

- Najszczerza prawda, co do słowa, panie ambasadorze - skłamałem. - Kiedy profesor Jusupoff ogłosi swoje odkrycie, cały świat przeczyta o tym, co właśnie panom opowiedziałem.

- A co było potem? - spytał ambasador Peru.

- Od tamtego czasu wypadki potoczyły się względnie gładko. Profesor przeprowadził serię doświadczeń, żeby ustalić, jaka dawka tego środka jest wystarczająca i całkowicie bezpieczna dla dorosłego mężczyzny. Wykorzystał do tego celu ochotników spośród studentów. Możecie być panowie pewni, że nie miał najmniejszych trudności ze znalezieniem chętnych młodych ludzi. Kiedy tylko wieść o tym rozeszła się po uniwersytecie, kolejka czekających przekroczyła osiemset osób. Ale streszczając się, mój profesor w końcu dowiódł, że bezpieczna dawka wynosi najwyżej pięć tych maleńkich, mikroskopijnych jąderek wydobytych z ziarnka granatu. Tak więc na bazie węglanu wapnia zrobił

pigułkę zawierającą tę właśnie ilość cudownej substancji. I udowodnił niezbitcie, że jedna taka pigułka dokładnie po dziewięciu minutach zamienia każdego mężczyznę, nawet najbardziej wiekowego starca, w zdumiewająco sprawną maszynę erotyczną, zdolną dogadzać każdej bez wyjątku partnerce przez sześć godzin z rzędu.

- *Gott im Himmel!* - wykrzyknął ambasador Niemiec. - Kdzie mogę dostacz ten szpecyfik?

- I ja! - zawołał rosyjski ambasador. - Mnie się należy pierwszeństwo, bo go wynalazł mój rodak! Muszę w trymiga uwiadomić o tym cara!

Nagle zaczęli mówić jeden przez drugiego. Gdzie można zdobyć ten środek?! Chcieli wiedzieć natychmiast. Ile on kosztuje? Gotowi byli szczerze zapłacić. Zaś siedzący po mojej lewej ręce niziutki Japończyk pochylił się ku mnie i syknął:

- Niech pan mi dostarczy duży zapas tych pigułek, dobrze? Dużo zapłacę.

- Zaraz, panowie, chwileczkę - rzekł sir Charles, nakazując ciszę podniesieniem pomarszczonej ręki. - Nasz młody przyjaciel opowiedział nam tu fascynującą historię, ale - jak słusznie podkreślił - jest tylko młodszym asystentem profesora... jak mu tam. Jestem święcie przekonany, że nie ma możliwości dostarczenia nam tej rewelacyjnej nowej pigułki. Ale może, drogi Oswaldzie - tu sir Charles pochylił się w moją stronę i delikatnie położył mi na przedramieniu zwiędłą dłoń - mógłby mnie pan skontaktować z tym znakomitym profesorem. Do moich obowiązków, jako ambasadora, należy informowanie na bieżąco ministra spraw zagranicznych o wszystkich nowych wynalazkach.

- To całkiem zrozumiałe - powiedziałem.

- Gdybym mógł nabyć butelkę tych pigułek, najlepiej dużą, posłałbym ją

natychmiast do Londynu.

- A ja posłałbym ją do Petersburga - zapewnił ambasador Rosji.

- A ja do Budapesztu.

- A ja do Meksyku.

- Ja do Limy.

- A ja do Rzymu.

- Bzdury! - wykrzyknął ambasador Niemiec. - Chcecie je dla siebie, sztare świntuchy!

- Ależ Wolfgangu - powiedział sir Charles, piekąc raczka.

- A czemu nie, drogi Szarlisie? Ja też je chce dla siebie. I dla kajzera oszyfiście, ale fpierf dla mnie.

Polubiłem za to ambasadora Niemiec. Przynajmniej był szczery.

- Panowie, myślę, że najlepiej będzie, żebym ja zajął się wszystkim - rzekł sir Charles. - Osobiście napiszę do profesora.

- Japończycy są bardzo zainteresowani wszystkimi technikami masażu, gorących kąpiel i wszelakim postępem technicznym, a zwłaszcza sam cesarz - zapewnił pan Mitsouko.

Dałem się im wygadać. Panowałem już nad sytuacją, co świetnie wpłynęło na moje samopoczucie. Nalałem sobie jeszcze jeden kieliszek porto, ale odmówiłem zapalenia wielkiego cygara, którym poczęstował mnie gospodarz.

- A może woli pan mniejsze, drogi chłopcze? - spytał skwapliwie. - Albo tureckiego papierosa? Mam trochę bałkańskich „Wyborowych”.

- Nie, dziękuję, panie ambasadorze - odparłem. - Ale porto ma pan wyśmienite.

- Proszę się częstować, drogi chłopcze! Nalać sobie kieliszek!

- Mam kilka ciekawych informacji - oznajmiłem i nagle w szyscy zamilkli. Niemiecki ambasador nadstawił ucha. Rosjanin wychylił się do przodu.

Reszta też.

- To, o czym chcę wam powiedzieć, panowie, jest najściślej poufne

- ciągnąłem. - Czy mogę polegać na panach, że zachowają to dla siebie?

- Tak, tak! - odpowiedział mi chór głosów. - Naturalnie! Jak najbardziej! Mów, mów, młody przyjacielu.

- Dziękuję - powiedziałem. - Sprawy wyglądają tak. Gdy tylko dowiedziałem się, że jadę do Paryża, postanowiłem koniecznie zabrać ze sobą zapas tych pigułek, zwłaszcza dla wielkiego przyjaciela mojego ojca, sir Charlesa Makepiece'a.

- Kochany chłopcze! - wykrzyknął sir Charles. - Co za wielkoduszność!

- Naturalnie, nie mogłem prosić profesora o to, by podarował mi choćby jedną - zaznaczyłem. - Nigdy by się na to nie zgodził. W końcu te pigułki otoczone są nadal ścisłą tajemnicą.

- I co pan zrobił? - spytał sir Charles, śliniąc się z podniecenia.

- Wykradł mu je pan?

- Ależ panie ambasadorze! - oburzyłem się. - Kradzież to przestępstwo!

- Nas może się pan nie obawiać, drogi chłopcze. Nie powiemy o tym nikomu.

- I co pan zrobił? - spytał niemiecki ambasador. - Mófi pan, że ich nie ukradł, a jednak je pan ma.

- Sam je zrobiłem.

- Znakomicie! - wykrzyknęli. - *Magnifique!*

- Asystując profesorowi we wszystkich fazach doświadczeń, poznałem oczywiście dokładnie procedurę wyrobu tych pigułek - powiedziałem. -



No więc... po prostu robiłem je codziennie w jego laboratorium, kiedy wychodził coś zjeść.

Wolnym ruchem sięgnąłem za siebie i z kieszeni w pole fraka wyjąłem małe okrągłe pudełeczko. Zdjąłem pokrywkę. W wymoszczonym wata małym gniazdku spoczywała szkarłatna pigułka.

Wszyscy pochylili się, żeby spojrzeć. Wtem spostrzegłem, że pulchna biała ręka niemieckiego ambasadora pełźnie po stoliku w stronę pudełeczka jak łasica skradająca się do myszy. Sir Charles spostrzegł ją również. Trzepnął dłonią w rękę Niemca, przygważdżając ją do stołu.

- Ależ Wolfgangu, więcej cierpliwości - skarcił go.

- Chce te pikulke - oświadczył ambasador Wolfgang.

Sir Charles przykrył pudełeczko drugą dłonią i już jej nie cofnął.

- Ma pan więcej? - spytał.

Sięgnąłem do kieszeni fraka i wyłowilem z nich jeszcze dziewięć pudełeczek.

- Po jednej dla każdego z panów - powiedziałem. Chciwe ręce sięgnęły przez stół i porwały moje pudełeczka.

- Zapłacę - powiedział pan Mitsouko. - Ile pan żąda?

- Nic - odparłem. - To prezenty. Wypróbujcie je, panowie, przekonajmy się, co o tym myślicie.

Sir Charles odczytał z uwagą etykietkę na pudełku.

- Oho - powiedział - Widzę tu wydrukowany pański adres.

- To na wszelki wypadek - wyjaśniłem.

- Jaki wypadek?

- Na wypadek, gdyby ktoś życzył sobie drugiej pigułki - odparłem.

Zauważyłem, że niemiecki ambasador wyjął mały notesik i coś w nim

zapisał.

- Panie ambasadorze - zwróciłem się do niego - zdaje się, że zamierza pan polecić waszym naukowcom, żeby zbadali pestki granatu. Mam rację?

- Flaśnie to chcę zropicz - przyznał.

- Nic z tego - oznajmiłem. - To strata czasu.

- Folno spytacz czemu?

- Ponieważ to nie był owoc granatu - odparłem. - Coś innego.

- A fienc pan nasz okłamał?

- To jedyna nieściskość w historii, którą panom opowiedziałem. Wybaczyć, ale było to konieczne. Musiałem ochronić tajemnicę profesora Jusupoffa. Sprawa honoru. Reszta jest prawdziwa. Uwierzcie mi, że prawdziwa. Prawdziwa zwłaszcza w tej mierze, że każdy z panów posiada w tej chwili najskuteczniejszy środek odmładzający, jaki zna historia.

W tym momencie powróciły panie i wszyscy mężczyźni w naszym gronie szybko i poniekąd ukradkiem schowali pudełeczka do kieszeni. Wstali. Przywitali się z żonami. Spozstrzegłem, że sir Charles nagle niedorzecznie poweselał. Przebył w podskokach salon i wycisnął głupawy pocałunek na karminowych wargach małżonki. Posłała mu jedno z tych chłodnych spojrzeń, które mówią „A to co, u licha?!” Nie speszony tym wziął ją pod rękę i poprowadził przez salon w tłum gości. Pana Mitsouko widziałem po raz ostatni, kiedy grasował po parkiecie, lustrując z bardzo bliskiej odległości kobiece ciała, niczym handlarz koni oglądający stado klaczy na targowisku. Dyskretnie wymknąłem się z bankietu.

W pół godziny później znalazłem się z powrotem w moim pensjonacie na Avenue Marceau. Rodzina Boisvainow udała się już na spoczynek i wszystkie lampy były zgaszone, ale kiedy w korytarzu na piętrze mijałem

sypialnię mademoiselle Nicole, w szparze pomiędzy drzwiami i podłogą spostrzegłem światło migocącej świecy. Ta mała rozpustnica znów na mnie czekała. Postanowiłem, że nie wejdę do niej. Nawet już w tak wczesnej fazie mojej kariery erotycznej przyjąłem zasadę, że godnymi mojego zainteresowania mogą być jedynie nowe kobiety. Powtórki z już zdobytymi nic mi nie dawały. Przypominały czytanie po raz wtóry powieści kryminalnej. Człowiek dokładnie wiedział, co zaraz nastąpi. Fakt, że właśnie ostatnio złamałem tę zasadę odwiedzając mademoiselle Nicole drugi raz, nie miał znaczenia. Zrobiłem to wyłącznie po to, żeby wypróbować proszek z sudańskich chrząszczy. A propos, zasady, że „żadnej kobiety dwa razy”, przestrzegam rygorystycznie przez całe życie i polecam ją wszystkim ludziom czynu, którzy znajdują przyjemność w różnorodności.

## 5.

Tej nocy spałem dobrze. O jedenastej następnego ranka wciąż jeszcze spałem mocno, kiedy ze snu wyrwał mnie nagle łomot pięści madame Boisvain, dobijającej się do moich drzwi.

- Proszę wstać, monsieur Cornelius! - krzyczała. - Musi pan natychmiast zejść na dół. Ludzie zaczęli dzwonić do drzwi, domagając się widzenia z panem jeszcze przed śniadaniem!

Dokładnie po dwóch minutach znalazłem się ubrany na dole. Poszedłem do drzwi wejściowych i na wybrukowanym chodniku przed domem ujrzałem co najmniej siedmiu nieznanych mi mężczyzn. W swoich

barwnych, wyszukanych liberiach, przyozdobionych najprzeróżniejszymi złoceniami i srebrnymi guzikami przy surdutach, tworzyli malowniczą grupę.

Okazało się, że są posłańcami ambasadorów i przybyli z ambasad brytyjskiej, niemieckiej, rosyjskiej, węgierskiej, włoskiej, meksykańskiej i peruwiańskiej. Wszyscy przynieśli listy do mnie. Przyjąłem je i od razu otworzyłem. Treść ich wszystkich była z grubsza jednakowa: domagano się więcej moich pigułek! Błagano o więcej pigułek. Polecano mi wręczyć je oddawcy listu itd., itp.

Kazałem posłańcom zaczekać na ulicy i wróciłem do swojego pokoju. Tam na wszystkich listach napisałem następujące słowa: „Szanowny Panie. Produkcja tych pigułek jest bardzo kosztowna. Przykro mi, ale w przyszłości cena jednej pigułki będzie wynosić tysiąc franków.” W owych czasach dwadzieścia franków równało się funtowi, co znaczyło, że żądałem - ni mniej, ni więcej - pięćdziesiąt funtów za pigułkę. Zaś w 1912 roku pięćdziesiąt funtów było warte chyba dziesięć razy tyle co dzisiaj. Przykładając do tego współczesną miarę, żądałem prawdopodobnie około pięciuset funtów za pigułkę. To absurdalna cena, ale ludzie ci byli bogaci. A poza tym mieli bzika na punkcie seksu, trudno zaś o łatwiejszą zdobycz niż bardzo bogaty, a ponadto opętany erotycznie mężczyzna, co może potwierdzić każda rozsądna kobieta.

Zbiegłem po schodach, wręczyłem listy odpowiednim posłańcom i kazałem dostarczyć je ich panom. Tymczasem przybyło dwóch kolejnych, jeden z Quai d'Orsay (od ministra spraw zagranicznych), a drugi od generała z Ministerstwa Wojny, czy jak je tam zwą. Kiedy zaś wypisywałem to samo oświadczenie na dwóch ostatnich listach, zjawił się,

zajeżdżając bardzo piękną dwukołówką, któżby inny jak nie pan Mitsouko. Na jego widok doznałem wstrząsu. Jeszcze wczoraj był to tryskający werwą, elegancki, drobny Japończyk o bystrym spojrzeniu. Tego ranka ledwo miał siłę wysiąść z powozu, a kiedy przydreptał do mnie drobnym kroczeniem, ugięły się pod nim nogi. Podtrzymałem go w samą porę.

- Kochany panie! - wysapał, przytrzymując się moich ramion, żeby nie upaść. - Drogi, kochany panie! To cud! Ta pigułka jest cudowna! To... to największe odkrycie wszystkich czasów!

- Niech pan się trzyma - powiedziałem. - Nic panu nie jest?

- Naturalnie, że nic - odparł zasapany. - Jestem tylko ociupinę skonany, nic więcej. - Zachichotał. Miałem przed sobą malutkiego człowieczka ze Wschodu, w cylindrze i fraku, uczeponego moich ramion i zanoszącego się niepowstrzymanym śmiechem. Był tak niski, że sięgał mi zaledwie do dolnych żeber. - Ociupinę skonany, ociupinę żywy - dodał. - Ale któż by nie był, drogi chłopcze, któż by nie był?

- Co się panu przydarzyło? - spytałem.

- Dałem się we znaki siedmiu kobietom! - wykrzyknął z dumą. - A nie były to nasze malusienki, tyciusienki japońskie kobietki! Nie, nie, nie! To były ogromne, silne francuskie dziewczuchy! Łomotałem je na zmianę: łubu-du, łubu-du, łubu-du! A wszystkie krzyczały: *camerade, camerade, camerade!* Byłem dla nich olbrzymem, rozumie pan, kochany młody panie? Byłem olbrzymem, wywijałem swoją olbrzymią maczugą i roztrącałem je, wijące się, na wszystkie strony!

Wprowadziłem go do środka i posadziłem w salonie państwa Boisvainow. Nalałem mu kieliszek koniaku. Wychylił go jednym haustem i na jego

białą jak kreda twarz zaczął powracać bladożółty rumieniec. Spostrzegłem, że na przegubie prawej ręki ma rzemyk, na którym wisi skórzana kaletka. Kiedy ją zdjął i rzucił na stół, w środku zabrzęczały monety.

- Musi pan być ostrożny - ostrzegłem go. - Jest pan małego wzrostu, a to są duże pigułki. Bezpieczniejsza dla pana byłaby połowa dawki. Pół pastylki, zamiast całej.

- DUBY smalone, mój panie! - wykrzyknął. - DUBY smalone w sosie musztardowym, jak powiadamy w Japonii! Dziś wieczorem zamierzam wziąć nie jedną, a trzy pigułki!

- Przeczytał pan, co napisano na etykietce? - spytałem zaniepokojony.

Martwy Japończyk był ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłem. Pomyślcie tylko Państwo o wrzaskach oburzenia, o autopsji, przesłuchaniach, o pudełeczkach z moim nazwiskiem znalezionych w jego domu.

- Przeczytałem uważnie - odparł, wyciągając kieliszek po dolewkę koniaku madame Boisvain - i kicham na nią. My, Japończycy, ciała mamy być może niepozorne, ale za to narządy olbrzymie. Dlatego właśnie chodzimy na pałkowatych nogach.

Postanowiłem zniechęcić go podwajając cenę.

- Niestety, te pigułki są potwornie drogie - powiedziałem.

- Pieniądze nie grają roli - rzekł, wskazując na skórzaną kaletkę leżącą na stole. - Płacę złotem.

- Ależ panie Mitsouko, ta pigułka kosztuje, dwa tysiące franków! - powiedziałem z naciskiem. - Ogromnie trudno ją wyprodukować. To straszna masa pieniędzy jak za jedną tabletkę.

- Biorę dwadzieścia - oświadczył, nie mrugnawszy okiem. Mój Boże, zabije się! - pomyślałem.

- Nie sprzedam ich panu, jeśli pan nie przyrzeknie, że nigdy nie zażyje więcej niż jedną na raz - powiedziałem.

- Zechce mnie pan nie pouczać, panie chwacie - odparł. - Proszę tylko o pigułki.

Poszedłem na górę, odliczyłem dwadzieścia pigułek i włożyłem je do zwykłej butelki. Nie chciałem narażać się na to, że znajdą przy nich moje nazwisko i adres.

- Dziesięć prześlę cesarzowi do Tokio - oznajmił pan Mitsouko, kiedy mu je wręczyłem. - Zapewnię'tym sobie bardzo pożądaną pozycję u cesarza.

- Cesarzowej również zapewni pan tym bardzo pożądane pozycje - odrzekłem.

Uśmiechnął się, wziął skórzaną kaletkę i wysypał na stół ogromny stos złotych monet. Wszystkie były stufrankowe.

- Dwadzieścia monet za pigułkę - powiedział, przystępując do ich odliczania. - W sumie czterysta. To się opłaca, młody czarodzieju.

Po jego wyjściu zgarnąłem monety i zaniósłem je do swojego pokoju.

Mój Boże, pomyślałem. Już jestem bogaty.

Jednakże przed upływem tego dnia stałem się znacznie bogatszy. Jeden po drugim zaczęli napływać z powrotem posłańcy z poszczególnych ambasad i ministerstw. Wszyscy z dokładnymi poleceniami i odliczonymi sumami pieniędzy, na ogół w złotych dwudziestofrankówkach. Odbyło się to w następującym porządku:

Sir Charles Makepiece, 4 pigułki – 4000 franków

Ambasador Niemiec, 8 pigułek – 8000 „

Ambasador Rosji, 10 pigułek – 10000 „

Ambasador Węgier, 3 pigułki – 3000 „  
Ambasador Peru, 2 pigułki – 2000  
Ambasador Meksyku, 6 pigulek – 6000 „  
Ambasador Włoch, 4 pigułki – 4000  
Francuski minister spraw zagranicznych, 6 pigulek – 6000 „  
Francuski generał, 3 pigułki – 3000 „  
46000 Pan Mitsouko, 20 pigulek (za podwójną cenę) – 40000  
OGÓLEM – 86000 franków

Osiemdziesiąt sześć tysięcy franków! Przy kursie pięć funtów za sto franków stałem się nieoczekiwanie właścicielem czterech tysięcy trzystu funtów angielskich! Niewiarygodne! Za takie pieniądze można było kupić dobry dom wraz z powozem i parą koni, a do tego któryś z tych szykownych, nowoczesnych samochodów!

Na kolację tego wieczoru madame Boisvain zaserwowała potrawkę z oślego ogona, co nie było najgorsze, z tym że chlupotliwość tego dania dała panu domu okazję do ciamkania, siorbania i przelykania w najbardziej odrażający sposób. W pewnej chwili podniósł talerz i wlał sobie do ust sos wraz z dwiema marchewkami i dużą cebulą.

- Żona mówi, że miał pan dzisiaj dużo osobliwych gości - powiedział. Twarz miał umazaną brunatnym płynem, a z wąsów zwisały mu pasemka mięsa. - Kim byli ci mężczyźni?

- To znajomi angielskiego ambasadora - odparłem. - Załatwiam drobną sprawę dla sir Charlesa Makepiece'a.

- Nie pozwolę zamieniać mojego domu w targowisko - oświadczył pan Boisvain z ustami pełnymi tłuszczu. - Te praktyki muszą się skończyć.



- Proszę się nie martwić - zapewniłem. - Jutro znajdę sobie inne mieszkanie.

- To znaczy, że pan się wyprowadza?! - wykrzyknął.

- Niestety, muszę. Ale może zatrzymać pan to, co z góry zapłacił mój ojciec.

Przy stole podniósł się na ten temat krzyk, w szczególności zaś krzyczała mademoiselle Nicole, ale nie ustąpiłem. Tak więc zaraz następnego ranka wyszedłem i znalazłem sobie całkiem spory apartament na parterze, z trzema wielkimi pokojami i kuchnią. Mieścił się przy Avenue Jena. Spakowałem manatki i załadowałem do dorożki. Madame Boisvain stanęła przy drzwiach, żeby mnie pożegnać.

- Madame, mam do pani małą prośbę - powiedziałem.

- Tak?

- W zamian pragnę, żeby pani to przyjęła. - Wyjąłem pięć złotych dwudziestofrankówek. Omal nie upadła. - Od czasu do czasu będą tu przychodzić ludzie i pytać o mnie - powiedziałem. - Wystarczy, jak powie im pani, że się wyprowadziłem, i skieruje ich pod ten adres.

Podąłem jej kartkę z adresem mojego nowego mieszkania.

- Ależ to za dużo pieniędzy, monsieur Oswald!

- Proszę je przyjąć - nalegałem, wciskając jej monety do ręki. - Niech pani je zatrzyma. Nic nie mówi mężowi. Bardzo zależy mi na tym, aby każdego, kto się zjawi zawiadamiała pani, gdzie mieszkam.

Przyrzekła, że tak zrobi, a ja odjechałem do swojego nowego mieszkania.

Mój interes rozkwitał. Pierwszych dziesięciu klientów przekazało po cichu wspaniałe wieści znajomym, a ci z kolei swoim znajomym i w ciągu mniej więcej miesiąca utworzyła się już ogromna lawina zamówień. Połowę każdego dnia poświęcałem na produkcję pigułek. Byłem wdzięczny niebiosom, że od razu przywiozłem z Sudanu tyle proszku. Musiałem jednak obniżyć cenę. Nie wszyscy byli ambasadorami i ministrami; szybko przekonałem się, że wielu po prostu nie stać na zakup pigułki po pierwotnej, absurdalnej cenie tysiąca franków. Obniżyłem więc ją do dwustu pięćdziesięciu franków.

Pieniądze płynęły drzwiami i oknami.

Zacząłem kupować sobie piękne ubrania i bywać w paryskim świątku towarzyskim.

Nabyłem automobil i nauczyłem się nim jeździć. Był to najnowszy model firmy De Dion-Bouton, sportowy DK, cudowny mały samochodzik z czterema pełnymi kołami, trzybiegową skrzynią i nożnym hamulcem. Wierzcie mi lub nie, ale wyciągał osiemdziesiąt kilometrów na godzinę i niejedną raz jeździłem nim aż na Champs Elysees.

Przede wszystkim jednak hulałem i swawoliłem z kobietami, ile dusza zapagnie. W owych czasach Paryż był nadzwyczaj kosmopolitycznym miastem. Nie brakowało tam kobiet z klasą, pochodzących właściwie ze wszystkich krajów świata, i to właśnie wtedy zaczęła mi świtać w głowie pewna osobliwa prawda. Wszyscy wiemy, że ludzie rozmaitych narodowości mają odmienne narodowe cechy i odmienne upodobania. Jednakże już nie tak powszechnie uznaje się fakt, że te różne cechy narodowościowe jeszcze bardziej wychodzą na wierzch w trakcie

stosunków seksualnych (w przeciwieństwie do zwykłych towarzyskich). W przedmiocie narodowych cech seksualnych stałem się fachowcem. Zdumiewające, jak kobiety tej czy innej nacji przestrzegają określonych wzorców zachowania. Weźcie na przykład pół tuzina Serbek (nie myślcie, że jest mi to obce), a obserwując je uważnie, przekonacie się, że wszystkie cechuje pewna ilość jednakich, bardzo specyficznych dziwactw, talentów i upodobań. Polki również, jako że łączą je wspólne, łatwo rozpoznawalne nawyki. Podobnie ma się sprawa z Baskijkami, Marokankami, Ekwadorkami, Norweżkami, Holenderkami, Gwatemalkami, Belgijkami, Rosjankami, Chinkami i całą resztą. Pod koniec mojego pobytu w Paryżu moglibyście mnie położyć z zawiązanymi oczami na kozetce z dowolną kobietą z dowolnego kraju, a w niespełna pięć minut, choć ona nie pisnęłaby słówka, powiedziałbym wam, jakiej jest nacji.

W związku z tym oczywiste pytanie: jaki kraj wydał najrozkoszniejsze kobiety?

Ja sam zasmakowałem najbardziej w bułgarskich paniach arystokratycznego chowu. Oprócz innych zalet, mają nadzwyczajne języki. Są one nie tylko dobrze umięśnione i ruchliwe, ale cechuje je ponadto pewna chropowatość, szorstkość właściwa tylko kocim językom. Dajcie polizać palce kotu, a pojmiecie, co mam na myśli.

Wysoko też cenię sobie Turczynki (chyba już o nich wspominałem). Są one jak młyńskie koła - obracają się bez ustanku, aż do wyschnięcia rzeki. Zanim jednak rzuci się wyzwanie Turczyńce, trzeba być, dalibóg, zdrowym jak koń i ja osobiście żadnej nie wpuściłem za próg, dopóki nie zjadłem solidnego śniadania.

Hawajkami interesowałem się, bo miały chwytne duże palce u stóp i

niemal w każdej sytuacji, jaka przychodzi na myśl, częściej używały nóg niż rąk.

Co do Chinek, doświadczenie nauczyło mnie, żeby zadawać się jedynie z tymi, które pochodzą z Pekinu i sąsiadującej z nim prowincji Szantung. A nawet wtedy koniecznie muszą wywodzić się z zacnych rodów. W tamtych czasach wśród szlachty pekińskiej i szantuńskiej istniał zwyczaj, by córki, kiedy tylko skończą piętnaście lat, oddawać w ręce starych, mądrych kobiet. Przez dwa następne lata dziewczęta te poddawano surowym ćwiczeniom, mającym nauczyć je wyłącznie jednego - sztuki dostarczania fizycznej rozkoszy przyszłym mężom. Na zakończenie owego kursu, po ostrym egzaminie praktycznym, wydawano świadectwa jego zaliczenia lub obłania. Jeżeli dziewczyna była wyjątkowo zręczna i pomysłowa, otrzymywała coś, co nazywano „Świadectwem z wyróżnieniem”, zaś największą nagrodą był „Dyplom Chwały”. Młoda dama z takim dyplomem mogła właściwie sama wybrać sobie męża. Niestety, przynajmniej połowę dziewcząt z podobnymi dyplomami natychmiast zabierano do pałacu cesarza Chin.

Odkryłem w Paryżu tylko jedną chińską damę, która zdobyła Dyplom Chwały. Była żoną opiumowego milionera i przyjechała do Paryża, żeby wybrać sobie garderobę. Przy okazji wybrała również mnie i muszę przyznać, że było to pamiętne przeżycie. Doprowadziła do mistrzostwa subtelną sztukę praktyk miłosnych, którą nazwała „dotąd i ani kroku dalej”. Nic przy niej nie miało końca. Nie pozwalała na to. Doprowadzała mężczyznę na sam skraj rozkoszy. Doprowadziła mnie dwieście razy na skraj tego złotego progu i przez trzy i pół godziny, bo tyle trwały moje męki, czułem się tak, jakby niesłychanie powoli i nieskończenie cierpliwie

wyjmowała mi z rozpalonego ciała długi, żywy nerw. Wisiałem na krawędzi przepaści, trzymając się jej paznokciami, i wzywałem pomocy albo oswobodzenia, ale błoga tortura trwała, trwała, trwała... Był to zdumiewający popis zręczności, którego nigdy nie zapomnę.

Gdybym chciał, mógłbym opisać dziwne zwyczaje kobiet należących do co najmniej pięćdziesięciu nacji, lecz nie mam zamiaru. W każdym razie nie tutaj, ponieważ naprawdę muszę kontynuować główny temat opowieści, czyli: jak doszedłem do pieniędzy.

W siódmym miesiącu mojego pobytu w Paryżu dzięki pewnemu szczęśliwemu trafowi podwoiłem swój majątek. Oto co się wydarzyło. Któregoś popołudnia przyjmowałem w moim apartamencie Rosjankę, jakoś tam skoligaconą z carem. Była to drobne chuchro o bladej cerze, dość bezczelna, swobodna, prawie bezceremonialna, tak że musiałem zdrowo się napocić, zanim udało mi się podnieść należycie ciśnienie w jej kotle. Podobne zblazowanie tylko dodaje mi stanowczości i zapewniam was, że kiedy z nią skończyłem, była ugotowana.

Po wszystkim ułożyłem się na łóżku, dla ochłody popijając szampana. Rosjanka ubierała się powoli i krążyła po pokoju oglądając tamto i owo.

- Co to za czerwone pigułki masz w tej butelce? - spytała.

- Nie twój interes - odparłem.

- Kiedy cię znów zobaczę?

- Nigdy - powiedziałem. - Znasz moje zasady.

- Jesteś niemiły - oświadczyła z nadąsaną miną. - Powiedz mi, na co są te pigułki, bo jak nie, to też stanę się niemiła. Wyrzucę je przez okno.

Wzięła butelkę, w której było pięćset moich cennych, wyprodukowanych świeżo tego ranka pigułek kantarydowych i otworzyła okno.

- Nie rób tego - ostrzegłem ją.

- No to odpowiedz.

- To pigułki wzmacniające dla mężczyzn - powiedziałem. - Pobudzające, nic poza tym.

- A dlaczego również nie dla kobiet?

- Są tylko dla mężczyzn.

- Zażyję jedną - powiedziała odkręcając nakrętkę z butelki i wytrząsając pigułkę. Wrzuciła ją do ust i popiła szampanem, po czym powróciła do ubierania się.

Kiedy włożyła już na siebie wszystko i właśnie poprawiała przed lustrem kapelusz, znenacka zamarła. Obróciła się i spojrzała na mnie. Leżałem jak poprzednio, sącząc wino, ale tym razem przypatrywałem się jej uważnie, nieco zaniepokojony.

Stała nieruchomo przez może pół minuty, wpatrując się we mnie zimnym, ostrym, groźnym wzrokiem. A potem znenacka uniosła ręce, złapała jedwabną sukienkę pod szyję i zdarła ją z siebie jednym ruchem. Zerwała z siebie bieliznę, cisnęła kapelusz przez pokój. Przyczaiła się do skoku. Ruszyła. Szła cicho w moją stronę, stąpając wolno i z rozmysłem, jak tygrysyca skradająca się do antylopy.

- Co się stało? - spytałem, doskonale wiedząc co. Minęło dziewięć minut i pigułka zaczęła działać. - Uspokój się - powiedziałem.

Nie zatrzymała się. Szła dalej.

- Odejdź - dodałem.

To też jej nie powstrzymało.

Skoczyła i przez kilka sekund widziałem jedynie zawieruchę rąk, nóg, ust,

dłoni, palców. Sfiksowała. Oszalała z żądy. Naciągnąłem na siebie prześcieradło i leżałem próbując przetrzymać burzę. To jej nie wystarczyło. Zaczęła ciskać mną na wszystkie strony, parszając przy tym i pomrukując. Nie spodobało mi się to. Miałem dość. Postanowiłem zrobić z tym koniec. Ale czekało mnie diablo trudne zadanie. Wreszcie udało mi się zewrzeć jej ręce na plecach, po czym zaniósłem ją krzyczącą i wierzgającą do łazienki i wsadziłem pod zimny prysznic. Próbowwała mnie ugryźć, ale trzasnąłem ją od dołu łokciem w brodę. Trzymałem ją pod lodowatym prysznicem co najmniej dwadzieścia minut, a ona bez przerwy darła się i klęła po rosyjsku.

- Masz dość?! - spytałem wreszcie. Była dobrze podtopiona i zmarznięta'.

- Chcę ciebie - wybełkotała.

- Nie - odparłem. - Będę cię tu trzymał dotąd, aż ochłoniesz.

Wreszcie poddała się. Wypuściłem ją. Biedaczka okropnie dygotała i strach było na nią patrzeć. Przyniosłem ręcznik i mocno ją wytarłem. A potem dałem jej kieliszek koniaku.

- To z powodu tej czerwonej pigułki - powiedziała.

- Wiem o tym.

- Chcę wziąć ich trochę do kraju.

- Te są za silne dla pań - powiedziałem. - Przygotuję ci trochę takich, które będą w sam raz.

- Teraz?

- Nie. Przyjdź jutro, to będą gotowe.

Ponieważ zniszczyła sobie sukienkę, otuliłem ją swoim płaszczem i odwiozłem do domu De Dionem. Właściwie to oddała mi przysługę. Udowodniła, że moja pigułka działa na kobiety tak samo jak na mężczyzn.

A może nawet skuteczniej. Natychmiast zabrałem się do sporządzenia pewnej ilości „Pigułek Damskich”. Zmniejszyłem o połowę ich moc i wyprodukowałem setkę z myślą, że rynek zbytu jest gotowy. Ale rynek zbytu był gotowy aż za bardzo. Kiedy następnego popołudnia Rosjanka wróciła, z miejsca zażądała ode mnie pięciuset.

- Ależ one kosztują po dwieście pięćdziesiąt franków sztuka! - podkreśliłem.

- Nic mnie to nie obchodzi. Chcą je mieć wszystkie moje przyjaciółki. Opowiedziałam im, co mi się wczoraj przydarzyło, więc teraz wszystkie chcą ich spróbować.

- Mogę dać ci sto, to wszystko. Resztę później. Masz pieniądze?

- Jasne, że mam pieniądze.

- Mogę coś powiedzieć, madame?

- Co takiego?

- Jeżeli jakaś pani zażyje tę pigułkę sama, to obawiam się, że może wydać się nadmiernie agresywna. Mężczyznom to się nie podoba. Mnie się to wczoraj nie podobało.

- Co proponujesz?

- Proponuję, żeby każda pani, która chce zażyć pigułkę, skłoniła swojego partnera, żeby i on wziął jedną. Dokładnie w tej samej chwili. A wtedy wszystko będzie dobrze.

- Brzmi to sensownie - odrzekła.

Nie tylko brzmiało to sensownie, ale miało podwoić sprzedaż.

- Partner weźmie większą pigułkę - wyjaśniłem. - Nazywa się ona Pigułką Męską. Powód tego jest prosty: mężczyźni są więksi od kobiet i potrzebują większej dawki.



- Przyjmując, że ów partner jest mężczyzną - odparła z uśmiechem.
- Kim tylko zechcesz - powiedziałem.
- Doskonale - odrzekła, wzruszywszy ramionami. - W takim razie daj mi również sto tych Pigulek Męskich.

Do licha, pomyślałem, dziś wieczorem w paryskich buduarach zapowiadają się niezłe zbytki. Do tej pory wystarczało, że pigułkę zażył mężczyzna, a już było urwanie głowy, dlatego zadrzałem na myśl, co nastąpi, kiedy mój środek zażyją i ona, i on.

Sukces był niebywały. Sprzedaż podwoiła się. Potroiła! Kiedy zakończyłem swój roczny pobyt w Paryżu, miałem w banku około dwóch milionów franków! Równało się to stu tysiącom funtów! Miałem osiemnaście lat. Byłem bogaty. Jednakże nie dość bogaty. Rok spędzony we Francji wskazał mi bardzo jasno drogę, którą chciałem iść przez życie. Stałem się sybarytą. Pragnąłem wieść żywot zbytkowny i próżniaczy. Byłem pewien, że nigdy mi się on nie znudzi. Nie było to w moim stylu. Ale wiedziałem również, że nie znajdę pełnego zadowolenia, dopóki zbytek nie stanie się skrajnie zbytkowny, a próżniactwo bez granic. Sto tysięcy do tego nie wystarczało. Potrzebowałem więcej. Potrzebowałem co najmniej miliona funtów. Byłem przekonany, że znajdę sposób na jego zdobycie. Wystartowałem nie najgorzej.

Miałem na tyle rozumu w głowie, żeby pojąć, iż przede wszystkim muszę się dalej uczyć. Że wykształcenie to wszystko. Nie tolerowałem ludzi bez wykształcenia. Tak więc w lecie 1913 roku przenieśliśmy swoje pieniądze do banku w Londynie i wróciłem na ziemię ojców. W sierpniu pojechałem do Cambridge, by rozpocząć studia. Pamiętajcie Państwo, że byłem stypendystą Trinity College, a jako taki miałem szereg przywilejów i

byłem dobrze traktowany przez władze.

Właśnie tutaj, w Cambridge, rozpoczęła się druga i ostatnia faza zdobywania przeze mnie fortuny. Wytrzymajcie ze mną jeszcze trochę, a o wszystkim usłyszycie na następnych stronach.

## 7.

Mój opiekun naukowy od chemii w Cambridge nazywał się A. R. Woresley. Był niskawym, niechlujnie ubranym mężczyzną w średnim wieku, z wydatnym brzuchem. Miał siwe wąsy, brunatnożółte na brzegach od nikotyny z fajki, którą palił. Wyglądał więc jak typowy profesor uniwersytetu. Zorientowałem się jednak, że to człowiek nad wyraz utalentowany. Jego wykłady nigdy nie były szablonowe. Myślą skakał to tu, to tam w poszukiwaniu niezwykłości. Kiedyś powiedział nam:

- A teraz trzeba nam jakiegoś szponta, żeby uchronić zawartość tej flaszeczki przed bakteriami. Chyba wie pan, co to szpont, Cornelius?

- Nie umiem powiedzieć, panie profesorze - odparłem.

- Czy ktoś może wyjaśnić mi znaczenie tego pospolitego angielskiego rzeczownika? - spytał Woresley.

Nikt nie umiał.

- W takim razie proszę to sprawdzić - rzekł. - Nie do mnie należy uczyć panów podstaw angielskiego.

- Och, panie profesorze, niech pan powie, co to znaczy - zawołał ktoś.

- Szpont to mała kulka, ulepiona z błota i śliny, którą niedźwiedź przed zapadnięciem w sen zimowy wsadza sobie w odbyty, żeby mu tam nie

właziły mrówki.

Dziwny gość z tego Woresleya, mieszanka wielu postaw, czasem dowcipny, częściej nadęty i ponury, ale pod warstwą tych zewnętrznych cech osobiwie skomplikowana umysłowość. Po epizodziku ze szpontem ogromnie go polubiłem. Nawiązaliśmy bardzo miłe stosunki, jakie mogą łączyć studenta z opiekunem naukowym. Zostałem zaproszony do jego domu na sherry. Był kawalerem.

Mieszkał z siostrą, która miała na imię ni mniej, ni więcej tylko Emelina. Była pękata, niechlujna, a jej zęby pokrywał jakiś zielonkawy nalot przypominający śniedź. Prowadziła w domu gabinet zabiegowy, w którym robiła coś ze stopami ludzi. Tytułowała siebie chyba pedikiurzystką.

No, a potem wybuchła pierwsza wojna światowa. Był rok 1914, a ja miałem dziewiętnaście lat. Wstąpiłem do wojska. Musiałem wstąpić i przez cztery następne lata wszystkie wysiłki skupiałem na tym, żeby ją przeżyć. Nie mam zamiaru opisywać wam swoich wojennych doświadczeń. Okopy, błoto, rany, śmierć nie mają wstępu do tych pamiętników. Zrobiłem swoje. Faktem jest, że zrobiłem to dobrze i w listopadzie 1918 roku, kiedy to wszystko się skończyło, byłem dwudziestotrzyletnim kapitanem piechoty, odznaczonym Krzyżem Wojskowym. Przeżyłem.

Natychmiast powróciłem do Cambridge, aby wznowić studia. Ci, co przeżyli, mogli to zrobić, choć Bóg świadkiem, że niewielu nas zostało. A.R. Woresley również przeżył. Pozostał w Cambridge wykonując jakieś prace naukowe dla wojska i czas wojny spędził całkiem spokojnie. Obecnie wrócił do dawnych zajęć, ucząc studentów chemii, więc ucieszyliśmy się z ponownego spotkania. Odnowiliśmy naszą przyjaźń

sprzed czterech lat.

Któregoś wieczoru w styczniu 1919 roku, w połowie trymestru wiosennego, Woresley zaprosił mnie do siebie na kolację. Jedzenie nie było dobre. Jedliśmy tanie potrawy, piliśmy tanie wino i towarzyszyła nam jego siostra pedikiurzystką z zaśnieżonymi zębami. Odniosłem wrażenie, że powodzi im się nieco lepiej niż poprzednio, ale kiedy poruszyłem ostrożnie ów drażliwy temat, zwierzył mi się, że nadal z trudem spłacają pożyczkę na dom. Po kolacji obaj wycofaliśmy się do jego gabinetu, żeby wypić butelkę dobrego porto, którą przywiozłem mu w prezencie. Jeżeli mnie pamięć nie myli, był to Croft, rocznik 1890.

- Nieczęsto zdarza mi się pić coś takiego - przyznał Woresley.

Było mu bardzo wygodnie w starym fotelu, z zapaloną fajką i kieliszkiem porto w ręce. Jakiż to do gruntu przyzwoity człowiek, pomyślałem. I jak potwornie nieciekawe wiedzie życie.

Postanowiłem ożywić nastrój, opowiadając mu o swoim pobycie w Paryżu przed sześcioma laty, w 1913 roku, kiedy zarobiłem sto tysięcy funtów na pigułkach z sudańskiego chrząszcza. Zacząłem od początku. Bardzo szybko dałem się ponieść rozkoszom gawędzenia. Pamiętałem wszystko, ale przez szacunek dla mojego profesora opuściłem bardziej pikantne szczegóły.

Woresley był zachwycony moją eskapadą.

- Tam, do licha, Corneliusie! - wykrzyknął. - Ależ pan ma tupet! Co za wspaniały tupet! W dodatku stał się pan bardzo zamożny w młodym wieku!

- Nie dość zamożny - odrzekłem. - Przed trzydziestką chcę zarobić milion funtów.

- Wierzę, że pan go zdobędzie - powiedział. - Wierzę, że pan go zdobędzie - powtórzył. - Pan kocha ekstrawagancje. Ma pan nosa, dryg do udanych afer. I odwagę, żeby działać szybko. A co więcej, jest pan całkowicie pozbawiony skrupułów. Innymi słowy, ma pan wszelkie przymioty nowobogackiego milionera.

- Dziękuję.

- Tak, ale ilu siedemnastolatków wybrałoby się aż do Chartumu, żeby na własną rękę szukać proszku, który mógł w ogóle nie istnieć? Diabło mało.

- Nie chciałem przepuścić takiej okazji - powiedziałem.

- Pan ma ogromny dryg, Corneliusie. Niezwykły dryg. Trochę panu zazdroszczę.

Siedzieliśmy popijając wino. Ja raczyłem się moim hawańskim cygarem. Poczestowałem takim samym gospodarza, ale wolał swoją śmierdzącą fajkę. Żadna ze znanych mi fajek nie dymiała tak mocno jak jego. Była jak miniaturowy okręt wojenny, który stawiał zasłonę dymną przed jego twarzą. A za tą zasłoną A.R. Woresley dumał nad moją paryską opowieścią. Parskał, mruczał i bąkał zdania w rodzaju: „Nadzwyczajny wyczyn!... Ależ tupet!... Co za fantazja!... Wyprodukowanie takich pigulek to też kawałek chemii!”

A potem zamilkliśmy. Jego głowę spowijały kłęby dymu. Kieliszek z porto, który podniósł do ust, zniknął za zasłoną dymną, po czym wyłonił się pusty. Nagadałem się dość, więc milczałem.

- No cóż, Corneliusie - przemówił wreszcie. - Zwierzył mi się pan właśnie ze swoich tajemnic. Może więc w rewanżują zwierzę się panu ze swojej.

Urwał. A ja czekałem i zastanawiałem się, co teraz usłyszę.

- Widzi pan, ja również w ostatnich kilku latach zdobyłem się na śmiały

wyczyn - odezwał się.

- Naprawdę?

- W wolnym czasie chcę napisać o tym artykuł. Być może nawet odniosę sukces po jego ogłoszeniu.

- Chodzi o chemię? - spytałem.

- Trochę o chemię, w dużej mierze o biochemię - odparł. - Jedno z drugim.

- Bardzo chciałbym o tym usłyszeć.

- Naprawdę? - spytał, paląc się do opowiedzenia o tym.

- Naturalnie. - Nalałem sobie jeszcze jeden kieliszek porto. - Ma pan mnóstwo czasu, bo skończymy dziś tę butelkę - powiedziałem.

- Doskonale - rzekł i zaczął opowiadać. - Dokładnie czternaście lat temu, w zimie 1905 roku, zauważyłem w lodzie, który skuł moją ogrodową sadzawkę, zamarznąłą na kość złotą rybkę. Po dziewięciu dniach przyszła odwilż. Lód się stopił, a złota rybka odpłynęła, najwyraźniej nic nie ucierpiawszy. Dało mi to do myślenia. Ryby są zimnokrwiste. A więc zadałem sobie pytanie, jakie jeszcze zimnokrwiste zwierzęta można utrzymać przy życiu w niskich temperaturach. Przypuszczałem, że bardzo niewiele. Stąd też zacząłem rozmyślać, jak w niskich temperaturach zachować życie bezkrwistej materii ożywionej. Pod terminem tym rozumiem bakterie i im podobne. A potem zadałem sobie pytanie: „Kto chciałby przechowywać bakterie? Nie ja.” Postawiłem więc sobie następne pytanie: „Jaki żywy organizm spośród wszystkich innych pragnąłbyś utrzymać przy życiu przez dłuższy czas?” I odpowiedziałem sobie na to: plemniki!

- Dlaczego akurat plemniki? - spytałem.

- Trudno mi dać panu jasną odpowiedź, zwłaszcza że jestem chemikiem, a

nie biologiem. Ale coś mi mówiło, że tak czy inaczej będzie to cenny wkład do nauki. Dlatego przystąpiłem do doświadczeń.

- Z czym? - spytałem.

- Ze spermą, oczywiście. Z żywą spermą.

- Czyją?

- Własną.

Zapadło krótkie milczenie, a ja się odrobinę zmieszałem. Gdy ktoś mi o czymś opowiada, obojętnie na jaki temat, nic na to nie poradzę, ale całe wydarzenie staje mi jak żywe przed oczami. Trwa to mgnienie oka, ale zdarza się nieuchronnie i właśnie dokładnie je sobie wyobraziłem. Widziałem tego zbereźnika Woresleya, jak w laboratorium robi to, czego wymaga jego eksperyment, i poczułem zakłopotanie.

- W imię nauki wszystko jest dozwolone - powiedział, wyczuwając moje zażenowanie.

- Ależ zgadzam się. Zgadzam całkowicie - zapewniłem.

- Pracowałem sam, przeważnie późnym wieczorem-wyjaśnił.-Nikt nie wiedział, co robię.

Jego twarz zniknęła ponownie za zasłoną dymu i znów się z niej wyłoniła.

- Nie będę panu wyliczał setek nieudanych doświadczeń - ciągnął. - Powiem za to o sukcesach. Chyba pana zaciekawią. Na przykład najpierw odkryłem, że do utrzymania plemników przy życiu przez dowolny czas potrzeba nadzwyczaj niskich temperatur. Zamrażałem nasienie stopniowo coraz bardziej i z każdym obniżeniem temperatury żywot plemników się wydłużał. Za pomocą suchego lodu zdołałem je zamrozić do minus dziewięćdziesięciu siedmiu stopni Celsjusza. Ale nawet to nie wystarczyło. W tej temperaturze sperma żyła przez mniej więcej miesiąc, lecz nie

dłużej. Powiedziałem sobie: musisz obniżyć temperaturę. Ale jak? I wówczas wpadłem na pomysł, w jaki sposób oziębic ją aż do minus stu dziewięćdziesięciu siedmiu stopni.

- Niemożliwe! - powiedziałem.

- Jak pan myśli, czego użyłem?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Zastosowałem ciekły azot. On tego dokonał.

- Ale przecież ciekły azot jest ogromnie lotny - powiedziałem. - Jak można zapobiec jego parowaniu? W czym pan go trzymał?

- Obmyśliłem specjalne pojemniki. Bardzo mocne i dość skomplikowane kolby próżniowe. Azot utrzymuje się w nich w postaci płynu o temperaturze minus sto dziewięćdziesiąt siedem stopni właściwie w nieskończoność. Od czasu do czasu wymaga drobnego uzupełnienia, ale to wszystko.

- Z pewnością nie w nieskończoność - sprzeciwiłem się.

- Ależ tak - odparł. - Zapomina pan, że azot to gaz. Jeżeli skropli pan gaz, to przetrwa on w stanie ciekłym tysiąc lat, pod warunkiem, że nie pozwoli mu pan wyparować. A osiąga się to po prostu zapewniając kolbie całkowitą szczelność i skuteczną izolację.

- Rozumiem. I sperma pozostała żywa?

- Tak i nie - odrzekł. - Żyła jednak na tyle długo, abym zdobył pewność, że znalazłem właściwą temperaturę. Ale nie żyła w nieskończoność. Nadal czegoś brakowało. Przemyślałem to sobie i w końcu doszedłem do wniosku, że potrzebny tu jest jakiś roztwór buforowy lub, jeśli pan woli, jakaś powłoka, która osłoni spermę przed tak silnym zimnem. Wypróbowałem osiemdziesiąt różnych substancji i w końcu znalazłem



idealną.

- Co to było?

- Gliceryna.

- Zwykła gliceryna?

- Tak. Ale nawet ona z początku nie skutkowała. Podziałała dopiero wtedy, kiedy odkryłem, że proces oziębiania należy przeprowadzać bardzo powoli. Plemniki to nadzwyczaj delikatne mikrusy. Nie lubią szoku. Obniżając temperaturę od razu do minus stu dziewięćdziesięciu siedmiu stopni naraża sieje na niebezpieczeństwo.

- A więc oziębiał pan je stopniowo?

- Właśnie. Oto co należy zrobić. Miesza się spermę z gliceryną i wkłada do pojemnika z gumy. Probówka się do tego nie nadaje. W niskich temperaturach pęka. Przy okazji, wszystko to należy zrobić natychmiast po uzyskaniu spermy. Trzeba się śpieszyć. Nie można marudzić, bo inaczej plemniki zginą. Tak więc najpierw wkłada się cenny pakunek do zwykłego lodu, żeby obniżyć jego ciepłotę do temperatury krzepnięcia. Potem wkłada się go do pary azotowej, żeby oziębic go bardziej. A na koniec wrzuca do najsilniejszego zamrażacza - ciekłego azotu. Jest to więc proces stopniowy. Spermę przyzwyczajają się stopniowo do chłodu.

- I to skutkuje?

- O, jak najbardziej. Jestem całkowicie pewien, że sperma zabezpieczona gliceryną i powoli zamrożona przetrwa w temperaturze minus stu dziewięćdziesięciu siedmiu stopni tak długo, jak się chce.

- Sto lat?

- Bezwzględnie. Jeśli tylko przechowa się ją w tej temperaturze.

- A po tym czasie można ją odmrozić i będzie zdolna zapłodnić kobietę?

- Jestem o tym świecie przekonany. Ale odkrywając to wszystko, przestałem interesować się ludzkim aspektem tej sprawy. Pragnąłem posunąć się znacznie dalej. Musiałem przeprowadzić o wiele więcej doświadczeń. Nie mogłem jednak eksperymentować na ludziach, a przynajmniej nie w taki sposób, w jaki chciałem.

- A jak pan chciał eksperymentować?

- Chciałem przekonać się, ile spermy marnuje się przy jednym wytrysku.

- Nie rozumiem. Co pan rozumie przez marnowanie spermy?

- Jeden wytrysk nasienia dużego zwierzęcia, takiego jak byk czy koń, daje pięć centymetrów sześciennych spermy. W każdym centymetrze sześciennym znajduje się miliard pojedynczych plemników. Oznacza to, że w sumie jest ich pięć miliardów.

- Niemożliwe, żeby aż pięć miliardów! Nie za jednym razem!

- Przecież pan słyszy.

- Nie do wiary.

- To prawda.

- A ile wytwarza człowiek?

- Mniej więcej połowę tego. Około dwóch centymetrów sześciennych, czyli dwa miliardy.

- Chce pan powiedzieć, że ilekroć mam przyjemność z młodą damą, to wstrzykuję jej dwa miliardy plemników?

- Tak jest.

- Rzucających się, wijących i kręcących gdzie popadnie?

- Naturalnie.

- Nic dziwnego, że to ją tak ożywia.

Jednak ta strona sprawy nie interesowała Woresleya.

- Idzie o to - ciągnął - że na przykład bykowi bynajmniej nie potrzeba pięciu miliardów plemników do zapłodnienia krowy. W ostateczności wystarcza do tego jeden plemnik. Ale żeby mieć pewność trafienia do celu, używa on co najmniej paru ich milionów. Ale ilu? Tak oto brzmiało moje następne pytanie.

- Dlaczego? - spytałem.

- Ponieważ, drogi panie, chciałem się dowiedzieć, ile samic: krów, kobył, kobiet, obojętne, może być skutecznie zapłodnionych z jednego wytrysku. Oczywiście zakładam, że te miliardy plemników można podzielić na porcje i rozdzielić między samice. Rozumie pan, do czego zmierzam?

- Doskonale. Jakich zwierząt użył pan do tych doświadczeń?

- Byków i krów - odparł Woresley. - Mam brata, który jest właścicielem małego gospodarstwa mlecznego w Steeple Bumpstead, niedaleko stąd. Posiadał byka i osiemdziesiąt krów. Zawsze byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni. Tak więc zwierzyłem się mu, a on pozwolił mi skorzystać ze swoich zwierząt. Koniec końców nie wyrządzałem im przecież żadnej krzywdy. Brat mógł nawet na tym skorzystać.

- Jak to?

- Nigdy nie był zamożny. Jego własny byk, jedyny, na jakiego mógł sobie pozwolić, był taki sobie. Brat nie posiadałby się z radości, gdyby całe stado jego krów wydało potomstwo spłodzone przez wspaniałego byka medalistę wysoko-mlecznej rasy.

- Ma pan na myśli cudzego byka?

- Tak jest.

- A jak by pan zdobył nasienie cudzego cennego byka medalisty?

- Ukradłbym je.

- To na nic.

- Ukradłbym jeden jego wytrysk, a potem, zakładając oczywiście, że moje eksperymenty by się powiodły, rozdzieliłbym je, te pięć miliardów plemników, pomiędzy wszystkie krowy brata.

- Jak by je pan rozdzielił? - spytałem.

- Za pomocą przyrządu, który nazwałem strzykawką inseminacyjną. Wstrzykując spermę krowie.

- To chyba jest możliwe - przyznałem.

- Jasne, że możliwe - rzekł. - W końcu męski organ seksualny to nic innego jak najzwyklejsza strzykawka do wstrzykiwania nasienia.

- Zaraz, zaraz - powiedziałem. - Mój organ to coś więcej.

- Nie wątpię, Corneliusie, nie wątpię - odparł z sarkazmem. - Ale czy możemy trzymać się tematu?

- Przepraszam.

- Tak więc rozpocząłem doświadczenia z nasieniem byka.

Wziąłem butelkę porto i napełniłem mu kieliszek. Przeczynałem, że teraz poczciwy Woresley powie coś naprawdę ciekawego, i chciałem go naoliwić.

- Jak już mówiłem, przeciętny byk wytwarza każdorazowo pięć centymetrów sześciennych płynu - ciągnął. - To niewiele. Nawet po zmieszaniu z gliceryną ta ilość nie wystarczyłaby mi do podziału na tyle porcji, żebym mógł liczyć na wstrzyknięcie tych malutkich dawek poszczególnym krowom. Dlatego też musiałem znaleźć jakiś rozcieńczalnik, coś do zwiększenia masy zastrzyku. - Może należało dodać gliceryny.

- Próbowałem. Nie wyszło. Za bardzo się kleiła. Nie będę pana nudził wymienianiem wszystkich dziwnych substancji, z którymi

eksperymentowałem. Po prostu wymienię tę, która spełnia wymagania. To odtłuszczone mleko. Osiemdziesiąt procent odtłuszczonego mleka, dziesięć procent żółtka z jajka i dziesięć procent gliceryny. Oto ta cudowna mieszanka. Sperma uwielbiają. Po prostu cały ten koktajl dokładnie się miesza. W ten sposób, jak pan widzi, zapewniam sobie odpowiednią ilość płynu do eksperymentu. Tak więc przez kilka lat pracowałem wykorzystując krowy brata i wreszcie ustaliłem najkorzystniejszą dawkę.

- Ile wyniosła?

- Optymalna dawka wynosi najwyżej dwadzieścia milionów plemników na krowę. Osiemdziesiąt procent krów, którym ją wstrzyknąłem w odpowiednim czasie, zaszło w ciążę. Proszę nie zapominać, Corneliusie - ciągnął z ożywieniem - że każdy wytrysk byka zawiera pięć miliardów plemników. Podzielenie na dwudziestomilionowe dawki daje aż dwieście pięćdziesiąt porcji! Zdumiało mnie to! Oszło mi!

- Czy to znaczy, że jednym tylko moim wytryskiem mógłbym zapłodnić dwieście pięćdziesiąt kobiet?

- Nie jest pan bykiem, Corneliusie, nawet jeśli ma pan takie skojarzenia.

- Ile kobiet obsłużyłby jeden mój wytrysk?

- Około stu. Ale na mnie niech pan nie liczy.

Mój Boże, pomyślałem. W tym tempie tygodniowo mógłbym zrobić brzuchy siedmiuset kobietom!

- Naprawdę wypróbował pan to wszystko na byku brata? - spytałem.

- Wielokrotnie - odparł Woresley. - Działa. Pobieram wytrysk, potem szybko mieszam go z odtłuszczonym mlekiem, żółtkiem i gliceryną, a przed zamrożeniem porcjuję.

- Ile płynu jest w każdej porcji? - spytałem.

- Bardzo mało. Tylko pół centymetra sześciennego.
  - I tylko tyle wstrzykuje pan krowie? Te pół centymetra?
  - Tylko tyle. Proszę jednak pamiętać, że te pół centymetra zawiera dwadzieścia milionów plemników.
  - No, tak.
  - Wlewam te małe porcje do gumowych rurek. Nazywam je „słomkami”. Zatykam „słomki” z obu stron i zamrażam. Niech pan tylko pomyśli, Corneliusie! Dwieście pięćdziesiąt wielce skutecznych „słomek” z plemnikami z jednego wytrysku!
  - Właśnie o tym myślę - odparłem. - To prawdziwy cud.
  - I mogę je przechowywać, jak długo zechcę, silnie zamrożone. A kiedy krowa się latuje, wystarczy, że wyjmę taką „słomkę” z pojemnika z ciekłym azotem, odmrozę ją, co trwa tylko chwilę, wciągam jej zawartość do strzykawki i aplikuję krowie.
- Butelka porto była już w trzech czwartych opróżniona i Woresley zaczął mieć w czubie. Ponownie napełniłem mu kieliszek.
- A co z tym bykiem medalistą, o którym pan wspomniał? - zagadnąłem.
  - Właśnie do tego dochodzę, chłopcze. To najlepsze w całej tej historii. Gwóźdź programu!
  - Proszę opowiedzieć.
  - Jasne, że opowiem. Powiedziałem swojemu bratu - było to trzy lata temu, dokładnie w połowie wojny... brata, jako rolnika, zwolniono ze służby wojskowej - powiedziałem więc Ernestowi: „Ernest - mówię - gdybyś mógł wybrać jakiegoś byka w Anglii do obsłużenia twojego stada, to którego byś wybrał?”
  - W Anglii, nie wiem - Ernest na to - ale najpiękniejszy byk w tych

stronach to zwycięzca wystawy Chluba Fryzji, którego ma lord Somerton. Jest czystej rasy fryzyjskiej, a fryzyjskie krowy dają najwięcej mleka na świecie. Mój Boże, Arturze - mówi mi - żebyś ty widział tego byka! To olbrzym. Kosztował dziesięć tysięcy funtów, a każde ciele, jakie spłodzi, wyrasta na wspaniałą mleczną krowę.

- Gdzie jest ten byk? - spytałem brata.

- W majątku lorda Somertona. W Birdbrook.

- Birdbrook? To całkiem blisko, prawda?

- Trzy mile stąd - mówi brat. - Trzymają tam dwieście sztuk rodowodowych fryzyjskich mlecznych krów, a byk pasie się z tym stadem. Słowo ci daję, Arturze, jest piękny!

- Dobrze - mówię na to. - W ciągu roku osiemdziesiąt procent twoich krów będzie miało cieleta z tego byka. Podoba ci się ten pomysł?

- Podoba?! - na to mój brat. - To by mi podwoiło mleczność!

- Drogi Corneliusie - zwrócił się do mnie Woresley - mogę prosić

o ostatni kieliszek pańskiego wybornego porto?

Nalałem mu, co pozostało. Nawet osad z dna butelki.

- Proszę powiedzieć, co pan zrobił - zachęciłem go.

- Oczekaliśmy, aż jakaś krowa mojego brata zacznie się mocno latować. A wtedy, ciemną nocą... wymagało to odwagi, Corneliusie, wiele odwagi...

- Nie wątpię.

- Ciemną nocą Ernest nałożył krowie postronek i poprowadził ją polnymi drogami do majątku lorda Somertona trzy mile dalej.

- Pan z nimi nie poszedł?

- Pojechałem rowerem.

- Dlaczego rowerem?

- Zaraz pan zrozumie. Był maj, pogodnie, ciepło, mniej więcej pierwsza w nocy. Świecił księżyc, co zwiększało ryzyko, ale do tego, co mieliśmy zrobić, potrzebowaliśmy trochę światła. Dojście zajęło nam godzinę.

- Jesteśmy - powiedział brat. - O, tam, widzisz je?

Staliśmy przy bramie prowadzącej na dwudziestoakrowe pastwisko i w świetle księżyca widziałem ogromne rozproszone stado fryzyjskich krów skubiących trawę. Z jednej strony, niezbyt daleko od nas, stał wielki dom dwór Somerton. W jednym z okien na piętrze paliło się światło.

- Gdzie jest byk? - spytałem.

- Musi tam gdzieś być - odparł brat. - Chodzi ze stadem.

Nasza krowa ryczała jak opętana. Krowy zawsze ryczą, kiedy się latują. Rozumie pan, przyzywają byka. Brama na pastwisko była zamknięta na kłódkę, która wisiała na łańcuchu, ale brat był na to przygotowany. Wyjął piłkę do metalu i przeciął łańcuch. Otworzył bramę. Oparłem rower o ogrodzenie i prowadząc krowę weszliśmy na pastwisko. W świetle księżyca było białe jak mleko. Nasza krowa, wyczuwając obecność innych zwierząt, zaczęła muczeć jeszcze głośniej.

- Bał się pan? - spytałem.

- Byłem przerażony - przyznał Woresley. - Jestem spokojnym człowiekiem, Corneliusie. Prowadzę spokojne życie. Nie jestem stworzony do takich eskapad. W każdej chwili spodziewałem się, że nadbiegnie ze strzelbą rządcą jego lordowskiej mości. Ale zmuszałem się do marszu, ponieważ to, co robiliśmy, robiliśmy w imię nauki. Poza tym miałem zobowiązania wobec brata. Ogromnie mi pomógł. Teraz ja musiałem pomóc jemu.

Zgasła mu fajka. Zaczął ją nabijać powtórnie tanim tytoniem z blaszanego



pudełka.

- Proszę mówić - zachęciłem go.

- Byk musiał usłyszeć nawoływania naszej krowy - ciągnął Woresley.

- Jest! Idzie! - krzyknął mój brat. Potężne biało-czarne bydlę odłączyło się od stada i kłusowało w naszą stronę.

Na głowie miało krótkie ostre rogi. Wyglądały na śmiertelnie niebezpieczne.

- Przygotuj się! - polecił mi krótko brat. - On nie będzie czekał! Zabierz się do niej od razu! Daj mi ten gumowy worek! Szybko!

- Co za gumowy worek? - spytałem Woresleya.

- Zbieracz nasienia, drogi chłopcze. Mój własny wynalazek. Podłużny worek z grubymi, gumowymi brzegami, rodzaj sztucznej pochwy. Bardzo skuteczny. Ale niech pan pozwoli mi opowiadać.

- Proszę.

- Gdzie ten worek?! - krzyknął mój brat. - Prędzej, człowieku! Miałem go w plecaku. Wyjąłem worek z plecaka i wręczyłem bratu. Ustawił się z boku, blisko zadu krowy. Ja stanąłem przy jej drugim boku, gotów zrobić swoje. Bałem się tak, Corneliusie, że byłem cały spocony i przypierał mnie pęcherz. Bałem się byka. Bałem się światła w oknie dworu Somerton, który miałem za plecami, ale się nie wycofałem.

Byk nadbiegał ku nam truchtem, parskając i tocząc ślinę. W jego nosie spostrzegłem mosiężne kółko; było to, przysięgam, Corneliusie, groźnie wyglądające bydlę. Nie zawahał się. Znał się na swojej robocie. Wciągnął w nozdrza zapach naszej krowy, zaszedł ją od tyłu i wskoczył przednimi nogami na jej zad. Przykucnąłem przy nim. Pyta zaczęła mu się już wysuwać. Mosznę miał olbrzymią, a tuż nad nią tę niewiarygodną fujare,

która coraz bardziej się wydłużała. Przypominała teleskop. Z początku była króciutka, ale bardzo prędko rosła, rosła, rosła, aż zrobiła się długa jak moja ręka. Ale nie była gruba. Powiedziałbym, że gruba jak laska. Sięgnąłem ręką, żeby ją pochwycić, ale z emocji chybiłem.

- Prędej! - ponaglił mnie brat. - Gdzie ją masz? Łapże prędzej! Spóźniłem się. Stary byk był strzelcem wyborowym. Trafił w cel za pierwszym razem i czubek jego gwizdka już tkwił w krowie. Schowany do połowy.

- Łap go! - krzyknął brat.

Ponownie chwyciłem byczą pałę. Jeszcze spory jej kawałek był na wierzchu. Chwyciłem ją oburącz i szarpnąłem. Drgała, była ruchliwa i oślizła. Przypominało to ciągnięcie za węża. Byk wypychał swój interes, a ja go wyciągałem. Ciągnąłem z taką siłą, że czułem, jak się zgina. Jednakże nie straciłem głowy i zabrałem się do zsynchronizowania moich szarpnięć z wstecznymi ruchami zwierzęcia. Rozumie pan, o czym mówię? Byk parł do przodu, a potem przed kolejnym sztychem wyginał grzbiet. Ilekroć więc go wyginał, ja pociągałem i zyskiwałem kilka centymetrów. Raptem byk znowu pchnął i głębiej wraził swój szpunt. W końcu jednak wziąłem nad nim górę, oburącz zdołałem zgnać mu kuśkę niemal w pół i wyrwać ją z pochwy naszej krowy. Jej koniec trzasnął mnie w policzek. Zabolalo. Mimo to prędko wcisnąłem ją do worka, który trzymał brat. Byk wciąż grzmocił i grzmocił. Był tym zajęty całkowicie. I dzięki Bogu! Chyba nawet nie zdawał sobie sprawy z naszej obecności. Niemniej jego sikawka tkwiła w worku utrzymanym przez brata i w niespełną minutę było po wszystkim. Byk odstąpił od krowy. Wtem zauważył nas i stanął, mierząc nas wzrokiem. Wyglądał na zdezorientowanego, czemu trudno się dziwić. Głucho ryknął i zaczął

grzebać kopytami w ziemi. Szykował się do ataku. Ale brat, który znał się na bykach, podszedł wprost do niego i trzepnął go w nos.

- Uciekaj! - powiedział.

Byk odwrócił się i pokłusował wolno do stada. Wyszliśmy pośpiesznie przez bramę, zamykając ją za sobą. Wziąłem od brata gumowy worek, wskoczyłem na rower i popedałowałem jakby się paliło „na farmę. Dojechałem w kwadrans.

Wszystko już zawczasu przygotowałem. Wybrałem nasienie byka z worka i zmieszałem je ze specjalnym roztworem mleka, żółtka i gliceryny. Napełniłem dwieście pięćdziesiąt małych gumowych „słomek” porcjami po pół centymetra sześciennego. Nie było to aż takie trudne, jak być może zabrzmiało. Zawsze układałem słomki na metalowym stojaczkach i używałem pipety. Stojak z napełnionymi „słomkami” wstawiłem na pół godziny do lodu. Potem na dziesięć minut do pojemnika z parującym azotem. A wreszcie włożyłem je do drugiego pojemnika próżniowego z azotem ciekłym. Zakończyłem całą operację przed powrotem brata z krową. Miałem więc nasienie fryzyjskiego byka medalisty wystarczające do zapłodnienia dwustu pięćdziesięciu krów. A przynajmniej na to liczyłem.

- I udało się?

- Udało się nadzwyczajnie - odparł Woresley. - Następnego roku herefordki mojego brata wydały na świat cielęta rasy półfryzyjskiej. Nauczyłem go, jak zapładniać sztucznie za pomocą strzykawki, i zostawiłem mu na farmie pojemnik z zamrożonymi „słomkami”. W tej chwili, drogi Corneliusie, po trzech latach, prawie wszystkie krowy w jego stadzie to krzyżówki krów herefordzkich z medalowymi fryzyjskimi.

Mleczność jego stada podniosła się o mniej więcej sześćdziesiąt procent i sprzedał swojego byka. Jedyne kłopot w tym, że kończą mu się „słomki”. Chce, żebym wybrał się z nim na kolejną niebezpieczną wyprawę do byka lorda Somertona. Szczerze mówiąc, boję się tego.

- Ja pójdę - oświadczyłem. - Zamiast pana.

- Nie będzie pan wiedział, co robić.

- Po prostu chwycę go za fujarę i włożę ją do worka - odparłem. - Pan może czekać na farmie, gotów do zamrożenia spermy.

- Jeździ pan na rowerze?

- Pojadę samochodem - odrzekłem. - Będzie dwakroć szybciej. Sprawilem sobie właśnie najnowszy model Continentalu Morrisa i Cowleya, automobil przewyższający pod każdym względem mojego De Diona 1912 z czasów paryskich. Karoserię miał czekoladową. Tapicerkę skórzaną. Niklowane okucia, mahoniowe okładziny i drzwiczki dla kierowcy. Byłem z niego bardzo dumny.

- Dostarczę panu spermę błyskawicznie - zapewniłem.

- Wspaniały pomysł - rzekł. - Naprawdę zrobi pan to dla mnie, Corneliusie?

- Z przyjemnością - odparłem.

Wyszedłem od niego niedługo potem i pojechałem do Trinity College.

W mózgu kotłowało mi się od tego wszystkiego, co usłyszałem od Woresleya. Bezsprzecznie dokonał wspaniałego odkrycia i gdyby ogłosił wyniki swoich badań, na całym świecie okrzyknięto by go wielkim człowiekiem. Prawdopodobnie był geniuszem.

Ja jednak nie dbałem o to ani trochę. Moje myśli zaprzętało jedynie pytanie, jak ja sam mógłbym zarobić na tym milion funtów. Nie miałem

nic przeciwko temu, żeby Woresley też przy okazji się wzbogacił. Zasługiwał na to. Niemniej wasz uniżony sługa był najważniejszy. Im więcej o tym myślałem, tym mocniej upewniałem się, że fortuna czeka na mnie tuż za rogiem. Wątpiłem wszakże, czy zdobędę ją na bykach i krowach.

Tej nocy leżałem rozbudzony w łóżku i wytrwale rozgryzałem ów problem. Czytelnikowi tych pamiętników mogę się wydać w swoim podejściu do większości spraw osobą roztrzepaną, ale zapewniam, że kiedy w grę wchodzi moje własne interesy, potrafię się bardzo skoncentrować. Gdzieś koło północy wpadła mi do głowy i zaczęła nurtować pewna myśl. Spodobała mi się od razu z tej prostej przyczyny, że wiązała się z dwiema sprawami, które sprawiają mi w życiu najwięcej przyjemności - z uwodzeniem i kopulacją. Spodobała mi się tym bardziej, gdy pojąłem, że wiąże się z ogromną ilością uwodzeń i kopulacji.

Wyskoczyłem z łóżka i wdziałem szlafrok. Zacząłem notować. Przestudio- wałem w myślach wszelkie trudności wiążące się z tym przedsięwzięciem. Obmyśliłem, jak je pokonać. A na koniec doszedłem do stanowczego wniosku, że mój plan się powiedzie. Musiał się powieść.

Była wszakże jedna przeszkoda - A.R. Woresley. Należało go nakłonić do współpracy.

## 8.

Nazajutrz odszukałem go na uczelni i zaprosiłem na wieczór na kolację.

- Nie jadam kolacji poza domem - oznajmił. - Siostra czeka na mnie z

kolacją w domu.

- Chodzi o interes - powiedziałem. - O całą pańską przyszłość. Niech pan jej powie, zgodnie z prawdą, że to sprawa życia i śmierci. Już niedługo uczynię z pana bogacza.

Ostatecznie zgodził się przyjść.

O siódmej wieczorem zawiozłem go „Pod Siwego Dzika” na Trinity Street i zamówiłem dania dla nas obu. Pół tuzina ostryg i butelkę Cios Vougeot Blanc, bardzo rzadkiego wina. Potem zaś befsztyk i zacne Volnay.

- Muszę przyznać, że powodzi się panu, Corneliusie - powiedział mój współbiesiadnik.

- Inaczej być nie może - odparłem. - Z pewnością lubi pan ostrygi, prawda?

- Bardzo.

Jakiś kelner otworzył nam ostrygi przy restauracyjnym barze, a my przypatrywaliśmy się, jak to robi. Były to colchestery, średnich rozmiarów, pulchne. Przyniósł nam je inny kelner. Potem kelner od win otworzył nam Cios Vougeot Blanc. Zaczęliśmy jeść.

- Widzę, że przeżuwa pan ostrygi - powiedziałem.

- A co mam robić?

- Połykać w całości.

- Ależ to absurd!

- Przeciwnie - odparłem. - Główna przyjemność przy jedzeniu ostryg to uczucie, jakiego doznaje smakosz, kiedy ostryga ześlizguje mu się w przełyku.

- Wolę o tym nie myśleć.

- Ależ musi pan. Przy odpowiedniej koncentracji można czasem wyczuć,

jak żywa ostryga kurczy się i rozkurcza w żołądku.

Pożółkłe od nikotyny wąsy Woresleya zadrgały. Przypominały najeżone, nerwowe zwierzątko, uczepione jego górnej wargi.

- Jeżeli przyjrzy się pan bardzo dokładnie pewnej części ostrygi... o, tutaj... zobaczy pan bijący puls - ciągnąłem. - Jest tu. Widzi go pan? A kiedy wbije pan widelec... w ten sposób... jej ciało drga. Kurczy się. To samo dzieje się po wyciśnięciu na nią soku z cytryny. Ostrygi nie lubią soku cytrynowego. Nie lubią też, żeby wbijać w nie widelec. Kurczą się. Całe drgają. Teraz ją połknę... czyż nie jest piękna?... Już, poszła... a teraz przez kilka sekund będę siedział bardzo spokojnie, żeby wyczuć w żołądku jej delikatne ruchy...

Najeżone brązowe zwierzątko nad górną wargą Woresleya zaczęło skakać jak nigdy, a policzki mojego towarzysza wyraźnie pobladły. Wolno odsunął talerz z ostrygami na bok.

- Zamówię panu wędzonego łososa - zaproponowałem.

- Dziękuję.

Zamówiłem łososa, a resztę ostryg z jego talerza przełożyłem na swój. Czekaając, aż kelner przyniesie mu rybę, obserwowałem, jak je połykam. Pokonany, milczał, i właśnie o to mi chodziło. Do licha, był dwakroć starszy ode mnie, a ja przed wystąpieniem ze swoją wspianą propozycją chciałem go tylko trochę zmiękczyć. Szło mi wyłącznie o zmiękczenie go i zdobycie nad nim przewagi, bo tylko wtedy miałem jakąkolwiek szansę pozyskania go do współpracy przy realizacji mojego planu. Postanowiłem zmiękczyć go jeszcze bardziej.

- Czy opowiadałem już panu kiedyś o mojej starej niani? - zagadnąłem.

- Myślałem, że przyszedliśmy tutaj pomówić o moim odkryciu - rzekł.

Kelner ustawił przed nim talerz z wędzonym łososiem. - O! - powiedział.

- Smacznie wygląda.

- Kiedy skończyłem dziewięć lat i wyjechałem do szkoły z internatem, rodzice wyznaczyli mojej starej niani skromną rentę - zacząłem opowieść.

- Kupili jej mały domek na wsi i tam zamieszkała. Staruszka miała osiemdziesiąt pięć lat i zadziwiająco dobre zdrowie. Nigdy się na nic nie skarżyła. Ale pewnego dnia, kiedy moja matka pojechała ją odwiedzić, zastała ją bardzo schorowaną. Dokładnie ją wypytała i niania przyznała się wreszcie, że okropnie boli ją brzuch. Matka spytała, czy boli ją tak od dawna. Starowina wyznała w końcu, że szczerze mówiąc, owszem, od wielu lat. Ale nigdy jeszcze tak okropnie, jak w tej chwili. Matka sprowadziła lekarza. Lekarz odesłał nianię do szpitala. Prześwietlono ją i rentgen wykazał rzecz nader rzadką. W żołądku niani, w odstępach jakichś trzech cali, tkwiły niewielkie ciemne przedmioty. Przypominały przezroczyste kamienne kulki do gry. Nikt w szpitalu nie miał pojęcia, co to jest. Żeby to zbadać, postanowiono przeprowadzić operację.

- Mam nadzieję, że nie jest to kolejna z pańskich nieprzyjemnych anegdot

- wtrącił Woresley, przeżuając łososa.

- Jest fascynująca. Niezwykle pana zaciekawi - zapewniłem.

- W takim razie niech pan mówi.

- Kiedy chirurg otworzył niani brzuch, jak pan myśli, czym okazały się te dwa okrągłe przedmioty?

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

- To były oczy.

- Jak to oczy?

- Chirurg ujrzał przed sobą parę czujnie patrzących, wytrzeszczonych,



okrągłych oczu. I te oczy wpatrywały się w niego.

- Bzdura!

- Wcale nie - zaprzeczyłem. - A czyje były te oczy?

- Czyje?

- Całkiem sporej ośmiornicy!

- Żartuje pan.

- To święta prawda. Ta wielka ośmiornica żyła w żołądku drogiej niani faktycznie jako pasożyt. Korzystała z tego, co ona jadła, dobrze się odżywiała...

- Dość tego, Corneliusie.

- A jej osiem ohydnych macek wczepiło się nierozzerwalnie w wątrobę i płuca staruszki. Nie mogli ich oddzielić. Niania skoła na stole operacyjnym.

Woresley przestał żuć łososia.

- Jednak najciekawsze w tym mimo wszystko jest to, w jaki sposób ośmiornica się tam dostała. No bo w końcu, jakim trafem dorosła ośmiornica znalazła się w żołądku niani? Była o wiele za duża, żeby jej przejść przez gardło. Zagadnienie całkiem jak to z miniaturą żaglowca zamkniętą w butelce. Jak, u licha, tam weszła?

- Wolę nie wiedzieć - rzekł mój towarzysz.

- Powiem panu jak - oznajmiłem. - Co roku w lecie rodzice zabierali nianię i mnie do Beaulieu, na południu Francji. Tam dwa razy na dzień szliśmy popływać w morzu. Tak więc na pewno musiało się zdarzyć, że niania wiele lat temu połknęła maleńką, nowo narodzoną ośmiornicę i to małe stworzonko zdołało jakoś przyssać się do ścianek jej żołądka. Niania odżywiała się dobrze, a tym samym także mała ośmiornica. Staruszka

zawsze jadła z moją rodziną. Czasem na obiad była wątróbka albo bekon, innym razem pieczeń jagnięca albo wieprzowina. I może mi pan wierzyć albo nie, ale przepadała za wędzonym łososiem.

Woresley odłożył widelec. Na talerzu został mu jeszcze jeden cienki plasterek łososia. Nie tknął go.

- Tak więc mała ośmiornica rosła i rosła - ciągnąłem . - Wyrosła na ośmiornicę smakoszkę. Wyobrażam ją sobie - a pan? - tam, w ciemnościach jamy brzusznej, jak mówi do siebie: „Ciekawe, co będziemy dziś miały na kolację. Liczę, że będzie to *coq au vin*. Mam dziś chętkę na *coq au vin*. A do tego chrupkie pieczywko”.

- Pan ma przykre upodobanie do okropności, Corneliusie.

- Ten wypadek przeszedł do historii medycyny - oznajmiłem.

- We mnie budzi wstręt - odparł Woresley.

- Bardzo mi przykro. Ja tylko próbuję zabawić pana rozmową.

- Nie przyszedłem tutaj dla zabawy.

- Chcę uczynić z pana bogacza - powiedziałem.

- Więc proszę do tego przejść i powiedzieć mi w jaki sposób.

- Chciałem to zostawić do czasu, aż na stół wjedzie porto. Bez butelki porto nie urodzi się żaden dobry plan.

- Czy już pan skończył, proszę pana? - spytał Woresleya kelner, spoglądając na resztkę wędzonego łososia.

- Proszę zabrać - odrzekł Woresley.

Przez chwilę siedzieliśmy nie odzywając się do siebie. Kelner przyniósł befsztyki. Otworzono nam butelkę Volnaya. Był marzec, a więc do befsztyków podano nam pieczony pasternak oraz pieczone kartofle i mięso w cieście. Na widok befsztyka Woresley nieco się ożywił. Przysunął się z

krzesłem bliżej stołu i zaczął pałaszować.

- Czy pan wie, że mój ojciec z zapalem studiował historię marynarki wojennej? - zagadnąłem.

- Nie, nie wiem.

- Kiedyś opowiedział mi zajmującą historię o angielskim kapitanie, którego śmiertelnie raniono na pokładzie jego statku podczas amerykańskiej wojny o niepodległość. Chce pan troszkę chrzanu do befsztyka?

- Tak, proszę.

- Kelner! - zawołałem. - Proszę o trochę świeżo startego chrzanu. No i kiedy ten kapitan leżał umierający...

- Corneliusie, mam dość pańskich opowiastek - ostrzegł Woresley.

- To wcale nie jest moja opowiastka. To opowiastka mojego ojca. Różni się od innych. Na pewno bardzo się panu spodoba.

Rozprawiał się właśnie z befsztykiem, więc nie odpowiedział.

- Więc kiedy ten kapitan leżał umierający - ciągnąłem - wymusił na swoim zastępcy obietnicę, że zawiezie jego ciało do ojczyzny i pogrzebie w angielskiej ziemi. Nastęczyło to poważnych kłopotów, bo statek znajdował się podówczas gdzieś u wybrzeży Wirginii. Do Anglii było stamtąd co najmniej pięć tygodni żeglugi. Uradzono więc, że zwłoki można tam dostarczyć w przyzwoitym stanie tylko zanurzone w beczce z rumem, i tak też zrobiono. Beczkę przywiązano do fokmasztu i statek pożegłował do kraju. Po pięciu tygodniach rzucił kotwicę przy cyplu Plymouth, a załoga ustawiła się w szeregu, żeby oddać kapitanowi ostatni hołd podczas przenosin ciała z beczki do trumny. Ale kiedy odbito wieko beczki, rozszedł się tak przeraźliwy smród, że nawet najodporniejsi

popędzili do nadburci. Reszta zemdląca. Była to nielicha zagadka, bo zazwyczaj w marynarskim rumie można zakonserwować wszystko. Skąd więc, ach, skąd ten straszliwy zapach? - może pan słusznie spytać.

- Ja o nic nie pytam - burknął Woresley. Wąsy skakały mu tak, jak nigdy dotąd.

- Pozwoli pan, że wyjaśnię, co się stało.

- Nie!

- Muszę - odparłem. - Podczas tego drugiego rejsu część marynarzy cichaczem wyborowała otwór w spodzie beczki i zaszpuntowała go. I tak z upływem tygodni wypili wszystek rum.

Woresley nie odezwał się. Bynajmniej nie wyglądał najlepiej.

- „W życiu nie piłem lepszego rumu”, miał ponoć powiedzieć później jeden z tych marynarzy. Co zamówimy na deser? - spytałem.

- Żadnego deseru - rzekł Woresley.

Zamówiłem butelkę najlepszego porto, jaką mieli, oraz trochę sera stilton. Kiedy czekaliśmy na przelanie wina do karafki, nie zamieniliśmy ani słowa. Był to Cockburn, i to dobry, choć nie pomnę, z jakiego rocznika.

Podano nam nasze porto, a na talerzach przed nami spoczął wspaniały, rozpadający się zielony stilton.

- A teraz pozwoli pan, że wyjawię, jak zdobędę ten pański milion funtów - oznajmiłem.

Był czujny, odrobinę zaczepny, lecz nie wojowniczy. Wyraźnie go rozmiękczyłem.

- Właściwie jest pan zrujnowany - zacząłem. - Musi pan spłacać ubezwłasnowalniającą pana pożyczkę. Uniwersytet płaci panu marnie. Nie ma pan oszczędności. Żyje pan, proszę wybaczyć określenie, odpadkami.

- Żyjemy bardzo dobrze.

- Wcale nie. I nigdy nie będziecie, jeżeli nie pozwoli mi pan sobie pomóc.

- A więc jaki jest ten pański plan?

- Dokonał pan wielkiego odkrycia naukowego - powiedziałem. - To rzecz niewątpliwa.

- Przyznaje pan, że jest ono ważne? - spytał z ożywieniem.

- Bardzo ważne. Ale jeżeli opublikuje pan wyniki badań, to proszę popatrzeć, co się stanie. Pierwsi lepsi na całym świecie ukradną panu metodę i ją wykorzystają. Nie zdoła pan temu zapobiec. Tak było zawsze w historii nauki.

Proszę spojrzeć na pasteryzację. Pasteur opublikował metodę. I wszyscy mu ją ukradli. A co na tym zyskał poczciwy Pasteur?

- Zdobył sławę - odparł Woresley.

- Jeżeli to panu wystarcza, proszę bardzo, niech pan publikuje. A ja łaskawie się wycofam.

- A ile by to nam zabrało czasu?

- Nie wiem. Z pięć, najwyżej dziesięć lat. A potem mógłby pan zdobyć sobie sławę.

- Wobec tego niech pan mówi-rzekł. - Posłuchajmy o tym znakomitym planie.

Porto, które piliśmy, było doskonałe. Stilton również dobry, ale tylko skubnąłem go, żeby odświeżyć sobie smak. Zamówiłem jabłko. Twarde

jabłko, cienko pokrojone, to najlepszy towarzysz porto.

- Chcę, żebyśmy się zajęli wyłącznie spermą ludzką - powiedziałem. - Proponuję, żebyśmy wybrali samych naprawdę wielkich i słynnych mężczyzn, żyjących współcześnie, i utworzyli bank spermy. Przechowamy w nim po dwieście pięćdziesiąt porcji spermy każdego z nich.

- A w jakim celu? - spytał Woresley.

- Cofnijmy się o sześćdziesiąt lat, do roku mniej więcej 1860 - zaproponowałem. - Przyjmijmy, że pan i ja żyjemy w tamtych czasach i jednocześnie wiemy, jak przechowywać spermę w nieskończoność. Których z żyjących w 1860 roku geniuszy wybrałby pan na dawców?

- Dickensa - odparł.

- Kogo jeszcze?

- Ruskina... i Marka Twaina.

- I Brahmsa - dodałem - i Wagnera, i Czajkowskiego, i Dvofaka. Lista jest bardzo długa. Sami geniusze. A raczy pan się cofnąć głębiej w ten wiek, do Balzaca, do Beethovena, do Napoleona, Goi, Chopina. Czyż nie byłoby to fascynujące, gdybyśmy w naszym banku z ciekłego azotu mieli dwieście porcji żywych plemników twórcy IX Symfonii?

- I co by pan z nimi zrobił?

- Oczywiście sprzedawał je.

- Komu?

- Kobietom. Bardzo bogatym kobietom, pragnącym mieć dziecko z jednym z największych geniuszy wszechczasów.

- Chwileczkę, Corneliusie. Kobiety, bogate czy nie bogate, nie pozwolą się zapłodnić plemnikami jakiegoś obcego, dawno zmarłego człowieka tylko

dlatego, że był genialny.

- To pan tak myśli. Niech pan posłucha, zabiorę pana na jakikolwiek koncert Beethovena, do wyboru, a gwarantuję, że spotkamy tam pół tuzina kobiet, które oddałyby prawie wszystko, żeby tylko mieć dzisiaj dziecko z tym człowiekiem.

- Ma pan na myśli stare panny?

- Nie. Mężatki.

- A co by powiedzieli na to ich mężowie?

- O niczym by nie wiedzieli. Jedynie taka matka wiedziałaby, że zaszła w ciążę z Beethovenem.

- Ależ to niegodziwe, Corneliusie.

- Nie wyobraża pan jej sobie? Tej bogatej, nieszczęśliwej kobiety, która jest żoną jakiegoś niewiarygodnie brzydkiego, niewykształconego, ordynarnego przemysłowca z Birmingham i oto nagle zyskuje coś, dla czego warto żyć?

- spytałem. - Kiedy przechadza się po pięknie utrzymanym ogrodzie w wiejskiej posiadłości męża, nuci wolną część „Eroiki” Beethovena i myśli sobie: „Mój Boże, czy to nie cudowne?! Jestem w ciąży z człowiekiem, który napisał tę muzykę sto lat temu!”?

- Nie mamy spermy Beethovena.

- Jest wielu innych - odparłem. - Każdy wiek ma swoich wielkich ludzi, każda dekada. Naszym zadaniem jest dotrzeć do nich. Niech pan posłucha

- ciągnąłem - jest coś, co nam ogromnie sprzyja. Bardzo bogaci mężczyźni, sam pan się przekona, są prawie bez wyjątku brzydcy, nieokrzesani, niewykształceni i niemili. To zbóje, potwory. Niech pan tylko pomyśli o mentalności tych, którym całe życie upływa na

gromadzeniu miliona za milionem - o Rockefellerze, Carnegiem, Mellonie, Kruppie. To stara gwardia. Współczesna ich odmiana jest równie mało atrakcyjna. Przemysłowcy, spekulanci wzbogaceni na wojnie. Same nieokrzesane typy. Bez wyjątku poślubiają kobiety dla ich piękności, a one wychodzą za nich dla pieniędzy. Ślicznotki te mają ze swoimi brzydkimi, pazernymi małżonkami brzydkie, kompletnie nieuzdolnione potomstwo. Zaczynają nienawidzić swoich mężów. Nudzić się. Zajmują się kulturą. Kupują obrazy impresjonistów i chodzą na koncerty Wagnera. W tym właśnie momencie swojego życia, drogi panie, kobiety te dojrzewają do tego, byśmy je zerwali. I tu wkracza Oswald Cornelius, proponując im zapłodnienie autentyczną, gwarantowaną podpisem spermą Wagnera.

- Wagner też nie żyje.

- Ja tylko chcę panu ukazać, jak będzie wyglądał nasz bank plemników za czterdzieści lat, jeżeli założymy go teraz, w roku 1919.

- A kogo byśmy tam umieścili? - spytał Woresley.

- Kogo pan proponuje? Jakich współczesnych geniuszy?

- Alberta Einsteina.

- Dobrze - powiedziałem. - Kogo jeszcze?

- Sibeliusa.

- Wspaniale. A co pan powie na Rachmaninowa?

- I Debussy'ego - dodał.

- Kogo jeszcze?

- Zygmunta Freuda z Wiednia.

- Jest wielki?

- Będzie wielki - odparł Woresley. - Już jest sławny w światowych kręgach medycznych.



- Wierzę panu na słowo. Dalej.
- Igora Strawieńskiego.
- Nie wiedziałem, że zna się pan na muzyce.
- Naturalnie, że się znam.
- Chcę zaproponować malarza Picasso z Paryża - powiedziałem.
- Czy to geniusz?
- Tak.
- Zaakceptowałby pan Henry'ego Forda z Ameryki?
- O, tak - odparłem. - Świetny pomysł. I naszego własnego króla, Jerzego Piątego.
- Króla Jerzego Piątego?! - wykrzyknął Woresley. - A co on ma z tym wspólnego?
- Jest królewskiej krwi. Proszę tylko pomyśleć, ile pewne kobiety zapłaciłyby za dziecko spłodzone z królem Anglii!
- Niech pan nie będzie śmieszny, Corneliusie. Nie może pan wedrzeć się do pałacu Buckingham i spytać Jego Wysokość, czy byłby łaskaw dostarczyć panu porcji swojego nasienia.
- Zaraz, zaraz - odparłem. - Nie usłyszał pan jeszcze nawet połowy tego, co mam do powiedzenia. Nie poprzestaniemy na Jerzym Piątym. Musimy mieć na składzie szeroki asortyment królewskiej spermy. Plemniki wszystkich królów Europy. Zastanówmy się. W Norwegii mamy Haakona. W Szwecji Gustawa. W Danii Christiana. W Belgii Alberta. W Hiszpanii Alfonsa. W Rumunii Karola. W Bułgarii Borysa. We Włoszech Wiktora Emanuela.
- Pan jest niemądry.
- Wcale nie. Bogate hiszpańskie damy z arystokratycznych rodów aż się

pałą do tego, żeby mieć dziecko z Alfonsem. To samo dotyczy innych krajów. Arystokracja czci monarchię. Najważniejsze, żebyśmy mieli w naszym skarbcu duży zapas królewskiej spermy. I zdobędę ją. Spokojna głowa. Zdobędę.

- To niedorzeczne i niewykonalne - rzekł na to Woresley. Włożył do ust kawałek stiltona i popił go porto, marnując w ten sposób i ser, i wino.

- Jestem gotów zainwestować w naszą spółkę sto tysięcy funtów, co do pensa - oświadczyłem wolno. - Oto jak według mnie jest to niedorzeczne.

- Pan oszalał.

- Powiedziałby pan, że oszalałem, widząc, jak w wieku siedemnastu lat wyruszam do Sudanu na poszukiwanie proszku z chrząszczy? Tak by pan powiedział, co?

To go trochę przyhamowało.

- A ile by pan sobie liczył za tę spermę? - spytał.

- Majątek - odparłem. - Mały Einstein nie może być tani. Ani mały Sibelius. Ani mały król Albert Belgijski. Ej, właśnie coś przyszło mi do głowy. Czy królewskie dziecko mogłoby dziedziczyć tron?

- Byłoby bękartem.

- Ale zawsze coś by dziedziczyło. Tak jak na ogół królewskie dzieci z nieprawego łoża. Musimy słono liczyć za królewską spermę.

- Ile by pan brał?

- Myślę, że ze dwadzieścia tysięcy za wstrzyknięcie. Zwykli śmiertelnicy byliby nieco tańsi. Ustalilibyśmy cennik i rozpiętość cen. Ale królowie byliby najdrożsi.

- Herbert George Wells! - powiedział nagle. - Jest osiągalny.

- Owszem. Możemy go wpisać na listę. Woresley rozsiadł się na krześle i

popił wina.

- Przypuśćmy - zaczął - tylko przypuśćmy, że mamy już ten nadzwyczajny bank plemników, to kto by jeździł i szukał bogatych klientek?

- Ja.

- A kto by je zapładniał?

- Ja.

- Pan nie wie, jak to robić.

- Prędko się nauczę. Może to być niezły ubaw.

- Pański plan ma pewien słaby punkt - rzekł Woresley. - Bardzo słaby punkt.

- Jaki?

- Prawdziwą wartość ma sperma nie Einsteina czy Strawińskiego, ale ojca Einsteina, ojca Strawińskiego. To oni w rzeczywistości spłodzili geniuszy.

- Zgadza się - przyznałem. - Ale zanim ktoś zostanie uznany za geniusza, jego ojciec już nie żyje.

- I właśnie dlatego pański projekt to szalbierstwo.

- Przecież nam chodzi o zrobienie pieniędzy, a nie o hodowlę geniuszy - zareplikowałem. - Zresztą te kobiety nie kupią spermy ojca Sibeliusa. Będą natomiast poszukiwać rozkosznego zastrzyku z dwudziestu milionów plemników samego wielkiego człowieka.

Woresley znowu palił fajkę i jego głowę spowijały chmury dymu.

- Owszem, zgoda, gotów jestem przyznać, że znajdzie pan bogate nabywczynie na spermę geniuszy i królów - rzekł. - Niemniej pański dziwaczny plan jest z góry skazany na niepowodzenie z tej prostej przyczyny, że nie zdoła pan zdobyć spermy. Chyba nie myśli pan poważnie, że wielcy ludzie i królowie poddadzą się... nader kłopotliwym

zabiegom w celu wytworzenia nasienia po to, żeby obdarować nim kompletnie obcego młodego człowieka...

- Wcale nie tak mam zamiar to zrobić.

- A jak?

- Zrobię to w taki sposób, że każdy będzie musiał stać się naszym dawcą, nie mogąc się powstrzymać.

- Bzdury. Ja tam bym się powstrzymał.

- Nie.

Włożyłem do ust cienki plasterk jabłka i zjadłem. Podniosłem do nosa kieliszek z porto. Miało bogaty, grzybowy bukiet. Pociągnąłem łyk i rozprowadziłem je na języku. Jego aromat wypełnił mi usta. Przypominał mieszankę kwiatów i ziół. Przez kilka chwil byłem zniewolony rozkosznym smakiem wina, które kosztowałem. Jakiż wyśmienity posmak pozostawiało w ustach po przełknięciu. Jego aromat tkwił w nozdrzach jeszcze długo, długo potem.

- Niech pan mi da trzy dni, a zapewniam, że wejdę w posiadanie pełnego wytrysku pańskiego nasienia, wraz z podpisanym przez pana oświadczeniem, że jest ono autentyczne.

- Proszę nie przesadzać z głupotą, Corneliusie. Nie może mnie pan zmusić do zrobienia czegoś, czego nie chcę.

- Więcej nic panu nie powiem. Przyjrzał mi się przez dym z fajki

- Nie użyłby pan wobec mnie żadnych gróźb, prawda? - spytał. - Ani nie torturował?

- Jasne, że nie. Zrobiłby to pan z własnej woli. Zakład, że mi się to uda?

- Z mojej własnej woli, powiada pan?

- Tak.

- Wobec tego założę się, o co pan chce.
- Dobrze - powiedziałem. - Zakładamy się więc, że jeżeli pan przegra, przyrzeknie pan zrobić następujące rzeczy: po pierwsze, wstrzyma się z opublikowaniem wyników odkrycia do czasu, aż obaj zarobimy po milionie: po drugie, będzie pan ze mną w pełni i z zapałem współpracował; po trzecie, przekaże mi pan całą niezbędną wiedzę techniczną, potrzebną do założenia banku nasienia.
- Proszę bardzo, mogę sobie składać obietnice, których nigdy nie będę musiał spełnić.
- A więc przyrzeka pan?
- Przyrzekam.

Zapłaciłem rachunek i zaproponowałem Woresleyowi, że go odwiozę do domu swoim samochodem.

- Dziękuję, ale jestem rowerem - odparł. - My, biedni profesorowie, nie jesteśmy tak zamożni jak niektórzy.

- Wkrótce pan będzie zamożny - zapewniłem.

Stałem na Trinity Street i patrzyłem, jak pedałowując odjeżdża w noc. Było dopiero wpół do dziesiątej, postanowiłem więc, że od razu wykonam następne posunięcie. Wsiadłem do samochodu i pojechałem prosto do Girton.

## 10.

Girton, na wypadek gdyby Państwo nie wiedzieli, był i jest żeńskim wydziałem a zarazem częścią uniwersytetu Cambridge. W jego ponurych

murach mieszkała w 1919 roku gromadka młodych pań, fizycznie tak odrażających, z tak grubymi szyjami i końskimi szczękami, że tylko z wielkim wysiłkiem mogłem zmusić się do patrzenia na nie. Przypominały mi krokodyle. Kiedy mijałem je na ulicy, po plecach przechodziły mi ciarki. Rzadko się myły, a szkła okularów miały powalane tłustymi odciskami palców. Z pewnością były mądre. Wiele odznaczało się błyskotliwym umysłem. Była to jednak, moim zdaniem, niewielka rekompensata.

Ale poczekajcie!

Zaledwie przed tygodniem odkryłem pośród tych zoologicznych okazów stworzenie tak oszałamiająco śliczne, że nie mogłem uwierzyć, iż studiuje w Girton. A jednak studiowała. Odkryłem ją w cukierni Lyonsa w porze lunchu. Jadła pączka. Spytałem, czy mogę się dosiąść do jej stolika. Skinęła głową i jadła dalej. Tak więc usiadłem, gapiąc się i wybałuszając na nią oczy, jakby była wcieleniem samej Kleopatry. Jeszcze nigdy w swoim krótkim życiu nie spotkałem dziewczyny ani kobiety, od której tak tchnęłoby rozpustą. Dosłownie ociekała seksem. To, że twarz miała oblepioną lukrem i okruchami pączka, niczego nie zmieniało. Ubrana była w pelerynę i szalik, lecz efekt był taki sam, jakby siedziała całkiem naga. Taką dziewczynę spotyka się zaledwie raz czy dwa w życiu. Twarz miała nieopisanie piękną, ale to nie dlatego wierciłem się na krześle, lecz z powodu jej rozszerzających się nozdrzy i dziwnie, lekko wygiętej górnej wargi. Nawet w Paryżu nie spotkałem kobiety wzbudzającej natychmiastową żądzę. Jadła dalej swojego pączka, a ja pożerałem ją wzrokiem. Raz, ale tylko raz, podniosła na mnie oczy, zatrzymała je, chłodne i przenikliwe, jakby coś kalkulowała, a potem spuściła. Skończyła pączka i odsunęła

krzesło od stolika.

- Zostań - powiedziałem.

Znieruchomiła i na sekundę jej kalkulujące, brązowe oczy uniosły się i spoczęły na mojej twarzy.

- Co pan powiedział? - spytała.

- Powiedziałem: zostań. Nie odchodź. Zjedz jeszcze jednego pączka... keksik albo coś.

- Jeżeli chce pan ze mną porozmawiać, czemu pan nie powie?

- Chcę z tobą porozmawiać.

Splotła ręce na piersiach i czekała. Zacząłem mówić. Niebawem podjęła rozmowę. Studiowała w Girton biologię i, tak jak ja, otrzymała stypendium. Jej ojciec był Anglikiem, matka Iranką. Nazywała się Yasmin Howcomely. Nieważne, co sobie powiedzieliśmy. W każdym razie z cukierni pojechaliśmy prosto do mnie i zostaliśmy tam do następnego ranka. Spędziliśmy razem osiemnaście godzin i pod koniec czułem się jak pemmikan - pasek wysuszonego, odwodnionego mięsa. Ta dziewczyna była straszliwie podniecająca i niewiarygodnie swawolna. Gdyby była Chinką i mieszkała w Pekinie, to zdobyłaby swój Dyplom Chwały z rękami związanymi z tyłu i nogami w żelaznych kajdanach.

Dostałem na jej punkcie takiego fioła, że złamałem swoją złotą zasadę i spotkałem się z nią po raz drugi.

Tymczasem w tej chwili była za dwadzieścia dziesiąta wieczorem, Woresley pedałował do domu, a ja stałem na portierni w Girton, prosząc starego portiera, żeby z łaski swojej zawiadomił pannę Yasmin Howcomely, że pan Oswald Cornelius chce się z nią widzieć w bardzo pilnej sprawie.

Zeszła natychmiast.

- Wskakuj do samochodu - powiedziałem. - Musimy coś obgadać.

Wskoczyła, zawiozłem ją do Trinity i wręczyłem pół gwinei portierowi, żeby patrzył w inną stronę, kiedy Yasmin będzie go mijać w drodze do moich pokojów.

- Nie rozbieraj się - zaznaczyłem. - Chodzi o interesy. Chciałabyś być bogata?

- Bardzo bym chciała - odparła.

- Mogę ci ufać całkowicie?

- Tak.

- Nie powiesz nikomu?

- Mów. Już wyczuwam w tym niezły ubaw. Opowiedziałem jej więc wszystko o odkryciu Woresleya.

- Mój Boże! - zawołała, kiedy skończyłem. - To wspaniałe odkrycie naukowe! Kim, u licha, jest ten Woresley? Zdobędzie światową sławę! Chciałabym go poznać!

- Wkrótce poznasz - zapewniłem.

- Kiedy? - spytała, naprawdę podniecona tą perspektywą, gdyż sama była inteligentnym naukowcem.

- Zaczekaj - powstrzymałem ją. - Oto dalszy ciąg. Opowiedziałem, jak zamierzam wykorzystać jego odkrycie i zrobić majątek dzięki utworzeniu banku nasienia wielkich światowych geniuszy i wszystkich królów.

Kiedy skończyłem, spytała, czy nie mam w domu wina. Otworzyłem butelkę bordo i nalałem je do kieliszków. Znalazłem do niego smaczne, pikantne biskwity.



- Twój bank spermy to ogromnie zabawny pomysł, ale obawiam się, że nie wypali - powiedziała i wyłożyła mi takie same naiwne obiekcje, jak wcześniej tego wieczoru Woresley.

Pozwoliłem jej się wygadać, po czym zagrałem moim asem pik.

- Poprzednim razem opowiadałem ci o mojej paryskiej aferze - powiedziałem. - Pamiętasz?

- O wspaniałym chrząszczu sudańskim. Nie mogę odżałować, że nie przywiozłeś ze sobą trochę tego proszku.

- Przywiozłem.

- Żartujesz!

- Kiedy dawka równa jest wielkości łebka od szpilki, to pięć funtów proszku starcza na bardzo długo. Zostało mi jeszcze około funta.

- A więc to rozwiązuje sprawę! - zawołała, klaskając w dłonie.

- Wiem.

- My podsunie my im proszek, a oni w zamian dostarczą nam za każdym razem miliard swoich malutkich wiercickich!

- Ty wystąpisz w roli podniety.

- Och, jasne, że ich podniecę! - zawołała. - Podniecę śmiertelnie. Plemniki dostarczą nam nawet wiekowi starcy! Pokaż mi ten cudowny środek.

Wyjąłem swoje słynne pudełko po herbatnikach i otworzyłem. Znajdowała się w nim warstwa proszku grubości cala. Yasmin zagłębiła w nim palec i zaczęła go nieść do ust. Chwyciłem ją za rękę.

- Zwariowałaś?! - krzyknąłem. - Na skórze tego palca masz sześć pełnych dawek!

Nie puściłem jej ręki, zaciągnąłem Yasmin do łazienki i włożyłem jej palec

pod kran.

- Chcę spróbować - powiedziała. - No, nie bądź taki, kochanie. Daj mi odrobinę.

- Mój Boże, kobieto, czy ty wiesz, jak na to zareagujesz?

- Już mi powiedziałeś.

- Jeżeli chcesz poznać działanie tego proszku, to przyjrzyj się, jak jutro zareaguje na niego Worsley.

- Jutro?

- Nieodwołalnie.

- Huraaaa! A o której?

- Zdobędziesz od Woresleya nasienie, a ja wygram zakład - powiedziałem.

- Tym samym dołączy on do nas. Woresley, ty i ja stworzymy wspaniały zespół.

- To mi się podoba - powiedziała. - Wstrząśniemy całym światem.

- Wstrząśniemy czymś więcej - powiedziałem. - Wstrząśniemy koronowanymi głowami całej Europy. Ale najpierw musimy wstrząsnąć Woresleyem.

- Musi być wtedy sam.

- To żaden kłopot - odparłem. - Pomiędzy wpół do szóstej a wpół do siódmej wieczorem zostaje sam w laboratorium. Potem idzie do domu na kolację.

- Jak go skłonię, żeby to połknął? - spytała. - Mówię o proszku.

- W czekoladzie - powiedziałem. - W pysznej małej czekoladce. Musi być mała, tak żeby od razu włożył ją całą do ust.

- Tylko gdzie, jeśli łaska, zdobyć dzisiaj pyszne, małe czekoladki? Zapomniałaś już, że była wojna.

- W tym właśnie rzecz - odparłem. - Woresley od 1914 roku nie miał w ustach porządnej czekolady. Połknie ją!

- Ale czy ty masz jakieś czekoladki?

- Są tutaj - oznajmiłem. - Za pieniądze dostaniesz wszystko. Otworzyłem szufladę i wyjąłem pudełko czekoladowych truflí. Wszystkie były jednakowe. Wszystkie wielkości marmurowych kulek, w jakie grają chłopcy. Dostarczyła mi je firma Prestat, wspaniali czekoladnicy z Oxford Street w Londynie. Wziąłem jedną truflę i nakłułem ją szpilką. Odrobineę powiększyłem dziurkę. Potem główką tej samej szpilki odmierzyłem dawkę proszku z sudańskich chrząszczy. Wsypałem go do wydrążonej dziurki. Odmierzyłem następną dawkę i także wsypałem.

- Ej! To przecież dwie dawki! - zawołała Yasmin.

- Wiem. Chcę mieć absolutną pewność, że pan Woresley dostarczy nam spermy.

- Przekręci się od tego.

- Wytrzyma.

- A co ze mną?

- Myślę, że sama dasz sobie radę - odparłem. Przycisnąłem miękką czekoladkę palcem, żeby zasklepić dziurkę, a potem wbiłem w nią zapalkę. - Daję ci dwie czekoladki - powiedziałem. - Jedną dla ciebie, drugą dla niego. Dla niego jest ta z zapalką.

Włożyłem czekoladki do papierowej torebki i wręczyłem ją Yasmin. Przez jakiś czas omawialiśmy plan akcji.

- Zrobi się gwałtowny? - spytała.

- Odrobinę.

- A skąd wezmę to, o czym mówiłeś?

Wyjąłem przedmiot, o który pytała. Obejrzała go, żeby sprawdzić, czy jest cały, i schowała do torebki.

- Załatwione?

- Tak - potwierdziła.

- Nie zapomnij, że będzie to próba kostiumowa do wszystkich przedstawień, w których zagrasz później. Więc ucz się, ile możesz.

- Szkoda, że nie znam dzudo - powiedziała.

- Nic ci nie będzie.

Odwiozłem ją do Girton i wprowadziłem przez bramę jej wydziału.

## 11.

Przenieśmy się teraz do godziny wpół do szóstej po południu następnego dnia. Leżałem wówczas wygodnie na podłodze laboratorium Woresleya, ukryty za rzędem drewnianych szafek na akta. Spędziłem ten dzień na szwendaniu się; wchodząc i wychodząc z jego laboratorium, rozpoznałem teren działań, a także stopniowo odsuwałem szafki na pół metra od ściany, tak bym później mógł się za nie wcisnąć. Zostawiłem też szparę pomiędzy dwiema szafkami, aby w ten sposób zapewnić sobie wspaniały widok na całe pomieszczenie. Woresley zawsze pracował na końcu laboratorium, z sześć metrów od mojego stanowiska. Właśnie tam był. Zabawiał się stojakiem z probówkami, pipetą i jakimś niebieskim płynem. Nie nosił dziś tradycyjnego białego fartucha. Był w samej koszuli i szarych flanelowych spodniach. Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę! - zawołał, nie unosząc głowy.

Weszła Yasmin. Nie powiedziałem jej, że będę podglądał. No bo po co? Ale generał musi zawsze doglądać oddziałów walczących w bitwie. Moja dziewczyna prezentowała się zachwycająco w sukience z drukowanej bawełny, ciasno opinającej jej wystrzałową figurę, a wchodząc wniosła z sobą nieuchwytną aurę zmysłowości i rozpusty, które towarzyszyły jej wszędzie jak cień.

- Pan Woresley? - spytała.

- Tak, jestem Woresley - odparł, w dalszym ciągu nie podnosząc głowy. - O co chodzi?

- Proszę wybaczyć mi to wtargnięcie - powiedziała. - Nie jestem chemiczką. Właściwie to studiuję biologię. Ale natrafiłam na doprawdy trudny problem, bardziej z dziedziny chemii niż biologii. Pytałam już o to wszędzie, ale zdaje się, że nikt nie jest w stanie dać mi odpowiedzi. Wszyscy odsyłali mnie do pana.

- A, odsyłali do mnie - powtórzył z zadowoleniem Woresley. Nadal starannie odmierzał niebieski płyn ze zlewki, wpuszczając go pipetką do probówki. - Pozwoli pani, że skończę - dodał.

Yasmin stała nieruchomo, taksując wzrokiem swoją ofiarę.

- No dobrze, moja droga - rzekł Woresley, odkładając pipetę i odwracając się po raz pierwszy. - O co to pani...

Zamilkł w środku zdania. Szczeka mu opadła, a oczy zrobiły się wielkie i okrągłe jak półkoronówki. Potem zaś spod szczeciny przyżółconych nikotyną wąsów wystawił czerwony język i przesuwając nim zwilżył wargi. Dla kogoś, kto przez tyle lat oglądał niewiele więcej niż dziewczęta z Girton i własną szpetną siostrę, Yasmin musiała wyglądać jak stworzenie z innego świata, jak pierwszy poranek, duch unoszący się nad wodami.

Jednakże szybko oprzytomniał.

- Chciała mnie pani o coś spytać, moja droga? - zwrócił się do niej.

Yasmin wybornie przygotowała swoje pytanie. Zapomniałem, jak dokładnie ono brzmiało, ale dotyczyło przypadku, gdzie chemia (jego dziedzina) i biologia (jej dziedzina) splatały się ze sobą tak zawile, że aby rozwiązać ów problem potrzebna była dogłębna wiedza chemiczna. Odpowiedź, jak sobie przebiegle wyliczyła, musiała mu zająć co najmniej dziewięć minut, a prawdopodobnie więcej.

- To fascynujący problem - przyznał Woresley. - Zastanówmy się, jak najlepiej pani na to odpowiedzieć.

Podszedł do długiej tablicy umocowanej na ścianie laboratorium. Wziął kawałek kredy.

- Zje pan czekoladkę? - spytała Yasmin.

W ręku trzymała papierową torebkę, a kiedy Woresley się odwrócił, włożyła jedną z czekoladek do ust. Wyjęła z torebki drugą i trzymając ją koniuszkami palców wyciągnęła w jego stronę.

- O mój Boże - wymamrotał. - Co za przysmak!

- Pyszna - zachęciła go. - Proszę skosztować.

Woresley przyjął czekoladkę, zaczął ją ssać, obrócił w ustach, rozgryzł, a wreszcie połknął.

- Wspaniała - pochwalił. - Bardzo pani uprzejma.

W chwili, gdy czekoladka zniknęła mu w przełyku, sprawdziłem godzinę na swoim zegarku. Spostrzegłem, że Yasmin zrobiła to samo. Przytomna dziewczyna. Woresley stał przy tablicy, wygłaszając długi komentarz, okraszony wieloma wspaniałymi wzorami, które wypisywał kredą. Nie słuchałem go. Liczyłem upływające minuty. Tak samo Yasmin. Prawie nie

spuszczała wzroku ze swojego zegarka.

Minęło siedem minut...

Osiem...

Osiem minut pięćdziesiąt sekund...

Dziewięć minut! Punktualnie co do sekundy ręka Woresleya trzymająca kredę przytkniętą do tablicy przestała pisać. Woresley zastygł.

- Panie Woresley - powiedziała promiennie Yasmin, wybierając idealny moment. - Czy zechciałby mi pan dać swój autograf? W swojej kolekcji mam już autografy wszystkich wykładowców, z wyjątkiem pańskiego.

Wyciągnęła w jego stronę pióro i papier listowy Wydziału Chemii.

- A to co? - zachnął się i zanim zwrócił twarz w jej kierunku, sięgnął ręką do kieszeni spodni.

- W tym miejscu - powiedziała Yasmin, umieszczając palec na środku kartki, tak jak ją pouczyłem. - Proszę złożyć podpis. Zbieram je. Pański będę sobie cenić najwyżej.

Żeby wziąć pióro, Woresley musiał wyjąć rękę z kieszeni. Był to komiczny widok. Biedak sprawiał wrażenie, jakby miał tam żywego węża.

Właśnie zaczął przestępować z nogi na nogę.

- W tym miejscu - powtórzyła Yasmin, trzymając palec na papierze listowym. - Wkleję go potem do albumu wraz z innymi autografami.

Oszołomiony wzbierającą w nim żądzą Woresley podpisał się. Yasmin złożyła kartkę i schowała ją do torebki. Woresley obiema rękami chwycił się drewnianego laboratoryjnego stołu. Zaczęło nim rzucać we wszystkie strony, jak gdyby budynek płynął po morzu w czasie sztormu. Czoło miał zroszone potem. Przypomniałem sobie, że połknął podwójną dawkę. Myślę, że Yasmin także sobie o tym przypomniwała. Cofnęła się o parę

kroków i przygotowała do zbliżającego się natarcia.

Woresley powoli odwrócił głowę i wpatrzył się w dziewczynę. Proszek wziął go mocno we władanie, w jego oczach błysnęło szaleństwo.

- Ja... mmm... ja... ja...

- Co się stało, panie Woresley? - spytała słodko Yasmin. - Dobrze się pan czuje?

W dalszym ciągu przytrzymał się stołu i wpatrywał w dziewczynę. Jego twarz ociekała potem, który spływał mu na wąsy.

- Czy mogę jakoś panu pomóc?

Z gardła wydobyło mu się dziwne gulgotanie.

- Przynieść panu szklankę wody? - spytała Yasmin. - A może sole trzeźwiące?

Stał nadal w miejscu, uczepony rękami stołu laboratoryjnego, potrząsając głową i dziwacznie gulgocząc. Przypominał mi kogoś, komu w gardle utkwiała ość.

Raptem ryknął gromko i skoczył na dziewczynę. Chwycił ją za ramiona i pchając próbował przewrócić na podłogę, ale odskoczyła poza zasięg jego rąk.

- Aha! - zawołała. - A więc to nas dręczy. No, nie ma się czego wstydzić, kochany - powiedziała z perfidnym spokojem.

Znowu natarł na nią z wyciągniętymi rękami, chcąc ją złapać, ale była od niego zwinniejsza.

- Chwileczkę - powiedziała, prędko otwierając torebkę i wyjmując gumowy przedmiot, który dałem jej poprzedniego wieczoru. - Gotowa jestem zabawić się z panem, panie Wu, ale po co ktoś ma tu w coś zająć, prawda? Więc niech pan będzie greczny i przez chwilę postoi spokojnie,



kiedy będę zakładać ten mały płaszczyk.

Ale Woresley miał gdzieś mały płaszczyk. Nie zamierzał stanąć spokojnie. Wątpię, czy mógłby to zrobić, nawet gdyby bardzo chciał. Co do mnie, to ogromnie pouczający był widok, jak osobliwy wpływ wywiera podwójna dawka proszku na osobnika poddanego doświadczeniu. Przede wszystkim sprawiła, że skakał. Podskakiwał tak, jakby ćwiczył rytmikę. I wciąż nedorzecznie porykiwał. Wciąż wywijał rękami w koło, w koło, jak wiatrak. Po twarzy spływał mu pot. Yasmin zaś tańczyła wokół niego, trzymając w wyciągniętych rękach absurdalny gumowy przedmiot, i wołała:

- Och, niechże pan stanie, panie Woresley! Nie dopuszczę pana do siebie, dopóki go panu nie założę!

Wątpię, czy ją słyszał. Chociaż wyraźnie szalał z żądz, to jednak wyglądał na ogromnie zażenowanego. Wydawało się, że skacze, bo jest czymś nadmiernie podrażniony. Coś go gryzło. A gryzło tak bardzo, że nie mógł ustać spokojnie. W wyścigach chartów, żeby pies biegł szybciej, często wsadzają mu w tyłek kawałek imbiru, a wówczas gna co siłą, chcąc uciec przed straszliwym żądłem w zadku. W przypadku Woresleya podobne żądło tkwiło w całkiem innej części ciała, a cierpienia, jakie mu zadawało, zmuszały go do skakania po całym laboratorium, on zaś powtarzał sobie, a przynajmniej takie robił wrażenie, że od tego straszego żądła może go uwolnić tylko kobieta. Ale ta nikczemnica była dla niego za szybka. Nie mógł jej złapać. No a piekło go coraz bardziej.

Nagle rozerwał rękami przód spodni i na podłogę, pobrzękując cichutko, posypało się trochę guzików. Spuścił spodnie. Opadły mu na kostki. Wierzgając próbował się z nich uwolnić, ale przeszkadzały mu w tym

buty.

Mając spodnie na kostkach, był chwilowo spętany. Nie mógł biec. Nie mógł iść. Mógł wyłącznie skakać. Yasmin dostrzegła nadarzającą się okazję i wykorzystała ją. Rzuciła się do jego wyprężonego, drgającego interesu, który sterczał mu z rozporoka ineksprimabli. Chwyliła go w prawą dłoń i ścisnęła tak mocno, jak rączkę rakiety do tenisa. Miała go. Zaryczał jeszcze głośniej.

- Na miłość boską, cicho! - ostrzegła. - Sprowadzi pan cały uniwersytet! Proszę stać spokojnie, żebym mogła założyć panu to świństwo!

Ale Woresley był głuchy na wszystko, słuchał tylko swoich niepoahamowanych, pierwotnych żąd. Po prostu nie mógł stać spokojnie. Spętany spodniami skakał dalej, wymachiwał rękami i ryczał jak byk. Dla Yasmin musiało to być równie trudne, jak nawleczenie igły w puszczonej w ruch maszynie do szycia.

W końcu jednak straciła cierpliwość i ujrzałem, że prawą ręką, zaciśniętą jak na rączce rakiety tenisowej, wykonuje paskudny, szybki skręt. Przypominało to ruch przy ostrym returnie z bekhendu w odpowiedzi na półwoleja, kiedy wykańczając uderzenie wygina się nadgarstek, żeby podkręcić piłkę. Szarpnięcie nadgarstkiem było złośliwe i z pewnością skuteczne, bo ofiara zawyla tak, że aż brzęknęły wszystkie próbówki w laboratorium. Woresley znieruchomiał na pięć sekund, co dało jej dość czasu, żeby naciągnąć gumę i odskoczyć poza zasięg jego ramion.

- A może byśmy tak troszkę ochłonęli? - powiedziała. - To przecież nie walka byków.

Właśnie zdzierał buty z nóg i rzucał nimi przez pokój, a kiedy skopnął spodnie i odzyskał swobodę ruchów, Yasmin z pewnością pojęła, że

wreszcie nadeszła chwila prawdy.

I zaiste nadeszła! Ale po cóż opisywać zapasy, koziołki i młóckę, które nastąpiły. Nie było żadnych przerw, pauz, antraktów, przestojów. Podwójna dawka proszku z chrząszcza sprawiła, że ten mężczyzna nabrał niesamowitego wigoru. Zabrał się do niej tak, jakby miał przed sobą drogę o nierównej nawierzchni, na której należy wyrównać wyboje. Wywalcował ją od stóp do głów. Ostrzelał od dziobu po rufę, ładował wciąż od nowa i znów strzelał, choć działo musiał mieć już tak rozgrzane, że aż parzyło. Podobno w dawnych czasach Anglicy rozniecali ogień kręcąc bardzo szybko i bardzo długo czubkiem drewnianego patyka w drewnianym pieńku. Skoro z tego ponoć brał się ogień, to w takim razie Woresleyowi niewiele brakowało do wywołania wściekłego pożaru, choć nie kręcił w drewnie. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby nad zapaśnikami na podłodze pojawił się obłok dymu.

Kiedy to wszystko miało miejsce, skorzystałem ze sposobności, żeby zanotować w brulionie kilka spostrzeżeń przydatnych na przyszłość.

Uwaga pierwsza: Zawsze się staraj, żeby Yasmin spotykała się z dawcą w pokoju, w którym jest kanapa, fotel, a przynajmniej dywan na podłodze. To na pewno silna i wytrzymała dziewczyna, ale wymagać od niej, żeby pracowała na drewnianym podłożu, tak jak w tej chwili, to za wiele. Łatwo może uszkodzić w ten sposób okolicę lędźwi, a nawet złamać miednicę. I co wówczas będzie z naszym przemyślnym planem, tra-la-la?

Uwaga druga: Nigdy więcej nie aplikuj podwójnej dawki. Zwiększona dawka proszku nadmiernie pobudza organy witalne i wprawia ofiarę w trans w rodzaju tańca świętego Wita. Prawie całkowicie uniemożliwia to Yasmin założenie zbieracza spermy bez stosowania nieczystych chwytów.

Przedawkowanie sprawia również, że ofiara ryczy, co mogłoby nastęrczyć kłopotów, gdyby żona ofiary, na przykład królowa Danii czy pani Bernardowa Shaw, przypadkiem siedziała w pokoju obok, pochłonięta koronkarstwem.

Uwaga trzecia: Postaraj się obmyślić sposób, jak dopomóc Yasmin wydo- stać się spod ofiary i zwiać z cennym ładunkiem, kiedy już znajdzie się on w zbieraczu. Ten szatański proszek, nawet podany w oszczędnej dawce, może zapewnić dziewięćdziesięcioletniemu geniuszowi dwie godziny grzmocenia albo więcej. Oprócz przykrości, które mogą spotkać Yasmin, trzeba jeszcze koniecznie mieć na uwadze i to, by szybko dostarczyć tych malutkich wercickich w świeżym stanie do zamrażarki. Weźmy na przykład poczciwego Woresleya i to, jak piłuje bez ustanku, choć na pewno dostarczył nam już sześć porcji towaru pod rząd. W przyszłości być może skutecznym środkiem okaże się ukłucie w pośladek szpilką do kapelusza.

Leżąca na podłodze laboratorium Yasmin nie miała jednak szpilki do kapelusza, żeby sobie pomóc, i do dziś nie wiem, co takiego właściwie zrobiła Woresleyowi, ale jeszcze raz zawył okropnie i znieruchomiał. Ani me chcę wiedzieć, bo to nie moja sprawa. Jednak cokolwiek to było, to taka miła dziewczyna nie zrobiłaby tego tak miłemu facetowi, gdyby miała inne wyjście. Zaraz potem zobaczyłem, że Yasmin wstaje, odsuwa się i z łupem rzuca się do drzwi. Mało brakowało, a wstałbym i nagroził ją oklaskami, kiedy opuszczała scenę. Co za występ! Co za wspaniałe zejście! Drzwi trzasnęły i zniknęła mi z oczu.

W laboratorium raptem zrobiło się cicho. Woresley wolno podźwignął się z podłogi. Stał oszołomiony, chwiejąc się na nogach. Wyglądał, jakby

dostał w głowę kijem do krykieta. Zataczając się podszedł do zlewu i spryskał sobie twarz wodą, a ja w tym czasie wydostałem się chyłkiem z ukrycia i na palcach wyszedłem z laboratorium, zamknąwszy za sobą drzwi.

W korytarzu nie było śladu Yasmin. Powiedziałem jej, że podczas akcji będę siedział w swoim mieszkaniu w Trinity, zapewne więc tam w tej chwili podążała. Pośpiesznie wyszedłem, wskoczyłem do samochodu i okrężną trasą, żeby jej nie spotkać, pojechałem na swoją uczelnię. Zaparkowałem wóz, wszedłem do mieszkania i czekałem.

Przyszła parę minut później.

- Daj mi pić - powiedziała idąc w kierunku fotela. Spostrzegłem, że stąpa ostrożnie jakby na ugiętych nogach.

- Wyglądasz, jakbyś biegnąc boso spod Maratonu przynosiła dobre wieści - powiedziałem.

Nie odpowiedziała. Nalałem jej do szklanki pięć centymetrów dzinu i dodałem centymetr sześcienny soku cytrynowego. Łyknęła potężny haust tego wspaniałego napoju i powiedziała:

- Uuuch, już mi lepiej.

- Jak poszło?

- Daliśmy mu trochę za dużo.

- Tak właśnie myślałem.

Otworzyła torebkę i wyjęła odrażający gumowy rekwizyt, którego wolny koniec bardzo praktycznie zawiązała na supeł. A ponadto kartkę papieru listowego z podpisem Woresleya.

- Wspaniale! - wykrzyknąłem. - Masz to! Udało się! Podobało ci się? Jej odpowiedź mnie zaskoczyła.

- Szczerze mówiąc, bardzo - odparła.
- Bardzo?! To znaczy, że nie był brutalny?
- W porównaniu z nim wszyscy znani mi mężczyźni to eunuchy - oświadczyła.

Zaśmiałem się.

- Z tobą włącznie - dodała. Przestałem się śmiać.
- Odtąd - powiedziała cicho, znów łykając dzinu - chcę mieć wyłącznie takich kochanków.
- Przecież powiedziałaś, że daliśmy mu za dużo.
- Tylko odrobinę. Nie mogłam go powstrzymać. Był absolutnie niezadowolony.
- No to jak go powstrzymałaś?
- Nie twoja sprawa.
- Czy następnym razem przyda ci się szpilka do kapelusza?
- Dobry pomysł - odparła. - Ale wolałabym z niej nie korzystać, no i żeby dawka była w sam raz.
- Będzie w sam raz.
- Naprawdę wolałabym nie wbijać szpilek w pupę króla Hiszpanii, jeżeli rozumiesz, w czym rzecz.
- Ależ tak, tak.
- Lubię rozstawać się z ludźmi w przyjaźni.
- A z nim tak nie było?
- No, niezupełnie - odparła z uśmiechem.
- W każdym razie dobrze się spisałaś - powiedziałem. - Udało ci się.
- Był taki pocieszny - powiedziała. - Szkoda, że go nie widziałeś. Cały czas podskakiwał.

Wziąłem kartkę z podpisem Woresleya i włożyłem ją do maszyny do pisania. Usiadłem i ponad jego podpisem wystukałem następujące słowa:  
*Niniejszym zaświadczam, że dziś, 27 marca 1919 r., osobiście przekazałem pewną ilość mojej spermy panu Oswaldowi Corneliusowi, prezesowi Międzynarodowego Spichlerza Nasienia w Cambridge w Anglii. Życzę sobie, aby to nasienie było przechowywane w nieskończoność dzięki rewolucyjnej i nowo odkrytej Metodzie Woresleya, a ponadto zgadzam się, żeby rzeczony Oswald Cornelius wykorzystał w dowolnym czasie porcję tego nasienia do zapłodnienia wybranych pełnowartościowych kobiet w celu rozpowszechnienia mojego potomstwa na świecie ku pożytkowi przyszłych pokoleń.*

*Podpisano. A.R. Woresley*

*Wykładowca chemii Uniwersytet Cambridge*

Pokazałem to Yasmin.

- Treść tego oświadczenia na pewno nie odnosi się do Woresleya, bo jego sperma nie zostanie zamrożona - powiedziałem. - Ale pomijając to, co o tym sądzisz? Dobrze to będzie wyglądać opatrzone podpisami królów i geniuszy?

Przeczytała uważnie oświadczenie.

- Dobre - pochwaliła. - W zupełności wystarczy.

- Wygrałem zakład - powiedziałem. - Woresley musi skapitulować.

Usiadła, popijając dzin. Była odprężona i zdumiewająco spokojna.

- Mam dziwne przeczucie, że wszystko naprawdę się uda - odezwała się.

- Z początku zakrawało to na absurd. Ale teraz nie widzę przed nami żadnych przeszkód.

- Nic nam nie przeszkodzi - zapewniłem. - Będziesz wygrywała, ilekroć zdołasz dotrzeć do wybrańca i nakarmić go naszym proszkiem.
  - Jest naprawdę fantastyczny.
  - Przekonałem się o tym w Paryżu.
  - Nie boisz się, że tych bardzo wiekowych może on przyprawić o atak serca?
  - Ależ skąd - odparłem, chociaż sam się nad tym poważnie zastanawiałem.
  - Nie chcę zostawiać za sobą po świecie łąnu zwłok - powiedziała.
  - A już zwłaszcza zwłok wielkich, sławnych ludzi.
  - Nie zostawisz - pocieszyłem ją. - Bądź spokojna.
  - Weź na przykład Alexandra Grahama Bella - ciągnęła. - Twierdzisz, że ma teraz siedemdziesiąt dwa lata. Naprawdę sądzisz, że wytrzyma?
  - Oni są twardzi jak orzechy - odparłem. - To cecha wszystkich wielkich ludzi. Ale może będziesz spokojniejsza, jeżeli ci coś zaproponuję. Możemy dostosować dawkę do wieku. Im starsi, tym dostaną mniej.
  - Zgoda. To dobry pomysł - powiedziała.
- Wyszedłem z Yasmin i uraczyłem ją wspaniałą kolacją w „Siwym Dziku”. Zasłużyła na nią. Potem odwiozłem ją do Girton.

## 12.

Nazajutrz, z gumowym świństwem i podpisanym oświadczeniem w kieszeni, udałem się na poszukiwanie Woresleya. W budynku laboratoryjnym powiedziano mi, że dziś go jeszcze nie było. Pojechałem więc do jego domu i zadzwoniłem do drzwi. Otworzyła mi jego szpetna



siostra.

- Artur nie najlepiej się dziś czuje - powiedziała.

- A co się stało?

- Spadł z roweru.

- O mój Boże!

- Jechał do domu po ciemku i wpadł na słup.

- Tak mi przykro. Bardzo się poranił?

- Cały się potłukł - odparła.

- Mam nadzieję, że nic sobie nie złamał.

- No, w każdym razie nie kości - odparła uszczypliwym tonem. O mój Boże, pomyślałem. O moja Yasmin! Coś ty mu zrobiła!

- Proszę mu przekazać szczerze wyrazy współczucia - powiedziałem i odjechałem.

Następnego dnia bardzo osłabiony Woresley stawiał się w pracy.

Odczekałem, aż zostanie w laboratorium sam, a wtedy położyłem przed nim papier listowy Wydziału Chemii z oświadczeniem, które wypisałem na maszynie nad jego podpisem. Rzuciłem również na stół miliard jego własnych, martwych już plemników.

- Wygrałem nasz zakład - oznajmiłem.

Spojrzał na gumowe szkaradzieństwo. Przeczytał kartkę i rozpoznał swój podpis.

- Ty łobuzie! - wykrzyknął. - Ty oszuście!

- Pan napadł na kobietę.

- Kto to napisał?

- Ja.

Stał, przemyślując to sobie.

- Dobrze - powiedział. - Ale właściwie co się ze mną stało? Kompletnie straciłem głowę. Co pan zrobił, jak Boga kocham?

- Połknął pan podwójną dawkę *Cantharis vesicatoria sudanii* - wyjaśniłem.

- Mojego sudańskiego żuczka. To silny środek.

Wlepił we mnie wzrok, a jego mina wskazywała, że wszystko zaczyna pojmować.

- A więc to było to - rzekł. - Domyślam się, że w tej przeklętej czekoladce.

- Oczywiście. A skoro nawet pan to połknął, to połknie też król belgijski, książę Walii, pan Joseph Conrad i wszyscy pozostali.

Zaczął chodzić tam i z powrotem po laboratorium, aczkolwiek dość ostrożnie stawiając kroki.

- Mówiłem już panu, Corneliusie, że jest pan całkowicie pozbawiony skrupułów - rzekł.

- Jak najbardziej - odparłem z uśmiechem.

- Czy pan wie, co ta kobieta mi zrobiła?

- Nietrudno się domyślić.

- To jędza! To... wampirzyca! Potwora!

- Chyba jednak dosyć się panu podobała - powiedziałem, wskazując szkaradny przedmiot na stole laboratoryjnym.

- Odurzyła mnie!

- A pan ją zgwałcił! Zgwałcił ją pan jak zwierzę! To pan był potworny!

- Pod wpływem proszku z chrząszcza.

- Oczywiście - zgodziłem się. - Ale kiedy będą ją gwałcić Marcel Proust albo król Alfons Hiszpański, to czy będą wiedzieli, że zażyli proszek z żuczka?

Nie odpowiedział.

- Na pewno nie - ciągnąłem. - Mogą się zastanawiać, co, u diabła, ich napadło, tak jak pan. Ale nigdy się nie dowiedzą i w końcu złożą to na karb niesamowitej urody tego dziewczęcia. Wszyscy złożą to na karb jej urody. Mam rację?

- No... owszem.

- Podobnie jak pan, będą zakłopotani, że ją zgwałcili. Tak jak pan, będą bardzo skruszeni. Innymi słowy, nie sprawią nam żadnych kłopotów. Zwiejemy z podpisanymi kartkami oraz cenną spermą, i po sprawie.

- Pan jest szubrawcem pierwszej wody, Corneliusie. Skończonym łotrem.

- Wiem - odpowiedziałem, znów się uśmiechając.

Jednakże logika moich argumentów była nieodparta. Plan był taki, że mucha nie siada. W końcu zaczęło to docierać do Woresleya, który na pewno nie był głupcem. Zaczął się łamać.

- A co z tą dziewczyną? - spytał. - Co to za jedna?

- To trzeci członek naszego zespołu. Nasza oficjalna pokaźniczka.

- Istotnie, urodę ma kuszącą.

- Właśnie dlatego ją wybrałem.

- Będzie mi głupio znów ją spotkać, Corneliusie.

- Skądże znowu - odparłem. - To wspaniała dziewczyna. Na pewno bardzo ją pan polubi. Tak się składa, że ona pana polubiła.

- Bzdury. Z czego pan to wnosi?

- Powiedziała, że był pan bezwzględnie i zdecydowanie najlepszy. Że odtąd chce mieć tylko takich kochanków jak pan.

- Tak powiedziała? Naprawdę tak powiedziała?

- Słowo w słowo. Woresley rozpromienił się.

- Powiedziała, że przy panu reszta mężczyzn to eunuchy - dodałem, żeby go ostatecznie przekonać.

Twarz zapłonęła mu radością.

- Nie nabiera mnie pan, co, Corneliusie?

- Niech pan sam ją o to spyta, kiedy się spotkacie.

- No, no, no - rzekł rozanielony, muskając swoje okropne wąsy czubkami palców. - No, no, no - powtórzył. - A wolno spytać, jak się nazywa ta nadzwyczajna młoda osoba?

- Yasmin Howcomely. Jest półkrwi Iranką.

- A to ciekawe.

- Musiał pan być wspaniały - powiedziałem.

- Mam swoje wzloty, Corneliusie - odrzekł. - O, tak, nie da się zaprzeczyć - dodał, najwyraźniej zapominając o sudańskim chrząszczu. Całą zasługę pragnął przypisać wyłącznie sobie, a ja nie oponowałem.

- Nie może się doczekać następnego spotkania z panem - powiedziałem.

- Znakomicie - rzekł, zacierając ręce. - A więc mówi pan, że ona będzie członkinią naszej małej ekipy?

- Jak najbardziej. Odtąd będzie pan ją często widywał.

- To dobrze - powiedział. - To doskonale.

Tak oto A.R. Woresley przystąpił do naszej spółki. Bez najmniejszych problemów. Co więcej, dotrzymał słowa.

Zgodził się odłożyć publikację wyników swojego odkrycia.

Zgodził się udzielić Yasmin i mnie wszelkiej możliwej pomocy.

Zgodził się skonstruować dla nas przenośny pojemnik na ciekły azot, do zabierania w podróż.

Zgodził się dokładnie zaznajomić mnie z metodą rozcieńczania zebranego

nasienia i dzielenia go do „słomek” w celu zamrożenia.

Ja i Yasmin mieliśmy podróżować i zdobywać towar.

Natomiast Woresiey wprawdzie pozostawał na posterunku w Cambridge, ale w tym czasie miał za zadanie uruchomić w dogodnym, zakonspirowanym miejscu dużą centralną chłodnię - Spichlerz Nasienia.

Co jakiś czas podróżnicy, czyli Yasmin i ja, mieliśmy powracać z łupami i przenosić je z podróżnej walizkowej zamrażarki do owego Spichlerza.

Pokaźnego kapitału na sfinansowanie tego wszystkiego miałem dostarczyć ja. Pokrywać wszelkie koszty podróży, hotele itd., kiedy wraz z Yasmin będziemy w drodze. Poza tym przeznaczyć dla niej pokaźną sumę na zakup luksusowej odzieży.

Wszystko było jasne i proste.

Porzuciłem naukę na uniwersytecie i Yasmin również to zrobiła.

Znalazłem i nabyłem dom stojący niedaleko domu Woresleya. Był to zwyczajny budynek z czerwonej cegły, z czterema sypialniami i dwoma wcale pokaźnymi salonami. Jakiś emerytowany budowniczy Imperium Brytyjskiego wiele lat temu nazwał go ni mniej, ni więcej tylko „Wędrowną Twierdzą”. Właśnie owa Wędrowna Twierdza miała służyć jako lokal dla naszego Spichlerza. Tam mieliśmy mieszkać z Yasmin w czasie przygotowań i tam miało się mieścić konspiracyjne laboratorium Woresleya. Wydałem moc pieniędzy na wyposażenie go w aparaturę do produkcji ciekłego azotu, mieszarki, mikroskopy i wszystko co potrzeba. Umieblowałem ten dom. Wprowadziliśmy się do niego z Yasmin. Ale odtąd łączyła nas już tylko wspólnota interesów.

W ciągu miesiąca Woresley skonstruował dla nas przenośny pojemnik do ciekłego azotu. Miał on podwójne próżniowe ścianki z aluminium i najroz-

maitsze zgrabne małe szufladki do przechowywania maleńkich porcyjek spermy. Był wielkości dużej walizki, a co więcej, bardzo ją przypominał wyglądem, bo wierzch miał ze skóry.

Druga, mniejsza walizka zawierała przegródki na lód, ręczne mieszadło, butelki z gliceryną, żółtka i odtłuszczone mleko. Poza tym znajdował się w niej mikroskop do sprawdzania w terenie żywotności nowo pozyskanych plemników. Wszystko przygotowaliśmy z niezwykłą starannością.

Aż wreszcie Woresley przystąpił do budowy Spichlerza Nasienia w piwnicy naszego domu.

### 13.

Z początkiem czerwca 1919 roku byliśmy prawie gotowi do akcji. Mówię „prawie”, ponieważ nadal nie uzgodniliśmy listy kandydatów. Kogo z wielkich świata powinna zaszczyścić swą wizytą Yasmin oraz moja, trzymająca się drugiego planu, osoba? Nasza trójka wielokrotnie spotykała się w Wędrownej Twierdzy, żeby rozstrzygnąć ten zawily problem. Z królami nie było kłopotu. Chcieliśmy mieć wszystkich. Najpierw sporządziliśmy ich listę. Byli to:

Albert, król Belgii lat 45 ‘

Borys, król Bułgarii Christian, król Danii Aleksander, król Grecji Wiktor Emanuel, król Włoch Haakon, król Norwegii Ferdynand, król Rumunii Alfons, król Hiszpanii Gustaw, król Szwecji Piotr, król Jugosławii

25 49 23 50 47 54 33 61 75

Holandia nie wchodziła w grę, ponieważ rządziła nią królowa. Portugalia

odpadła, bo rewolucja z roku 1910 obaliła w tym kraju monarchię, a Monako nie warte było zachodu. Pozostawał jeszcze nasz własny król, Jerzy Piąty. Po burzliwej dyskusji postanowiliśmy jednak go wyłączyć. Znajdował się za blisko naszego własnego podwórka, żebyśmy mogli czuć się całkowicie bezpieczni, a poza tym, jak się Państwo za chwilę przekonają, zamierzałem wykorzystać tego dżentelmena w całkiem inny sposób. Zdecydowaliśmy się jednak wpisać na naszą listę Edwarda, księcia Walii, jako dodatkowego kandydata. Yasmin za pomocą proszku z chrząszczy rzuciłaby go sobie do stóp w dowolnej chwili. Co więcej, nie mogła się tego doczekać.

Trudniej było ustalić listę wielkich ludzi i geniuszy. Kilku kandydatów, jak Puccini, Joseph Conrad, Ryszard Strauss, nie podlegało dyskusji. Podobnie Renoir i Monet, dwóch wiekowych malarzy, którym niewątpliwie już wkrótce należało złożyć wizytę. Ale sprawa nie była taka prosta. Musieliśmy się zdecydować, którzy ze współcześnie żyjących (był rok 1919) wielkich i sławnych mężczyzn zachowają wielkość i sławę po upływie dziesięciu, dwudziestu, a nawet pięćdziesięciu lat.

Jeszcze więcej trudności mieliśmy z młodszymi wiekiem, cieszącymi się w tej chwili tylko umiarkowaną sławą, ale rokującymi nadzieję, że w przyszłości staną się wielcy i sławni. Ta strona przedsięwzięcia była kwestią szczęścia. Także kwestią dobrego nosa i trafnego osądu. Na przykład, czy młody James Joyce, mający podówczas trzydzieści siedem lat, zostanie uznany za geniusza przez przyszłe pokolenia? Ja głosowałem, że tak. Tak samo Woresley. Yasmin w ogóle o nim nie słyszała. Stosunkiem głosów dwa do jednego zdecydowaliśmy o wpisaniu go na listę.

W końcu postanowiliśmy sporządzić dwie oddzielne listy kandydatów. Ci z pierwszej mieli absolutne pierwszeństwo. Na drugiej figurowali dawcy ewentualni. Do tych drugich mieliśmy dotrzeć dopiero po załatwieniu kandydatów mających pierwszeństwo. Uwzględniliśmy także kwestię wieku. Starsi powinni być w miarę możliwości załatwieni najpierw, bo przecież mogli wyzionąć ducha, zanim ich odwiedzimy.

Zgodziliśmy się też, że listy te powinny być co roku odnawiane, aby uwzględniały nowych kandydatów, którzy nagle zdobędą rozgłos.

Nasza lista osób mających bezwzględne pierwszeństwo, zestawiona w czerwcu 1919 roku, wyglądała - w porządku alfabetycznym - następująco:

Alexander Graham Bell lat 72

Pierre Bonnard „ 52

Winston Churchill „ 45

Joseph Conrad „ 62

Arthur Conan Doyle „ 60

Albert Einstein „ 40

Henry Ford „ 56

Zygmunt Freud „ 63

Rudyard Kipling „ 54

David Herbert Lawrence „ 34

Tomasz Mann „ 45

Guglielmo Marconi „ 45

Henri Matisse „ 50

Claude Monet „ 79

Edvard Munch „ 56



Marcel Proust „ 48  
Giacomo Puccini „ 61  
Siergiej Rachmaninow „ 46  
Auguste Renoir „ 78  
George Bernard Shaw „ 63  
Jean Sibelius „ 54  
Ryszard Strauss „ 55  
Igor Strawiński „ 37  
William Butler Yeats „ 54

A oto nasza druga lista, obejmująca nieco młodszych, całkiem dobrze zapowiadających się kandydatów, jak również kilka przypadków marginalnych.

Roald Amundsen lat 47  
Georges Braque „ 37  
Enrico Caruso „ 46  
Pablo Casals „ 43  
Georges Clemenceau „ 79  
Frederic Delius „ 57  
Marszałek Ferdinand Foch „ 68  
Mohandas Gandhi „ 50  
Generał Douglas Haig ‘ „ 58  
James Joyce „ „ 37  
Wassily Kandinsky „ 53  
David Lloyd George „ 56

Wacław Niżyński „ 27  
Generał John J. Pershing „ 59  
Pablo Picasso „ 38  
Maurice Ravel „ 44  
Bertrand Russell „ 47  
Arnold Schönberg „ 45  
Rabindranath Tagore „ 58  
Rudolph Valentino „ 24  
Woodrow Wilson „ 63

Oczywiście listy te zawierały pomyłki i były niepełne. Najtrudniej jest bowiem rozpoznać prawdziwego i trwałego geniusza za jego życia. Pięćdziesiąt lat po jego śmierci jest z tym znacznie łatwiej. Ale z umarłych nie mieliśmy żadnego pożytku. I jeszcze jedno: Rudolpha Valentino wstawiliśmy nie dlatego, że mieliśmy go za geniusza. Była to decyzja czysto handlowa. Przypuszczaliśmy, że sperma człowieka, który posiada tak ogromną rzeszę fanatycznych wielbicielek, może również świetnie się sprzedawać w przyszłości. Nie uważaliśmy także za geniuszy Woodrowa Wilsona czy Carusa. Cieszyli się oni jednak światową sławą, a to musieliśmy brać pod uwagę.

Najpierw należało załatwić sprawy w Europie. Długa podróż do Ameryki musiała poczekać. Tak więc na ścianie w salonie rozpostarliśmy wielką mapę Europy i powbijaliśmy w nią malutkie chorągiewki. Każda dokładnie wskazywała, gdzie obecnie przebywa dany kandydat. Czerwonymi oznaczeni byli mający absolutne pierwszeństwo, żółtymi druga grupa, a na każdej widniało nazwisko i adres. Dzięki temu ja i

Yasmin mogliśmy rozplanować sobie wizyty pod względem geograficznym, rejon po rejonie, zamiast pędzić z jednego krańca kontynentu na drugi i z powrotem. Najwięcej chorągiewek było we Francji, a okolice Paryża dosłownie nimi zatłoczone.

- Jaka szkoda, że Degas i Rodin zmarli dwa lata temu - powiedziałem.

- Najpierw chcę załatwić królów - oświadczyła Yasmin. Siedzieliśmy we trójkę w salonie Wędrowniej Twierdzy, omawiając kolejne posunięcia.

- Dlaczego królów?

- Ponieważ mam straszliwą ochotę być gwałcona przez monarchów

- odparła.

- Jesteś niepoważna - skarcił ją Woresley.

- A dlaczego nie miałabym wybierać - odparła. - To ja wykonuję czarną robotę, a nie ty. Najpierw chciałabym zaliczyć króla Hiszpanii. Potem możemy skoczyć do Włoch i zaliczyć Wiktora Emanuela, a stamtąd do Jugosławii, Grecji i tak dalej. Obskoczmy wszystkich w dwa tygodnie.

- Wolno spytać, jak zamierzasz dostać się do tych pałaców? - spytał mnie Woresley.-Przecież Yasmin nie zapuka po prostu do bramy, licząc, że zostanie przyjęta przez króla. Pamiętaj też, że musi się z nim spotkać w cztery oczy, bo inaczej wszystko na nic.

- Z tym nie powinno być większych trudności - odparłem.

- Nie wydaje się to możliwe - rzekł Woresley. - Chyba będziemy zmuszeni zrezygnować z królów.

Rozgryzałem ten problem przez kilka tygodni i znalazłem rozwiązanie.

- To dziecinnie łatwe - powiedziałem. - Jako przynęty użyjemy Jerzego Piątego. To on otworzy jej drogę do pałaców.

- Nie pleć głupstw, Corneliusie!

Podszedłem do szuflady i wyjąłem kilka kartek papieru listowego.

- Założmy, że w pierwszej kolejności chcesz załatwić króla Hiszpanii

- powiedziałem, przerzucając kartki. - O, jest. „Mój drogi Alfonsie...”

Wręczyłem kartkę Woresleyowi. Yasmin wstała z krzesła, żeby spojrzeć mu przez ramię.

- A cóż to jest, na miły Bóg?! - zawołał.

- Ściśle prywatny list króla Jerzego Piątego do króla Hiszpanii Alfonsa

- odparłem.

Tak też w istocie było.

Pośrodku, u góry papieru listowego widniał zdobny czerwony królewski herb, a po prawej stronie jednoznaczny napis PAŁAC BUCKINGHAM. LONDYN. Poniżej, godziwie naśladowując pismo króla, napisałem:

*Mój drogi Alfonsie!*

*Piszę, aby przedstawić Ci moją drogą przyjaciółkę, lady Victorie Nottingham. Podróżuje ona samotnie do Madrytu, żeby wyjaśnić sprawę majątku, który odziedziczyła po swojej hiszpańskiej babce ze strony matki.*

*Proszę Cię o krótkie, acz ściśle poufne spotkanie z lady Victoria. Ma z Twoimi władzami pewne kłopoty związane z objęciem spadku i jestem pewien, że jeśli wyjaśni Ci sprawę, a Ty napomkniesz o tym komu trzeba, to ona gładko ją załatwi. Wyznam Ci w największym zaufaniu, że z Lady Victoria łączą mnie bardzo zażyłe stosunki. Ani słowa więcej, to Ci powinno wystarczyć. Jestem jednak przekonany, że wiadomość tę zachowasz wyłącznie dla siebie.*

*Kiedy otrzymasz ten list, pani, o której mowa, będzie mieszkać w hotelu Ritz w Madrycie. Zechciej, proszę Jak najszybciej przesiać jej wiadomość,*

*że zgadzasz się na prywatną audiencję.*

*Spal ten list po przeczytaniu i nie odpisuj mi.*

*Jestem zawsze do Twoich usług.*

*Z najserdeczniejszymi osobistymi pozdrowieniami,*

*Jerzy Piąty, Król Anglii.*

Oboje, Woresley i Yasmin, wytrzeszczyli na mnie oczy.

- Skąd wzięłeś ten papier listowy? - spytał Woresley.

- Kazałem wydrukować.

- Sam to napisałeś?

- Tak, i jestem z tego dumny. To bardzo przyzwoita imitacja królewskiego pisma. A podpis jest prawie idealny. Ćwiczyłem go przez wiele dni.

- Oskarżą cię o fałszerstwo! Poślą do więzienia!

- Wcale nie - odparłem. - Alfons nie ośmieli się pisnąć słówka. Nie widzicie, jaki wspaniały jest ten plan? Nasz wielki i szlachetny król daje do zrozumienia, że ma potajemny romans z Yasmin. A to, drogi panie, jest bardzo poufny i niebezpieczny temat. Nie zapominaj też, że europejscy monarchowie tworzą najściślej powiązany wewnętrznie i najekskluzywniejszy klub na świecie. Współdziałają ze sobą. To całe towarzystwo jest w jakiś pomyłony sposób spokrewnione. Są splątani jeden z drugim jak spaghetti. Nie, mowy nie ma, żeby Alfons zawiódł króla Anglii. Przyjmie Yasmin natychmiast. Wprost będzie się palił, by ją poznać. Zechce dobrze się przyjrzeć kobiecie, która jest potajemną kochanką Jureczka. A pamiętaj, że w tej chwili nasz król jest najbardziej poważanym z monarchów. Właśnie wygrał wojnę.

- Śmiertelnie mnie przerażasz, Corneliusie - rzekł Woresley. - Przez ciebie wszyscy trafimy za kratki.

- A ja myślę, że plan jest wspaniały - poparła mnie Yasmin. - Wyśmienity. Uda się.

- A co, jeśli tę kopertę otworzy jakiś sekretarz? - spytał Woresley.

- Nie otworzy - odparłem.

Wyjąłem z szuflady plik kopert, odnalazłem właściwą i podałem mu ją. Była długa, biała, ekskluzywna, z czerwonym herbem królewskim w lewym górnym rogu i napisem PAŁAC BUCKINGHAM w górnym prawym. Królewskim charakterem pisma było na niej napisane:

*Jego Wysokość Król Alfons XIII. Osobiste i poufne. Do rąk własnych J.K.M.*

- Powinno wystarczyć - powiedziałem. - Sam doręcę tę kopertę do pałacu Oriente w Madrycie.

Woresley otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale je zamknął.

- Mniej więcej takie same listy mam dla pozostałych dziewięciu władców - ciągnąłem. - Są w nich oczywiście drobne zmiany. Treść każdego jest dostosowana do adresata. Na przykład król Norwegii Haakon jest mężem siostry króla Jerzego, Maud - założę się, że o tym nie wiedziałeś - i dlatego zakończenie listu brzmi: „Pozdrów ode mnie Maud, ale ufam ci całkowicie, że nie wspomnisz jej o tej prywatnej małej sprawie”. I tak dalej, i tak dalej. Ten plan jest niezawodny, drogi Arturze.

Zwracałem się już do niego po imieniu.

- Widzę, Corneliusie, że dobrze się przygotowałeś - rzekł. Tak jak wszyscy profesorowie i nauczyciele, wzbraniał się zwracać do mnie po imieniu.

- Ale jak zamierzasz dostać się do tych wszystkich niekrólów?

- Z tym nie będzie problemu - zapewniłem. - Niewielu mężczyzn odmówi spotkania z dziewczyną taką jak Yasmin, kiedy zapuka do ich drzwi. Ty w

każdym razie nie odmówiłeś. Założę się, że zacząłeś się ślinić z podniecenia, kiedy tylko weszła do laboratorium.

Zamilkł.

- No to co, możemy załatwić najpierw króla Hiszpanii? - spytała Yasmin.

- Ma dopiero trzydzieści cztery lata, a sądząc z fotografii, jest całkiem atrakcyjny.

- Doskonale - zgodziłem się. - Pierwszy przystanek - Madryt. Ale potem jedziemy do Francji. Renoir i Monet mają absolutne pierwszeństwo. Jeden ma siedemdziesiąt osiem, a drugi siedemdziesiąt dziewięć lat. Chcę ich dostać póki czas.

- Jeżeli ci staruszkowie łykną za dużo proszku z sudańskiego żuka, dostaną ataku serca - powiedziała Yasmin.

- Zmniejszymy dawkę - odrzekłem.

- Posłuchaj, Corneliusie - odezwał się Woresley. - Do morderstwa Renoira i Moneta nie przyłożę ręki. Nie chcę jej splamić ich krwią.

- Za to przyłożysz ją do mnóstwa cennego nasienia, tylko tyle - odparłem.

- Resztę zostaw nam.

## 14.

Scena była przygotowana. Yasmin i ja spakowaliśmy bagaże i wyjechaliśmy do Madrytu. Wieźliśmy ze sobą nieodzowną walizkę z płynnym azotem, mniejszą z gliceryną i tym podobnymi akcesoriami, zapas najlepszych czekoladowych truflii firmy Prestat i cztery uncje proszku z sudańskich chrząszczy. Jeszcze raz przypominam, że w owych

czasach kontrola bagażu przez celników praktycznie nie istniała. Przepłynęliśmy kanał i przez Paryż pojechaliśmy do Madrytu sypialnym. Podróż zajęła nam w sumie dziewiętnaście godzin. W Madrycie wpisaliśmy się do księgi gości hotelu Ritz, gdzie telegraficznie zamówiliśmy oddzielne pokoje, jeden dla W.P. Corneliusa, a drugi dla lady Victorii Nottingham.

Nazajutrz pojechałem do pałacu Oriente, gdzie przy bramie zatrzymało mnie dwóch żołnierzy na warcie. Wymachując kopertą i wołając po hiszpańsku: „To dla króla!” dotarłem do okazałego głównego wejścia do pałacu. Pociągnąłem za dzwonek. Drzwi otworzył mi lokaj. Wypowiedziałem wyuczone na pamięć zdania, które brzmiały: „To list do jego Wysokości od króla Wielkiej Brytanii Jerzego. Bardzo pilny” i odszedłem.

Wróciwszy do hotelu zabrałem się do czytania jakiejś książki w pokoju Yasmin, czekając na rozwój wypadków.

- A co będzie, jeżeli nie ma go w Madrycie? - spytała.

- Jest - odparłem. - Nad pałacem powiewa flaga.

- No a jeśli nie odpowie?

- Odpowie. Kiedy przeczyta list na takim papierze, nie ośmieli się nie odpowiedzieć.

- Ale czy on czyta po angielsku?

- Wszyscy królowie czytają - powiedziałem. - To należy do ich wykształcenia. Alfons świetnie mówi po angielsku.

Tuż przed lunchem zapukano do drzwi. Otworzyła je Yasmin. W progu stał z ważną miną sam dyrektor hotelu. W rękę trzymał srebrną tacę, na której leżała koperta.



- Pilna wiadomość, jaśnie pani - rzekł z ukłonem. Yasmin wzięła kopertę, „podziękowała mu i zamknęła drzwi.

- Rozerwij ją - poleciłem.

Rozerwała kopertę i wyjęła list napisany na wspaniałym pałacowym papierze listowym. Brzmiał on następująco:

*Moja droga Lady Victorio. Z przyjemnością spotkamy się z panią dziś po południu o czwartej. Jeśli poda pani u wejścia swoje nazwisko, zostanie pani bezzwłocznie wpuszczona.*

*Król Alfons*

- Proste, co? - spytałem.

- Dlaczego on pisze „my”?

- Wszyscy monarchowie mówią o sobie „my”. Masz trzy godziny na przygotowanie się i stawienie w pałacu - powiedziałem. - Przyrządzimy czekoladkę.

Nabyłem w firmie Prestat pewną liczbę malutkich, eleganckich bombonierek, w których mieściło się najwyżej sześć truflí. Jedną z tych bombonierek Yasmin miała wręczyć królowi jako drobny upominek. Plan zakładał, że powie mu: „Przyniosłam Waszej Wysokości mały prezencik w postaci czekoladek. Są pyszne, Jerzy zamówił je specjalnie dla mnie”, po czym otworzy bombonierkę i doda z rozbajającym uśmiechem: „Pozwoli Wasza Wysokość, że jedną ukradnę? Po prostu nie mogę się powstrzymać”. Włoży truflę do ust, a potem weźmie oznaczoną czekoladkę i delikatnie trzymając ją między kciukiem i palcem wskazującym wyciągnie ją w kierunku króla ze słowami.” „Proszę skosztować”. Biedaczek będzie oczarowany. Zje czekoladkę, tak jak Woresley w laboratorium. I gotowe. Potem Yasmin przez dziewięć minut

będzie paplać zalotnie o wszystkim i o niczym, w ogóle nie podejmując tematu skomplikowanego powodu swojej wizyty.

Wyjąłem proszek z chrząszczy i przygotowałem nieodzowną trufkę.

- Tym razem bez podwójnych dawek - ostrzegła Yasmin. - Nie chcę korzystać ze szpilki do kapelusza.

Zgodziłem się z nią. Sama oznaczyła powierzchnię trufli dla króla cieniutkimi rysami.

Był czerwiec i w Madrycie panował wielki upał. Yasmin ubrała się bardzo  
**I**

starannie, lecz włożyła jak najcieńszą sukienkę. Dałem jej gumowe szkaradzień-stwo z moich bogatych zapasów, a ona schowała je do torebki.

- Tylko, na miłość boską, nie zapomnij mu tego założyć - powiedziałem.

- To najważniejsze. A po wszystkim prędko z tym wracaj. Przyjdź prosto do mojego pokoju obok.

Życzyłem jej powodzenia.

W swoim pokoju przygotowałem pieczołowicie cały sprzęt, aby był gotów do obróbki plemników zaraz po ich dostarczeniu. Był to mój debiut w prawdziwie polowych warunkach i chciałem, żeby wszystko się udało. Przyznaję, że się denerwowałem. Yasmin była w pałacu. Częstowała sudańskim chrząszczem króla Hiszpanii, no a potem czekała ją walka zapaśnicza, mnie zaś pozostało jedynie mieć nadzieję, że załatwi sprawę jak należy.

Czas płynął wolno. Zakończyłem przygotowania. Wychyliłem się z okna i przyglądałem pojazdom w dole. Raz czy dwa przejechał automobil, ale nie było ich tu tyle co w Londynie. Spojrzałem na zegarek. Było po szóstej.

Nalałem sobie whisky z wodą sodową. Podeszedłem do otwartego okna i tam ją wypilem, liczyłem, że ujrzę Yasmin wysiadającą z powozu przed wejściem do hotelu. Nie zobaczyłem jej. Nalałem sobie drugą porcję whisky. Usiadłem i próbowałem czytać książkę. Zrobiło się wpół do siódmej. Nagle ktoś głośno zapukał do drzwi. Wstałem i otworzyłem je. Do pokoju wbiegła zarumieniona Yasmin.

- Udało mi się! - zawołała, wymachując torebką jak chorągiewką.

- Mam to! Jest tutaj!

- Daj mi prędko - powiedziałem.

W zawiązanej na supeł gumie, którą mi wręczyła, było co najmniej trzy centymetry sześciennych plemników. Włożyłem jedną kroplę pod mikroskop, żeby zbadać ich żywotność. Malutki królewscy wierciccy miotali się jak szaleni, zdradzając najwyższą aktywność.

- Towar pierwsza klasa - powiedziałem. - Pozwól, że zanim zaczniesz mówić, włożę go do „słomek” i zamrozę. Potem opowiesz mi dokładnie, co się działo.

Yasmin poszła do swojego pokoju wykąpać się i przebrać. Zabrałem się do dzieła. Z Woresleyem uzgodniłem, że będziemy dzielić spermę jednej osoby na równe pięćdziesiąt porcji. Większa ilość zajęłaby zbyt dużo miejsca w naszym podróżnym zamrażalniku. Przystąpiłem do rozpuszczenia zdobyczej spermy w żółtku, odtłuszczonym mleku i glicerynie. Zmieszałem razem te składniki. Pipetką z podziałką rozdzieliłem masę do małych gumowych „słomek”. Zapieczętowałem je i na pół godziny włożyłem do lodu, a potem przez kilka minut trzymałem w parze azotowej. Wreszcie zanurzyłem je ostrożnie w ciekłym azocie i zamknąłem pojemnik. Dzieło było zakończone. Mieliśmy pięćdziesiąt

porcji nasienia króla Hiszpanii, i to silnych. Bilans był prosty. Alfons sprezentował nam trzy centymetry sześciennego płynu. Te trzy centymetry zawierały w przybliżeniu trzy miliardy plemników, które podzielone na pięćdziesiąt porcji dawały wynik - sześćdziesiąt milionów na porcję. Przekraczało to trzykrotnie optymalną dawkę ustaloną przez Woresleya. Innymi słowy,

„słomki” hiszpańskiego monarchy były nadzwyczaj mocne. Byłem w siódmym niebie. Wezwałem dzwonkiem służbę hotelową i zamówiłem butelkę Kruga z lodu.

Yasmin zjawiała się spokojna i czysta. Równocześnie przyniesiono szampana. Oczekaliśmy, aż kelner otworzy butelkę, napełni kieliszki i opuści pokój.

- A teraz opowiedz mi wszystko - powiedziałem.

- To było nadzwyczajne - zaczęła Yasmin. - Wstępna rozmowa przebiegła tak, jak przewidziałeś. Wprowadzono mnie do olbrzymiej sali z obrazami Goi i El Greca na wszystkich ścianach. Król siedział na drugim jej końcu, przy wielkim biurku. Był ubrany w zwykły garnitur. Wstał i wyszedł mi na spotkanie. Dość przystojny, niski, z wąsikami. Pocałował mnie w rękę. Mój Boże, Oswaldzie, żebyś ty widział, jak on mi nadskakiwał, bo myślał, że jestem kochanką króla Anglii.

- Madame - powiedział - jestem zachwycony mogąc panią poznać. Jak się miewa nasz wspólny znajomy?

- Trochę doskwiera mu podagra, ale poza tym ma się wspaniale - odparłam.

A potem zabrałam się do sztuczki z czekoladkami, no i zjadł małą trufkę jak baranek, i to z wielkim smakiem.

- Wspaniała - powiedział, gryząc ją. - Muszę zlecić mojemu ambasadorowi, żeby przysłał mi kilka funtów. - Kiedy połknął ostatni kawałek trufla, zapamiętałam godzinę na moim zegarku. - Proszę łaskawie usiąść - powiedział.

W sali stały cztery duże kanapy i zanim usiadłam na dobre, dokładnie je wypróbowałam. Chciałam wybrać najbardziej miękką i najpraktyczniejszą z nich. Wiedziałam, że za dziewięć minut stanie się ona polem bitwy.

- Bardzo przezornie - pochwaliłem ją.

- Wybrałam ogromny szeszlony pokryty śliwkowym aksamitem. Król nie usiadł i podczas naszej rozmowy chodził po sali z rękami założonymi z tyłu, starając się wyglądać po królewsku.

- Nasz wspólny znajomy - powiedziałam mu - prosił mnie o przekazanie, że gdyby Wasza Wysokość potrzebował jakiegokolwiek dyskretnej pomocy, to może na nią całkowicie liczyć.

- Będę o tym pamiętał - odpowiedział na to.

- Prosił też o przekazanie Waszej Wysokości jeszcze jednej wiadomości.

- Jakiej?

- A czy Wasza Wysokość przyrzeknie, że nie pogniewa się, jeżeli to wyjawię?

- Ależ nie, madame. Proszę mi zdradzić, co jeszcze powiedział?

- Powiedział: ostrzeż tego przystojniaka Alfonsa, żeby trzymał ręce z daleka od mojej dziewczyny. Cytuję dokładnie jego słowa, Wasza Wysokość.

Niski Alfons zaśmiał się, klasnął w dłonie i odparł na to:

- Droga pani, uszanuję jego życzenie, aczkolwiek z największym trudem.

- Sprytna z ciebie diablica, Yasmin - powiedziałem.

- Miałam pyszny ubaw! - odparła. - Z rozkoszą okręcałam go sobie wokół palca. Strasznie ciekawił go mój tak zwany romans, ale nie ośmielił się o nim wspomnieć. Wciąż tylko naprowadzał mnie na to pytaniami.

- Wnioskuje, że ma pani dom w Londynie? - spytał.

- Naturalnie - odparłam. - Mam swój londyński dom, gdzie prowadzę zwykłe życie towarzyskie. Poza tym małe, całkiem ustronne domki w Wielkim Parku Windsorskim, gdzie odwiedza mnie pewna osoba, kiedy odbywa konne przejażdżki. Mam ponadto wiejski domek w majątku Sandringham, gdzie ta pewna osoba wpada na podwieczorek, kiedy poluje na bażanty. Jak zapewne Wasza Wysokość wie, uwielbia ona polowania.

- Wiem o tym - odparł Alfons. - Słyszałem również, że to najlepszy strzelec w Anglii.

- Tak, i to nie pod jednym względem - powiedziałam.

- Ha! - na to on. - Widzę, że z pani figlarka.

- Kontrolowałaś czas? - spytał Yasmin.

- Jasne, że tak. Nie pamiętam, co dokładnie mówił, kiedy go chwyciło, ale ciekawe, że замуrowało go zniemacka w połowie zdania, zupełnie tak jak naszego Woresleya w laboratorium. Zaczyna się, powiedziałam sobie. Czas włożyć rękawice bokserskie.

- Skoczył na ciebie?

- Nie, nie skoczył. Nie zapominaj, że Woresley łyknął podwójną dawkę.

- A, owszem.

- W każdym razie, kiedy zamarł, stał właśnie przede mną. Miał obcisłe spodnie i świetnie widziałam, co się w nich dzieje. W tej samej chwili powiedziałam mu, że zbieram autografy wielkich ludzi, i spytałam, czy mógłby ofiarować mi swój podpis na pałacowym papierze listowym.

Wstałam, podeszłam do biurka, znalazłam papier i wskazałam miejsce, gdzie ma podpisać. To było śmiesznie łatwe. Biedaczek ledwo zdawał sobie sprawę, co robi. Podpisał, a ja schowałam papier do torebki i usiadłam. Wiesz, Oswaldzie, jeżeli zaskoczy się ich w chwili, kiedy proszek zaczyna działać, to można z nimi zrobić co się chce. Są tak zażenowani i zaskoczeni jego nagłym działaniem, że zrobią dosłownie wszystko. Nie będzie żadnych kłopotów z uzyskiwaniem ich podpisów. No więc siedzę znów na tym szezlongu, a król Alfons stoi, pożera mnie wzrokiem, łyka ślinę i grdyka lata mu jak jojo. Poczerwieniał na twarzy, zaczyna ciężko dyszeć.

- Proszę usiąść przy mnie, Wasza Wysokość - mówię mu, klepiąc szezlong. Podchodzi, siada. Łykanie śliny, wytrzeszcz oczu i niepokój trwają może minutę i widzę, że go porządnie chwyciło, że wzbiera w nim niczym nieposkromiona chuć. Całkiem jak para gromadząca się w kotle i nie znajdująca z niego innego ujścia jak tylko przez zawór bezpieczeństwa. A tymczasem ten zawór to ja, niebożątka. Jeżeli nie skorzysta z tego niebożątka, wybuchnie.

- Życzę sobie, żeby pani się rozebrała, madame - odzywa się nagle zduszonym i sztucznym tonem.

- Och, Wasza Wysokość! - wołam, kładąc sobie dłonie na piersiach. - Co też pan mówi!

- Proszę się rozebrać - powiada, przełykając ślinę.

- Jeżeli to zrobię, Wasza Wysokość mnie zgwałci.

- Proszę, niech pani nie każe mi czekać - mówi i znowu przełyka ślinę.

- Jeżeli Wasza Wysokość mnie zgwałci, zajdę w ciążę i nasz wspólny znajomy zorientuje się, że między nami coś było. Tak się rozgniewa, że

wyśle okręty wojenne, żeby ostrzelały pańskie miasta.

- Powie mu pani, że to on jest sprawcą ciąży. Proszę pani, nie mogę już dłużej czekać!

- Zorientuje się, że to nie on, Wasza Wysokość, bo my zawsze stosujemy środki ostrożności.

- No to proszę zastosować środek ostrożności, natychmiast! - polecił mi szorstko. - I proszę mi się nie sprzeciwiać, madame!

- Wspaniale to rozegrałaś - pochwaliłem Yasmin. - A więc założyłaś mu to.

- Bez kłopotu - odparła. - Z łatwością. Z Woresleyem stoczyłam najstraszliwszą walkę, a tym razem było to równie łatwe jak włożenie czapki na głowę.

- I co potem?

- Bardzo dziwni są ci monarchowie - powiedziała. - Znają sztuczki, o których nam, zwykłym śmiertelnikom, nawet się nie śniło.

- Jakie, na przykład?

- No, choćby to, że się nie ruszał. Jest chyba taka teoria głosząca, że królowie nie powinni zajmować się pracą fizyczną.

- A więc całą robotę zwałił na ciebie.

- Mnie również nie pozwolił się ruszać.

- Nie pleć głupstw, Yasmin. Nie można kopulować w bezruchu.

- Królowie to potrafią - odrzekła. - Poczekaj, aż usłyszysz. Nie uwierzysz mi. Po prostu nie uwierzysz, że coś takiego jest możliwe.

- Co takiego? - spytałem.

- Wspomniałam ci już, że wybrałam szezlong obity fioletowym aksamitem.

- No więc okazało się, że wybrałam najwłaściwszy mebel. Tę przeklętą



kanapę zbudowano specjalnie dla króla do uprawiania miłosnych igraszek. Pierwszy raz przeżyłam coś tak niezwykłego. Pod spodem coś było, diabli wiedzą co, pewnie jakiś mechanizm, bo kiedy Alfons pociągnął za dźwignię, cały szezlong zaczął podskakiwać.

- Nabierasz mnie.

- Wcale nie nabieram! - zawołała. - Nie mogłabym tego wymyślić, nawet gdybym chciała, świetnie o tym wiesz.

- Serio mówisz, że w tej kanapie był jakiś mechanizm? Widziałaś go?

- Jasne, że nie widziałam. Ale słyszałam na pewno. Zgrzytał najokropniej w świecie.

- Był na benzynę?

- Nie, nie na benzynę.

- No to jaki?

- Zegarowy.

- Zegarowy?! Niemożliwe! Skąd wiesz, że zegarowy?

- Bo kiedy kanapa zaczęła się uspokajać, król odturlał się na bok i nakręcił go ponownie korbą.

- Nie wierzę jednemu słowu - powiedziałem. - Jaką korbą?

- Dużą korbą, taką jak do zapalania samochodu - odparła. - A kiedy nią kręcił, słychać było takie klekotanie. Po tym poznałam, że to mechanizm zegarowy. Zawsze tak klekocze, kiedy nakręcasz zegar.

- Chryste! I tak ci nie wierzę.

- Niewiele wiesz o królach - powiedziała Yasmin. - Królowie są inni. Bardzo się nudzą, więc wciąż starają się wymyślać sobie jakieś rozrywki. Weź na przykład tego szalonego króla Bawarii, który we wszystkich krzesłach przy stole w jadalni kazał wyborować dziury. Zaś w trakcie

obiadu, kiedy wszyscy goście siedzieli w swoich wspaniałych kosztownych szatach, potrafił odkręcić ukryty kran i przez te dziury tryskały strugi wody. Bardzo silne strugi zimnej wody prosto w ich siedzenia. Królowie to wariaci.

- Powiedz coś jeszcze o tej zegarowej kanapie - poprosiłem. - Była niezwykła i wspaniała?

Yasmin łyknęła szampana i nie odpowiedziała od razu.

- Było na niej nazwisko rzemieślnika? - spytałem. - Gdzie mogę taką kupić?

- Ja bym jej nie kupiła - odparła.

- Dlaczego?

- Nie warto. To tylko zabawka. Zabawka dla niemądrych królów. Wywołuje szok, nic poza tym. Kiedy zaczęła podskakiwać, przeraziłam się jak nigdy.

- Ej! - zawołałam. - A to co, do diabła?!

- Cicho! - powiedział. - Rozmowa zabroniona!

Pod tą przeklętą kanapą, która okropnie się trzęsła, coś groźnie furkotało. A przy tym podskakiwała. Słowo daje, Oswaldzie, przypominało to jazdę na koniu po pokładzie statku, który płynie po wzburzonym morzu. Mój Boże, pomyślałam, zwymiotuję. Ale nie zwymiotowałam i kiedy nakręcił ten mechanizm po raz drugi, zaczęłam się z tym oswajać. Wiesz, to naprawdę przypominało jazdę na koniu. Wystarczy się dostosować. Złapać odpowiedni rytm.

- A więc zaczęło ci się to podobać?

- Tego bym nie powiedziała. Ale na pewno ma swoje zalety. Na przykład, wcale się nie męczysz. Wspaniała rzecz dla starszych wiekiem.

- Alfons ma zaledwie trzydzieści trzy lata.
- Alfons to wariat - oznajmiła Yasmin. - Kiedy któryś tam już raz nakręcał ten mechanizm, powiedział, że zwykle robi to służba. Cholera, pomyślałam sobie, ten głupi bałwan ma dokładnego hysia.
- Jak mu uciekłaś?
- Nie było to łatwe - odparła. - Sam rozumiesz, ponieważ nie robił nic poza nakręcaniem co jakiś czas tej kanapy, ani trochę się nie zmęczył. Po mniej więcej godzinie miałam tego dość.
- Wyłącz - powiedziałam. - Dość tego.
- Będziemy to robić, dopóki nie wydam rozkazu - on na to.
- Nie bądź taki - mówię. - No, koniec z tym.
- Tutaj rozkazuję tylko ja - powiada. Trudno, pomyślałam. Trzeba będzie użyć szpilki.
- Użyłaś jej? Naprawdę go ukłułaś? - spytałem.
- A co ty myślisz! - odparła. - Weszła na pięć centymetrów. ,
- I co?
- Omal nie zderzył się z sufitem. Pisnął przeraźliwie i zwałił się na podłogę.
- Ukłułaś mnie! - zawył, trzymając się za pupę. Błyskawicznie wstałam i zaczęłam się ubierać, a on skakał nagusieńki i wrzeszczał: - Ukłułaś mnie! Ukłułaś! Jak śmiałaś to zrobić!
- Wspaniale - pochwaliłem ją. - Wyśmienicie. Cudownie. Szkoda, że tego nie widziałem. Krwawił?
- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi, ale miałam go już naprawdę dość i trochę się wściekłam.
- Słuchaj no ty, słuchaj uważnie-powiedziałam. - Gdyby dowiedział się o

tym nasz wspólny znajomy, to by ci dopiero dał do wiwatu. Zgwałciłeś mnie, dociera to do ciebie? - To mu zamknęło usta. - Co cię, u licha, napadło?

- spytałam. Ubierałam się, jak mogłam najszybciej, chcąc zyskać na czasie.

- Co cię skłoniło, żebyś mi to zrobił? - krzyknęłam.

Musiałam krzyczeć, bo ta przeklęta kanapa nadal klekotała mi za plecami.

- Nie wiem - odparł. Nagle spotulniał i złagodniał.

Kiedy byłam gotowa do wyjścia, podeszłam do niego i pocałowałam w policzek.

- Po prostu zapomnijmy o całej sprawie, dobrze? - powiedziałam, zdejmując przy tym szybko lepką gumę z jego królewskiego berła, i dostojnie wymaszerowałam z sali.

- Nikt cię nie zatrzymał? - spytałem.

- Nikt a nikt.

- Wybornie - powiedziałem. - Świetnie się spisałaś. A teraz daj mi ten papier.

Wyjęła kartkę pałacowego papieru listowego z podpisem króla, a ja pieczołowicie schowałem ją do akt,

- Spakuj walizki - poleciłem. - Wyjeżdżamy najbliższym pociągiem.

## 15.

W pół godziny spakowaliśmy się, wyprowadziliśmy z hotelu i wyruszyliśmy na dworzec kolejowy. Następnym przystankiem miał być

Paryż.

I był. Pojechaliśmy wagonem sypialnym i dotarliśmy tam o roziskrzonym słońcem czerwcowym poranku. Wynajęliśmy pokoje w hotelu Ritz. „Gdziekolwiek jesteś, a masz wątpliwości, to zatrzymaj się u Ritza”, mawiał mój ojciec. Mądre słowa. Yasmin przyszła do mojego pokoju, żeby obgadać taktykę przy wczesnym lunchu - homarze na zimno dla nas dwojga i butelce Chablis. Na stole przed sobą miałem listę kandydatów, których musieliśmy odwiedzić najpilniej.

- Tak czy owak Renoir i Monet mają pierwszeństwo - powiedziałem. - W wymienionej kolejności.

- .Gdzie ich znajdziemy? - spytała Yasmin.

Ustalenie gdzie mieszkają sławni ludzie, nigdy nie przedstawia trudności.

- Renoir mieszka w Essoyes - powiedziałem. - To miasteczko położone około sto dwadzieścia mil na południowy zachód od Paryża, pomiędzy Szampanią a Burgundią. Ma on teraz siedemdziesiąt osiem lat i, jak słyszałem, porusza się w fotelu na kółkach.

- Chryste Panie, Oswald, nie dam przecież proszku z chrząszcza biednemu staruszkowi w fotelu na kółkach! - zaprotestowała Yasmin.

- Sprawisz mu nim wielką przyjemność - odparłem. - Poza lekkim artretyzmem nic mu nie dolega. Nadal maluje. Jest z pewnością najgłośniejszym współcześnie żyjącym malarzem. Powiem więcej: żaden malarz w historii sztuki nie otrzymywał za życia tak wysokich honorariów za obrazy jak Renoir. To prawdziwy tytan malarstwa. Za dziesięć lat jego plemniki będą kosztowały majątek.

- A gdzie jest jego żona?

- Umarła. Renoir to samotny starzec. Twoja wizyta ucieszy go niezmiernie.

nie. Jak cię zobaczy, prawdopodobnie natychmiast zechce namalować cię nagą.

- To mi się podoba.

- Ale ma modelkę imieniem Dedee, a na jej punkcie zupełnego fioła.

- Z nią uporam się raz dwa - odparła Yasmin.

- Jeżeli dobrze wykorzystasz swoje atuty, to może nawet podaruje ci jakiś obraz.

- O, to też mi się podoba!

- Postaraj się o to - powiedziałem.

- A co z Monetem?

- To również samotny staruszek. Ma siedemdziesiąt dziewięć lat. Jest o rok starszy od Renoira i żyje jak odludek w Giverny. To niedaleko stąd. Tuż pod Paryżem. Obecnie mało kto go odwiedza. Czasem wpadnie Clemenceau, tak słyszałem, ale prawie nikt więcej. Będiesz promyczkiem słońca w jego życiu. Może zdobędziesz drugie płótno? Pejzaż Moneta? Te obrazy będą kiedyś warte setki tysięcy. Już kosztują tysiące.

Możliwość otrzymania obrazu od jednego lub obu wielkich mistrzów ogromnie podnieciła Yasmin.

- - Zanim doprowadzimy nasze dzieło do końca, odwiedzisz wielu innych malarzy - powiedziałem. - Może zbierzesz kolekcję.

- Świetny pomysł! - zapaliła się. - Renoir, Monet, Matisse, Bonnard, Munch, Braque i cała reszta. Tak, to naprawdę świetny pomysł. Muszę go sobie zapamiętać.

Homary były wielkie i pyszne, z ogromnymi szczypcami. Chablis Grand Cru Bougros też dobre. Uwielbiam dobre Chablis, nie tylko zdecydowanie wytrawne Grand Cru, ale także część win Premier Cru, w których bardziej

czuć owoce. Poza tym pite przez nas Bougros było tak wytrawne, że już bardziej nie można. Jedząc i pijąc, omówiliśmy taktykę. Byłem dumny, że żaden mężczyzna nie odeśle z kwitkiem młodej damy tak uroczej i tak zabójczo pięknej jak Yasmin. Żaden mężczyzna, choćby nie wiem jak wiekowy, nie był w stanie przejść obok niej obojętnie. Gdziekolwiek się zjawiliśmy, wszędzie widziałem tego dowody. Na jej widok nawet grzeczny, kamiennolicy recepcjonista z Ritza przestał panować nad sobą. Przyglądałem się mu uważnie i w samym środku jego czarnych jak węgiel źrenic dostrzegłem osławiony błysk, a on wystawił język, zaczął oblizywać górną wargę, palcami bawić się bezmyślnie naszymi kartami hotelowymi, na koniec zaś podał nam niewłaściwe klucze. Nasza Yasmin była olśniewającym, przesiąkniętym erotyzmem stworzeniem, sama w sobie czymś w rodzaju sudańskiego chrząszcza w ludzkiej postaci, stąd też, jak powiadam, żaden mężczyzna nie odesłałby jej z kwitkiem.

Ale z tej seksualnej alchemii nie byłoby żadnego pożytku, gdyby dziewczyna nie mogła osobiście pokazać się klientowi. Nieprzejednane gospodynie i równie groźne żony także mogły stanąć na przeszkodzie. Swój optymizm opierałem jednakże na fakcie, że polowaliśmy na ludzi, którzy w większości byli malarzami, muzykami bądź pisarzami. Na artystów. Artyści zaś to prawdopodobnie najprzystępniejsi ludzie na świecie. Nawet najwięksi z nich nie są pilnowani tak, jak pilnowani są przez wygadanych sekretarzy i domorosłych gangsterów w czarnych garniturach ludzie interesu. Wielcy biznesmeni i im podobni siedzą w jaskiniach, do których można dotrzeć tylko przebywszy długie korytarze i mnóstwo pokoi, gdzie w każdym kącie czuwają cerberzy. Artyści to samotnicy i najczęściej sami otwierają drzwi na dźwięk dzwonka.

Ale z jakiego to niby powodu Yasmin w ogóle miałyby naciskać ich dzwonki?

No, bo była młodą Angielką, studentką sztuk pięknych (muzyki albo literatury, zależnie od potrzeby), którą tak ogromnie zachwyciły dzieła panów Renoira, Moneta, Strawińskiego czy kogo tam, że przybyła aż z Anglii, aby złożyć hołd wielkiemu człowiekowi, pozdrowić go, dać prezencik, po czym odejść. *Nunc dimittis*.

- Dzięki temu - powiedziałem do Yasmin, połykając ostatnią soczystą cząstkę szczypców homara...

Przy okazji, czy lubicie Państwo, kiedy uda wam się wydobyć w jednym kawałku różowoczerwone mięso ze skorupy szczypców? Jest w tym jakiś mały osobisty triumf. Mogę sobie być dziecinny, ale podobnej triumfalnej radości doświadczam, kiedy uda mi się wyjąć ze skorupki orzech bez rozpołowienia go. Prawdę mówiąc, nie zabieram się do rozłupywania orzecha bez tej

szczególnej ambicji. Weselej się żyje, gdy się o coś gra. Ale wracajmy do Yasmin.

- Dzięki temu - powiedziałem do niej - w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto staną przed tobą otworem domy i pracownie artystów. Przy twoim uśmiechu i zmysłowej urodzie nie wyobrażam sobie, żeby cię któryś odprawił.

- A co z ich cerberami i żonami?

- Myślę, że ich czujność uspisz również. Czasem możesz usłyszeć od nich, że artysta jest zajęty malowaniem lub pisaniem i żebyś przyszła o szóstej. Ale w końcu dopniesz swego. Pamiętaj, że przyjechałaś z daleka, żeby złożyć hołd. Zaznacz też, że zabawisz najwyżej kilka minut.



- Dziewięć - powiedziała z uśmiechem Yasmin. - Tylko dziewięć. Kiedy zaczynamy?

- Jutro - odparłem. - Po południu kupię samochód. Będzie nam potrzebny do prowadzenia naszych operacji we Francji i Europie. A jutro pojedziemy do Essoyes i poznasz pana Renoira.

- Ty nigdy nie marnujesz czasu, co, Oswald?

- Kochana, jak tylko zdobędę fortunę, resztę życia chcę spędzić na marnowaniu czasu. Ale dopóki te pieniądze nie spoczną w banku, będę bardzo ciężko harował. I ty też.

- Jak myślisz, ile nam to zajmie?

- Zrobienie fortuny? Z siedem, osiem lat. Nie więcej. To nie tak dużo, jeśli zważyć, że potem można się wałkonić do końca życia.

- Tak, niedużo - przyznała. - A zresztą lubię to, co teraz robię.

- Wiem.

- Cieszy mnie myśl, że zostanę zgwałcona przez wszystkich wielkich tego świata. I przez wszystkich królów. Łechce to moją próżność.

- Chodźmy kupić francuski samochód - powiedziałem.

Tak więc wyszliśmy i tym razem kupiłem wspaniałego citroena Torpedo o mocy dziesięciu koni mechanicznych, dopiero co wyprodukowany nowy, czteroosobowy model. Kosztował mnie we francuskiej walucie równowartość trzystu pięćdziesięciu funtów i był akurat taki, jaki pragnąłem mieć. Wprawdzie nie miał bagażnika, ale na tylnym siedzeniu było dość miejsca na sprzęt i walizki. Ten turystyczny kabriolet posiadał składany dach, który w razie deszczu można było podnieść w jednej chwili. Karoserię miał ciemnoniebieską, koloru królewskiej krwi, i rozwijał radującą serce prędkość dziewięćdziesięciu kilometrów na

godzinę.

Nazajutrz wyjechaliśmy do Essoyes z moim podróznym laboratorium na tylnym siedzeniu citroena. Na lunch stanęliśmy w Troyes, gdzie zamówiliśmy sekwańskie pstrągi (były tak smaczne, że zjadłem dwa) i butelkę *vin dupays*. Do Essoyes przybyliśmy o czwartej po południu i zamieszkaliśmy w małym hotelu, którego nazwy nie pamiętam. Swoją sypialnię jeszcze raz zamieniłem w laboratorium i przygotowawszy wszystko co potrzebne do natychmiastowego zbadania, zmieszania i zamrożenia spermy, zaraz potem wyjechałem wraz z Yasmin odszukać monsieur Renoira. Nie było to trudne. Recepcjonistka udzieliła nam dokładnych wskazówek. Duży, biały dom, powiedziała, po prawej stronie, trzysta metrów za kościołem czy czymś takim.

Po roku spędzonym w Paryżu płynnie mówiłem po francusku, Yasmin zaś mówiła na tyle dobrze, żeby dać sobie radę. W dzieciństwie miała francuską guwernantkę, co teraz się przydało.

Dom malarza znaleźliśmy bez najmniejszych trudności. Był to średniej wielkości biały, drewniany budynek stojący samotnie w miłym ogrodzie. Wiedziałem, że nie jest to główna rezydencja sławnego człowieka. Tę miał na południu, w Cagnes, lecz prawdopodobnie doszedł do wniosku, że w lecie jest tu chłodniej.

- Powodzenia - powiedziałem do Yasmin. - Będę czekał jakieś sto metrów stąd, na tej drodze.

Wysiadła i poszła w kierunku bramy. Przyglądałem się, jak idzie. Miała buty na niskich obcasach, była w kremowej lnianej sukience i bez kapelusza. Spokojna i nader skromna, przeszła przez furtkę i idąc podjazdem kołysała rękami. Szła rytmicznie, a z nią krótki cień, i bardziej

przypominała młodą kandydatkę do zakonu zdążającą na spotkanie z przeoryszą, niż kobietę, która ma doprowadzić za chwilę do eksplozji wigoru w umyśle i ciele jednego z największych malarzy świata.

Było ciepłe słoneczne popołudnie. Siedząc w otwartym samochodzie zdrzemnąłem się i obudziłem dopiero po dwóch godzinach. Spostrzegłem, że Yasmin otwiera drzwi samochodu i siada obok.

- Co się działo? - spytałem. - Mów szybko! Wszystko w porządku? Widziałaś się z nim? Masz to?

W jednej ręce trzymała niewielką paczkę w brązowym papierze, w drugiej torebkę. Otworzyła ją, wyjęła podpisaną kartkę i arcyważny przedmiot z gumy. Wręczyła mi je bez słowa. Miała dziwną minę, wyrażającą ekstazę i nabożny podziw, a kiedy odezwałem się do niej, jakby mnie nie słyszała. Miałem wrażenie, że jest wiele mil stąd, bardzo, bardzo daleko.

- Co ci jest? - spytałem. - Dlaczego milczysz jak zaklęta?

Była wpatrzona w przednią szybę, nie słyszała mnie. Oczy miała roziskrzzone, minę pogodną, niemal szczęśliwą i dziwnie promienną.

- Cholera, Yasmin! - zawołałem. - Co ci jest, u diabła? Wyglądasz jak nawiedzona.

- Jedź i daj mi spokój - odparła.

Nie odzywając się do siebie zajechaliśmy do hotelu i rozeszliśmy się do swoich pokojów. Natychmiast zbadałem pod mikroskopem nasienie. Plemniki żyły, ale było ich niewiele, bardzo niewiele. Wyszło mi zaledwie dziesięć porcji. Słowo daję, ktoś wybuch za nie w przyszłości kupę forsy, pomyślałem. Będą taką rzadkością jak pierwsze wydanie Szekspira. Zamówiłem szampana, talerz *foie gras* oraz grzanki i przesłałem Yasmin wiadomość, że liczę na jej towarzystwo.

Przyszła pół godziny potem z małą paczką w brązowym papierze. Nalałem jej szampana do kieliszka i położyłem na grzance *foie gras*. Przyjęła szampana, nie tknęła wątróbki i milczała.

- No, powiedz, co cię trapi? - spytałem.

Wypiła kieliszek jednym haustem i podsunęła go do nalania. Napełniłem go ponownie. Wypiła połowę i odstawiła kieliszek.

- Na miłość boską, Yasmin! - zawołałem. - Co się stało? Natychmiast spojrzała mi w oczy i oznajmiła:

- Podbił mnie!

- Chcesz powiedzieć: pobił?! Rany boskie, tak mi przykro. Naprawdę cię trzasnął?

- Nie bądź osłem, Oswald!

- Więc o czym ty mówisz?

- O tym, że mnie podbił. To pierwszy mężczyzna, który mnie całkowicie zniewolił.

- A, teraz już rozumiem! Wielkie nieba!

- Cudowny człowiek! Geniusz!

- Jasne, że geniusz. Dlatego go wybraliśmy.

- Tak, ale geniusz piękny. On jest taki piękny, Oswaldzie, taki delikatny i cudowny! Nie znam takiego drugiego.

- Widzę, że naprawdę cię podbił.

- Oczywiście.

- Więc o co chodzi? - spytałem. - Czujesz się z tego powodu winna?

- O, nie - odparła. - Nie czuję się ani trochę winna. Po prostu przytłoczona.

- Zanim to wszystko załatwimy, będziesz przytłoczona znacznie bardziej - powiedziałem. - To nie jedyny geniusz, którego odwiedzisz.

- Wiem.
- Chyba nie jesteś wyczerpana?
- Pewnie, że nie. Nalej mi jeszcze. Napełniłem jej kieliszek po raz trzeci w ciągu tyluż minut. Usiadła, popijając.
- Posłuchaj, Oswaldzie... - powiedziała.
- Słucham.
- Do tej pory traktowaliśmy całą sprawę bardzo wesoło, prawda? To wszystko było żartem, tak?
- Bzdura! Ja brałem to poważnie.
- A co z Alfonsem?
- To ty sobie z niego zażartowałaś.
- Wiem, ale zasłużył na to. To błazen.
- Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.
- Do tego, że Renoir jest inny - odparła. - Do tego zmierzam. To wielki człowiek. Jego sztuka przetrwa wieki.
- Tak jak i jego plemniki.
- Przestań i posłuchaj mnie - powiedziała. - Chcę powiedzieć, że jedni ludzie to błazny, inni nie. Alfons to błazen. Wszyscy królowie to błazny. Mamy „jeszcze kilku takich na naszej liście.
- Kogo?
- Henry Ford to błazen - powiedziała. - Myślę, że ten facet z Wiednia, Freud, również. I ten od radia... Marconi. Też błazen.
- O co ci właściwie chodzi?
- O to, że nie mam nic przeciwko temu, aby żartować z błaznów - odparła.
- Żeby traktować ich odrobinę brutalnie, jeśli trzeba. Ale niech mnie diabli, jeżeli ukłuję szpilką do kapelusza ludzi takich jak Renoir, Conrad i

Strawiński. Nie po tym, co zobaczyłam dzisiaj.

- A co dzisiaj zobaczyłaś?

- Już mówiłam: zobaczyłam wielkiego, cudownego starca.

- Który cię podbił.

- A żebyś wiedział!

- Pozwolisz, że spytam: dobrze się zabawiał?

- Nad podziw - odparła. - Nad podziw dobrze.

- Opowiedz mi, jak to się odbyło.

- Nie. O błaznach mogę ci opowiadać. Ale pozostali to moja tajemnica.

- Był w wózku na kółkach?

- Tak. A poza tym przywiązuje sobie pędzel do dłoni, bo nie może go już utrzymać w palcach.

- Z powodu artretyzmu?

- Tak.

- Dałaś mu proszek z chrząszcza?

- Naturalnie.

- Dawka nie była za duża?

- Nie. W tym wieku bez tego ani rusz.

- Poza tym podarował ci obraz - powiedziałem, wskazując zawinięty w brązowy papier pakunek.

Odpakowała go i podniosła w górę, żebym go obejrzał. Było to małe, nie oprawione płótno przedstawiające młodą rumianą dziewczynę z drugimi złotymi włosami i niebieskimi oczami, cudowny obrazek, rozkosz dla oka. Promieniowało od niego ciepło, które wypełniło cały pokój.

- Nie prosiłam o niego - wyjaśniła Yasmin. - Kazał mi go wziąć. Czyż nie jest piękny?

- Tak - przyznałem. - Jest piękny.

## 16.

Wrażenie, jakie wywarł na Yasmin Renoir podczas brzemiennej w skutki wizyty w Essoyes, na szczęście nie przekreśliło frajdy z przyszłych akcji. Zawsze z trudem przychodziło mi traktować cokolwiek poważnie i uważam, że świat byłby znośniejszy, gdyby wszyscy poszli za moim przykładem. Nie ma we mnie ani krzty ambicji. Moja dewiza: „Lepiej narazić się na małą przyganę, niż na znojny trud”, powinna już być Państwu dobrze znana. Z życia chcę czerpać wyłącznie przyjemności. Ale zanim człowiek osiągnie ów szczęśliwy stan, musi koniecznie zdobyć masę pieniędzy. Są one kluczem do jego królestwa. Co bardziej uszczypliwi czytelnicy prawie na pewno odpowiedzą na to: „Powiada pan, że nie ma ambicji, ale czy nie widzi pan, że jedną z najszkaradniejszych ambicji jest samo pożądanie bogactw?”

Nie musi być to prawdą. O szkaradności tego czy tamtego decyduje sposób, w jaki ktoś dochodzi do bogactw. Co do mnie, to sumiennie przestrzegam swoich zasad postępowania. Odrzucam całkowicie metody robienia pieniędzy, które nie spełniają dwóch świętych reguł. Po pierwsze, muszę się przy tym setnie bawić. Po drugie, ci, od których wyciągam forszę, muszą mieć w zamian mnóstwo przyjemności. To prosta filozofia i z całego serca polecam ją wszystkim potentatom biznesu, dyrektorom kasyn, ministrom skarbu i komisjom budżetowym na całym świecie.

W owym czasie wyszły wyraźnie na jaw dwie rzeczy. Po pierwsze,

niezwykłe uczucie pełni, jakie dawały Yasmin odwiedziny u artystów. Wychodziła z ich domów i pracowni z oczami błyszczącymi jak gwiazdy i z rozpalonymi policzkami. Z tej przyczyny wielokrotnie zastanawiałem się nad erotyczną sprawnością mężczyzn obdarzonych twórczym geniuszem. Czy ich ogromna płodność twórcza rozciąga się również na inne dziedziny życia? A jeśli tak, to czy znają głęboko ukryte tajemnice i cudowne sposoby podniecania pań, niedostępne zwykłym śmiertelnikom, takim jak ja? Czerwone wypieki na policzkach Yasmin i jej lśniące oczy nasuwały mi, przyznam, pewne podejrzenia, że tak właśnie jest.

Drugą zaskakującą cechą całej operacji była jej nadzwyczajna łatwość. Yasmin nie miała najmniejszych trudności ze zdobyciem towaru od odwiedzanych mężczyzn. Warto zauważyć, że im dłużej człowiek nad tym myśli, tym oczywistszy staje się dla niego fakt, że przecież ona nie mogła mieć z tym żadnych kłopotów. Mężczyźni to z natury stworzenia poligamiczne. Dodajcie do tego szeroko udowodniony fenomen, że obdarzeni największą pasją twórczą artyści mają często więcej sił witalnych od swych bliźnich (także większy pociąg do butelki), a pojmiecie, dlaczego żaden z nich niezbyt opierał się Yasmin. I *co* nam to daje? Daje nam to grono w najwyższym stopniu utalentowanych i dlatego nadzwyczaj aktywnych artystów, nakarmionych najprzedniejszym proszkiem z sudańskich chrząszczy i wybałuszających oczy na młodą kobietę nieopisanej urody. Złapanych, zarżniętych, upieczonych i podanych na tacy z chwilą, gdy połknęli przesądzającą o ich losie czekoladkę. Jestem święcie przekonany, że nawet papież w tej sytuacji wyskoczyłby po dziewięciu minutach z sutanny, tak jak pozostali. Muszę jednak powrócić do chwili, w której odszedłem od tematu.



Po wizycie u Renoira powróciliśmy do swojej bazy w paryskim hotelu Ritz. Stamtąd wyprawiliśmy się do starego Moneta. Pojechaliśmy do jego wspaniałego domu w Giverny, gdzie, tak jak było ustalone, wysadziłem Yasmin przed bramą. Przebywała tam trzy godziny, ale nie martwiłem się tym. Spodziewając się, że przyjdzie mi tak czekać na nią wiele razy, urządziłem sobie

z tyłu samochodu małą biblioteczkę, na którą składał się komplet dzieł Szekspira, kilka powieści Jane Austen, Dickensa, Balzaca i ostatnie książki Kiplinga.

Kiedy Yasmin wreszcie wyszła od Moneta, zauważyłem, że niesie pod pachą duże płótno. Szła powoli, sennie wlokąc się chodnikiem, ale kiedy zbliżyła się, od razu dostrzegłem w jej oczach znany mi już blask ekstazy i wspaniałe wypieki na policzkach. Wyglądała jak miła, łagodna tygrysica, która właśnie połknęła cesarza Indii i jej zasmakował.

- Wszystko dobrze? - spytałem.

- Doskonale - mruknęła.

- Obejrzyjmy sobie ten obraz.

Było to przepyszne, doprawdy piękne, studium lilii wodnych na sadzawce w ogrodzie Moneta w Giverny.

- Nazwał mnie cudotwórczynią.

- Miał rację.

- Powiedział, że nie widział jeszcze tak pięknej kobiety. Prosił, żebym została.

Okazało się, że w nasieniu Moneta jest więcej plemników niż w spermie Renoira, mimo że był o rok starszy, więc zdołałem zrobić dwadzieścia pięć

porcji. Co prawda zawierały one minimalną liczbę dwudziestu milionów plemników, wystarczało to jednak, by był z nich pożytek. Bardzo duży pożytek. Oceniałem, że w przyszłości nasienie Moneta będzie warte setki tysięcy.

, A potem nam się poszczęściło. W owym czasie przebywał w Paryżu rzutki i nadzwyczajny reżyser baletów, nazwiskiem Diagilew. Miał on talent do wyławiania wielkich artystów. W roku 1919 kompletował po wojnie swoją trupę i przygotowywał nowy repertuar baletowy. W tym celu skupił wokół siebie grono ogromnie utalentowanych twórców. Na przykład ze Szwajcarii przyjechał właśnie Igor Strawiński, żeby napisać muzykę do „Pulcinelli” Diagilewa, scenografię zaś projektował Picasso.

Picasso robił też scenografię do „Trójganiastego kapelusza”.

Do zaprojektowania kostiumów i dekoracji do „Śpiewu słowika” wynajęto Henriego Matisse’a.

Jeszcze inny malarz, o którym nie słyszeliśmy, Andre Derain, przygotowywał scenografię do „La Boutique Fantasque”.

Strawińskiego, Picassa i Matisse’a mieliśmy na naszej liście. Przyjmując, że Diagilew ma lepsze rozeznanie od nas, postanowiliśmy wpisać na nią również Deraina. Wszyscy oni przebywali w Paryżu.

Na pierwszy ogień poszedł Strawiński. Yasmin poleciała do niego jak w dym. Właśnie pracował przy fortepianie nad „Pulcinellą”. Jej wizyta bardziej go zaskoczyła, niż rozgniewała.

- Witam - powiedział. - Kim pani jest?

- Przyjechałam aż z Anglii, żeby poczęstować pana czekoladką - odparła. To absurdalne zdanie, które później wykorzystywała przy licznych okazjach, całkowicie rozbroiło tego uprzejmego, przyjaznego mężczyznę.

Reszta

potoczyła się już zwyczajnie, lecz chociaż łaknąłem pieprznych szczegółów, Yasmin nie pisnęła ani słówka.

- Mogłabyś mi przynajmniej powiedzieć, co z niego za człowiek-poskarżyłem się.

- Niezwykle błyskotliwy - odparła. - Och, był taki błyskotliwy, taki inteligentny i mądry. Ma wielką głowę i nos jak jajo na twardo.

- Geniusz?

- Tak, geniusz. Ma w sobie tę iskrę, taką samą jak Monet i Renoir.

- Jaką iskrę? - spytałem. - Gdzie ją ma? W oczach?

- Nie - odparła. - Ona nie ma swojego miejsca. Po prostu w nim jest. Wiem, że jest. Jak niewidoczna aureola.

Z nasienia Strawińskiego wyszło mi pięćdziesiąt porcji.

Teraz przyszła kolej na Picassa. W owym czasie miał pracownię przy Rue de la Boetie i tam właśnie wysadziłem Yasmin przed rozchwierutanymi drzwiami, z których obłaziła brązowa farba. Nie było przy nich dzwonek ani kołatki, więc po prostu pchnęła je i weszła. Siedząc w samochodzie przed domem zabrałem się do czytania „Kuzynki Bietki”, którą w dalszym ciągu uważam za najlepsze dzieło starego francuskiego mistrza.

Wątpię, czy zdążyłem przeczytać więcej niż cztery strony, kiedy drzwiczki samochodu rozwarły się na oścież, wtarabaniła się przez nie Yasmin i klapnęła na siedzenie obok. Była rozczochrana i dyszała jak kaszalot.

- Rany boskie, Yasmin! Co się stało?

- Mój Boże - wysapała. - O, mój Boże!

- Wyrzucił cię? - zawołałem. - Zranił?

Była za bardzo zdyszana, żeby mi odpowiedzieć od razu. Po skroni

spływała jej strużka potu. Wyglądała tak, jakby czterokrotnie obiegnęła kwartał ulic, goniona przez szaleńca z nożem rzeźnickim w łapie. Pozwoliłem jej odsapnąć.

- Nie martw się. Raz czy drugi może zdarzyć się wpadka - pocieszyłem ją.

- To szatan! - wyszeptała.

- Co ci zrobił?

- To buhaj! Mały ciemny buhaj!

- Mów.

- Kiedy weszłam, malował jakieś duże płótno. Odwrócił się i oczy powiększyły mu się tak, że zrobiły okrągłe, a potem zbliżył się do mnie wolno, jakiś taki skulony, jakby szykował się do skoku...

- Skoczył?

- Tak. Skoczył.

- Boże Świąty!

- Nawet nie odłożył pędzla.

- A więc nie miałaś okazji założyć mu naszej pelerynki?

- Niestety. Nie zdążyłam nawet otworzyć torebki.

- Cholera!

- Zwalił się na mnie jak huragan, Oswaldzie!

- Nie mogłaś go trochę pohamować? Pamiętasz co zrobiłaś Woresleyowi, żeby się nie ruszał?

- Tego nic by nie powstrzymało.

- Leżałaś na podłodze?

- Nie. Cisnął mnie na wstrętą, brudną otonianę. Pełną tubek z farbami.

- Cała jesteś wymazana. Spójrz na sukienkę.

- Wiem.

Nie mogłem winić jej za to niepowodzenie. Ale mimo wszystko byłem mocno zagniewany. Pierwszy raz spudłowaliśmy. Miałem nadzieję, że więcej takich pudeł nie będzie.

- Czy wiesz, co zrobił po wszystkim? - spytała Yasmin. - Jak gdyby nigdy nic zapiął spodnie i powiedział: „Dziękuję, mademoiselle. Bardzo mnie to odświeżyło. A teraz muszę wracać do roboty”. A potem odwrócił się, Oswaldzie! Odwrócił się i zaczął malować!

- To Hiszpan, tak jak Alfons - wyjaśniłem.

Wysiadłem z samochodu, zakręciłem korbą, a kiedy wróciłem, Yasmin czyściła sobie włosy, patrząc w samochodowe lusterko.

- Wstyd mi o tym mówić, ale bardzo mi się podobał - powiedziała.

- Wiem o tym.

- Co za niesamowity temperament!

- Powiedz mi, ten Picasso to geniusz? - spytałem.

- Tak - odparła. - Czułam to bardzo mocno. Kiedyś będzie ogromnie sławny.

- Cholera!

- Nie można mieć wszystkiego, Oswaldzie.

- Chyba tak. Następny był Matisse.

Yasmin spędziła z nim około dwóch godzin i zastrzelcie mnie, jeżeli ta mała złodziejka nie wyszła od niego z jeszcze jednym obrazem. Było to istne cudo, fowistyczny pejzaż z niebieskimi, zielonymi i szkarłatnymi drzewami, podpisany i datowany na 1905 rok.

- Wspaniałe płótno - powiedziałem.

- Wspaniały człowiek - odparła Yasmin. I więcej nie powiedziała nic o Henrim Matisse. Ani słowa.

„Słomek” wyszło pięćdziesiąt.

## 17.

Mój podróżny pojemnik z ciekłym azotem zaczął się wypełniać porcjami plemników. Mieliśmy już nasienie króla Alfonsa, Renoira, Moneta, Strawińskiego i Matisse’a. Ale zostało jeszcze trochę miejsca. Każda zawierająca ćwierć centymetra sześciennego płynu „słomka” była o połowę krótsza i tylko nieco

grubsza od zapalki. Pięćdziesiąt słomek ułożonych porządnie w metalowej szufladce zajmowało bardzo mało miejsca. Postanowiłem, że w ramach tej podróży zmieścimy jeszcze trzy takie komplety, i zawiadomiłem Yasmin, że odwiedzimy Marcela Prousta, Maurice’a Ravela i Jamesa Joyce’a. Cała trójka mieszkała w Paryżu.

Jeśli zdaje się Państwu, że te wizyty składaliśmy dzień po dniu, to się mylicie. W rzeczywistości działaliśmy powoli i ostrożnie, zwykle w tygodniowych odstępach. Miałem więc czas, żeby przed zaatakowaniem kandydata dokładnie go zbadać. Nigdy nie zajeżdżaliśmy pod jego dom, ani nie pociągaliśmy za dzwonek licząc, że jakoś to będzie. Przed złożeniem mu wizyty wiedziałem wszystko o jego przyzwyczajeniach, godzinach pracy, rodzinie, służbie, jeśli ją miał, i starannie wybierałem porę ataku. Ale nawet i wtedy zdarzało się, że Yasmin czekała w samochodzie, aż żona czy służąca wyjdą na zakupy.

Naszym następnym celem był monsieur Proust. Miał czterdzieści osiem lat i przed sześciu laty, w roku 1913, opublikował powieść „W stronę

Swanna”. A obecnie wydał właśnie „W cieniu zakwitających dziewcząt”. Książkę tę krytycy przyjęli z wielkim entuzjazmem i przyniosła mu ona Nagrodę Goncour-tów. Jednakże byłem pełen obaw co do pana Prousta. Moje badania wykazały, że jest to nadzwyczaj dziwny osobnik. Niezależny finansowo. Snob. Antysemita. Próżny. Hipochondryk cierpiący na astmę. Wstaje o czwartej po południu i nie śpi całą noc. Mieszka z wierną cerberką-służącą imieniem Celesta i obecnie zajmuje apartament przy Rue Laurent-Pichet 8 b. Dom ten należał do głośnej aktorki Rejane, której syn mieszkał piętro niżej pod Proustem, a właścicielka zajmowała resztę budynku.

Dowiedziałem się, że w sprawach literackich Proust nie ma żadnych skrupułów i używa wobec krytyków zarówno perswazji, jak i pieniędzy, żeby wpłynąć na pisanie entuzjastycznych recenzji z jego książek w gazetach i tygodnikach. A do tego wszystkiego był stuprocentowym homoseksualistą. Poza wierną Celestą żadna inna kobieta nie miała wstępu do jego sypialni. Żeby mu się lepiej przyjrzeć, wprosiłem się na kolację do jego bliskiej znajomej, księżnej Soutzo. Właśnie tam przekonałem się, że pan Proust to nieciekawa postać. Ze swoimi czarnymi wąsikami, okrągłymi, wyłupiastymi oczami i niekształtną figurą do złudzenia przypominał pewnego aktora filmowego, Charliego Chaplina. U księżny Soutzo narzekał bardzo na przeciągi w jadalni, wygłaszał swoje opinie i oczekiwał, że kiedy on mówi, wszyscy pozostali goście będą milczeć. Zapamiętałem dwie niesłychane uwagi, które wygłosił tamtego wieczoru. O mężczyźnie, który wołał kobiety, rzekł: „Nie odpowiadam za niego. Jest kompletnie anormalny”. A za drugim razem usłyszałem, jak mówi: „Pociąg do mężczyzn wiedzie do męskości”. Krótko mówiąc, był to trudny

facet.

- Nie tak szybko - powiedziała Yasmin, kiedy jej to wszystko wyjawiałem. - Niech mnie diabli, jeżeli dotknę tego świntucha.

- Dlaczego?

- Nie bądź głupi, Oswaldzie. Jeżeli to jest stuprocentowa wściekła ciotka...

- On siebie nazywa opacznikiem.

- Guzik mnie obchodzi, jak on siebie nazywa.

- To bardzo proustowskie słowo - powiedziałem. - Zajrzyj do słownika, a znajdziesz przy nim definicję „robiący wszystko na opak, na odwrót, inaczej niż wszyscy ludzie”.

- Dziękuję ci bardzo, ale on nie będzie mnie brał „na opak”!

- Ależ nie denerwuj się.

- Zresztą to strata czasu - dodała Yasmin. - On nawet na mnie nie spojrzy.

- Myślę, że spojrzy.

- Co mam według ciebie zrobić, przebrać się za ministranta?

- Damy mu podwójną dawkę żuczka.

- To nie zmieni jego upodobań erotycznych.

- Nie, ale tak się napali, że nie będzie zważał na twoją płć.

- Obróci mnie na opak.

- Wcale nie.

- Na opak niczym rewers.

- Zabierz szpilkę do kapelusza.

- To nic nie da - odparła. - Jeżeli to prawdziwy, szczerzłoty pedzio, to wszystkie kobiety są dla niego fizycznie odrażające.

- Koniecznie musimy go mieć - powiedziałem. - Bez pięćdziesięciu Proustowskich porcji nasza kolekcja nie będzie pełna.



- Naprawdę jest taki ważny?

- Będzie - odparłem. - Na pewno. W przyszłości na dzieci z Proustem będzie bardzo duże zapotrzebowanie.

Yasmin wyjrzała z okna Ritza na szare, zachmurzone letnie niebo nad Paryżem.

- W takim razie jest tylko jedno wyjście - powiedziała.

- Jakie?

- Ty to załatwisz.

Tak to mną wstrząsnęło, że aż podskoczyłem.

- Wolnego - powiedziałem.

- f) n pożąda mężczyzn. A ty przecież jesteś mężczyzną. Idealnie się do tego nadajesz. Jesteś młody, piękny i rozpustny.

- Owszem, ale nie nadstawiam się homoseksualistom.

- Boisz się?

- Jasne, że nie. Ale praca w terenie to twoja branża, nie moja.

- Kto tak mówi?

- Z mężczyzną nie dam rady tego zrobić, dobrze o tym wiesz.

- To nie jest mężczyzna. To pederasta.

- Na miłość boską! - zawołałem. - Niech mnie diabli, jeżeli dopuszczę do siebie tego zbrodźcy. Musisz wiedzieć, że nawet od lewatywy mam przez tydzień drgawki!

Yasmin zaniósła się spazmatycznym śmiechem.

- Spodziewam się, że zaraz mi powiesz, jaką to masz wąską kiszkę tolcową - zakpiła.

- Tak jest. I nie dam panu Proustowi jej rozpychać, dziękuję bardzo.

- Tchórz z ciebie, Oswald!

Znaleźliśmy się w sytuacji patowej. Nadąsałem się. Yasmin wstała i naląła abie wina. Zrobiłem to samo. Siedzieliśmy w milczeniu, popijając. Był wczesny wieczor.

- Gdzie zjemy kolację? - spytałem.

- Wszystko mi jedno - odparła. - Uważam, że najpierw powinniśmy jzstrzygnąć problem Prousta. Nie ścierpiałabym, gdyby wymknął nam się rąk.

- Masz jakieś pomysły?

- Zastanawiam się - odrzekła.

Dopiłem wino i naląłem sobie jeszcze jeden kieliszek.

- Dolać ci? - spytałem.

- Nie - odparła. Zostawiłem ją własnym myślom. - Dobra - odezwała się po dłuższej chwili. - Ciekawe, czy mi się uda.

- Co?

- Mam pewien malutki pomysł.

- Powiedz jaki.

Nie odpowiedziała. Wstała, podeszła do okna i wychyliła się. Stała w tej pozycji całe pięć minut, nieruchoma, głęboko zamyślona, a ja przyglądałem się

, jej, lecz milczałem. Potem znenacka sięgnęła za siebie prawą ręką i gwałtownie

zaczęła chwytać nią powietrze, jakby łapała muchy. Nie obejrzała się na mnie.

Wychylona z okna odganiała nie istniejące muchy za swoimi plecami.

- Co ty, u licha, wyprawiasz? - spytałem.

Odwróciła się w moją stronę, na twarzy miała szeroki uśmiech.

- Wspaniale! - zawołała. - To mi się podoba! Mądra ze mnie dziewczusz-ca!

- Więc mów, o co chodzi.

- Będzie to trudne i wymaga szybkości, ale umiem dobrze chwytać, /łasciwie to zawsze byłam lepsza od brata w łapaniu piłek krykietowych.

- O czym ty, u diabła, mówisz? - zniecierpliwiłem się.

- Będę musiała przebrać się za mężczyznę.

- Nic trudnego - powiedziałem. - Żaden kłopot.

- Pięknego młodego mężczyznę.

- Dasz mu chrząszcza?

- Podwójną porcję - odparła.

- A czy to nie za wielkie ryzyko? Przypomnij sobie, jak zareagował Woresley.

- Musi być w takim właśnie stanie, chcę, żeby stracił rozum - powiedziała.

- Może powiesz mi dokładnie, co zamierzasz.

- Nie zadawaj tylu pytań, Oswaldzie. Tę stronę sprawy pozostaw mnie.

Pan Proust to dla mnie drobna zwierzyna. Należy do błaznów i tak właśnie go potraktuję.

-1 Prawdę mówiąc, wcale nie jest błaznem - zaprzeczyłem. - To jeszcze jeden geniusz. Ale zabierz szpilkę do kapelusza. Królewską szpilkę. Tę, która weszła na pięć centymetrów w pupę króla Hiszpanii.

- Pewniej bym się czuła z nożem w ręku - odparła Yasmin.

Kilka następnych dni spędziliśmy na przebieraniu Yasmin za chłopca. Powiedzieliśmy krawcowi, perukarzowi i szewcowi, że szykujemy się na wielki bal kostiumowy, więc ochoczo połączyli wysiłki. Zdumiewające, jak dobra peruka zmienia twarz człowieka. Po jej włożeniu i usunięciu makijażu Yasmin przedzierzgnęła się w mężczyznę. Wybraliśmy odrobinę

kobiece w kroju, jasnoszare spodnie, błękitną koszulę, jedwabny szeroki krawat, kwiecistą jedwabną kamizelkę i piaskową marynarkę. Buty miała biało-brązowe, z nie garbowanej skóry, a kapelusz tabaczkowy, miękki, z dużym rondem. Okrągłości jej wspaniałych piersi ukryliśmy pod zwojami marszczonego bandaża. Nauczyłem ją mówić miękkim szeptem, który maskował jej wysoki głos, i pracowicie przećwiczyłem z nią, co ma powiedzieć - najpierw Celestie, która otworzy drzwi, a potem Proustowi, kiedy zostanie do niego wprowadzona.

Po tygodniu byliśmy gotowi do akcji. Yasmin nie zdradziła mi, jak zamierza uchronić się od zwyobracania na istic proustowską modłę, a jajej dłużej o to nie nagabywałem. Wystarczająco cieszyłem się z faktu, że zgodziła się stanąć z nim w szranki.

Postanowiliśmy, że zjawi się u niego o siódmej wieczorem, pomni, że do tego czasu nasza zwierzyna zdąży wstać z łóżka i od trzech godzin będzie na nogach. Pomogłem Yasmin przebrać się w jej sypialni w Ritzu. Peruka .była znakomita. Pokrywała jej głowę czupryną złotobrazowych, lekko kręconych i długawych kędziorów. Szare spodnie, kwiecista kamizelka i piaskowa marynarka przemieniały ją w zniewieściałego, lecz zachwycająco ślicznego młodziana.

- Żaden pedzio nie oprze się przed zwyobracaniem cię - powiedziałem. Uśmiechnęła się, ale nic na to nie powiedziała.

- Chwileczkę - dodałem. - Czegoś tu brakuje. W twoich spodniach jest wyraźnie pusto. To wielki błąd.

Na kredensie stała misa z owocami, upominek od dyrekcji hotelu. Wybrałem małego banana. Yasmin spuściła spodnie, a ja przymocowałem jej owoc przylepcem do górnej części uda. Kiedy wciągnęła spodnie, efekt

był piorunujący - dokładnie tam gdzie należy rysowała się niedwuznaczna, prowokująca wypukłość.

- Zobacz to - powiedziałem. - Straci głowę.

## 18.

Zeszliśmy na dół i wsiedliśmy do samochodu. Pojechałem na Rue Laurent-Pichet i zatrzymałem wóz ze dwadzieścia metrów od domu numer osiem, po

drugiej stronie ulicy. Przyjrzeliliśmy się mu dokładnie. Była to duża kamienica z czarnymi drzwiami wejściowymi.

- Ruszaj, powodzenia - powiedziałem. - Mieszka na drugim piętrze. Yasmin wysiadła z samochodu.

- Ten banan trochę mi przeszkadza - poskarżyła się.

- Teraz wiesz, co czują mężczyźni - odparłem.

Odwróciła się i z rękami w kieszeniach spodni poszła w stronę domu Prousta. Zobaczyłem, że naciska klamkę. Drzwi nie były zamknięte, zapewne dlatego, że dom podzielony był na osobne mieszkania. Weszła do środka.

Usiadłem wygodnie w samochodzie, czekając na rozwój wydarzeń. Ja, generał, zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby przygotować się do tej bitwy. Reszta zależała od żołnierza Yasmin. Była dobrze uzbrojona. Miała ze sobą podwójną (tak ostatecznie zdecydowaliśmy) dawkę proszku z sudańskiego chrząszcza i długą szpilkę do kapelusza z ostrym końcem, wciąż jeszcze noszącym ślady zaschniętej królewskiej krwi hiszpańskiej,

której wytarciu się sprzeciwiła.

Był ciepły, pochmurny sierpniowy wieczór paryski. Budę mojego niebieskiego citroena Torpedo złożyłem. Fotel miałem wygodny, ale byłem za bardzo zdenerwowany, żeby czytać książkę. Miałem też dobry widok na dom i gapiłem się na niego do pewnego stopnia urzeczony. Widziałem duże okna na drugim piętrze, gdzie mieszkał Proust. Zielone aksamitne kotary wprawdzie rozsunięto, lecz nie mogłem zajrzeć do środka. Yasmin już tam była, najpewniej akurat w tym pokoju, mówiąc, tak jak ją starannie wyuczyłem: „Proszę mi łaskawie wybaczyć, monsieur, ale uwielbiam pańskie książki. Przyjechałem tu aż z Anglii po to tylko, żeby złożyć hołd pańskiej wielkości. Proszę przyjąć to pudełko czekoladek... Są pyszne... Czy mogę się poczęstować?... A ta dla pana...”

Czekałem dwadzieścia minut. Czekałem pół godziny. Zerkąłem na zegarek. Z tego, co myślała Yasmin o „tym małym świntuchu”, jak go nazywała, wnosilem, że po wszystkim nie dojdzie już do żadnego tété-a-tété i miłej pogawędki, jak w przypadku Renoira i Moneta. Będzie to, sądziłem, gwałtowna, krótka wizyta, prawdopodobnie dość przykra dla wielkiego pisarza.

Nie pomyliłem się co do jej krótkości. Trzydzieści trzy minuty później zobaczyłem otwierające się drzwi. Yasmin wyszła.

Kiedy zdążyła w moją stronę, szukałem śladów nieładu w jej ubraniu. Nie dostrzegłem żadnych. Tabaczkowy kapelusz miała tak samo nasadzony na bakier i w ogóle wyglądała równie świeżo i schludnie, jak wchodząc do Prousta.

Ale czy naprawdę? Czy jej chód nie był jakby odrobinę mniej sprężysty. O tak, w samej rzeczy. I czy nie stawiała swoich wspaniałych długich nóg

ostrożniej? Bez wątpienia! Prawdę mówiąc, szła jak ktoś, kto przed chwilą zsiadł po długiej jeździe z roweru mającego niewygodne siodełko.

Te drobne spostrzeżenia pocieszyły mnie. Świadczyły niezbicie, że mój -dzielny żołnierz stoczył zażarty bój.

H: - Brawo - powiedziałem, kiedy wsiadła do samochodu. *mf* - Po czym sądzisz, że mi się powiodło? - spytała.

Przytomna dziewczyna z tej Yasmin.

- Nie powiesz chyba, że ci poszło źle.

Nie odpowiedziała. Usadowiła się na fotelu i zamknęła drzwiczki.

- Muszę wiedzieć, Yasmin, bo jeżeli masz łup, to muszę szybko wracać i zamrozić go.

Miała łup. Jasne, że go miała. Zawiozłem ją prędko do hotelu i przygotowałem pięćdziesiąt nadzwyczajnych porcji. Mikroskopowe badanie gęstości spermy wykazało, że każda z nich zawiera co najmniej siedemdziesiąt pięć milionów plemników. Wiedziałem, że są silne, a pisząc te słowa dziewiętnaście lat później autorytatywnie mogę zaświadczyć, że po Francji biega czternaścioro dzieci, których ojcem jest Marcel Proust. Tylko ja wiem, kim one są. Takie sprawy to wielka tajemnica. Moja i ich matek. Rzekomi ojcowie nie wiedzą nic. Są to matczyne sekrety. Ale, mój ty Boże, żebyście widzieli te czternaście głupich, ambitnych, bogatych literackich snobek. Każda z nich, spoglądając z dumą na swojego Proustowskiego potomka, wmawia sobie, że na pewno urodziła wielkiego pisarza. Jednak mylą się. Wszystkie są w błędzie. Nie ma najmniejszych dowodów na to, że wielcy pisarze płodzą wielkich pisarzy. Niekiedy płodzą pisarzy miernych, ale nic ponadto.

Nieco więcej dowodów istnieje moim zdaniem na to, że wielcy malarze są

ojcami wielkich malarzy. Weźmy Teniersów, Breughli, Tiepolów, a nawet Pisarrów. A w muzyce: cudowny Jan Sebastian Bach był tak potężnym geniuszem, że musiał przekazać jakąś część swojej genialności potomkom. Inaczej jest z pisarzami. Wielcy pisarze wyrastają najczęściej w trudnych warunkach - są synami górników, rzeźników albo zubożałych nauczycieli. Ta prosta prawda nie zniechęca jednak garstki bogatych literackich snobek do posiadania dziecka ze znakomitym monsieur Proustem czy nadzwyczajnym panem Joyce'em. Wszelako moim zadaniem nie jest reklama geniuszy, lecz robienie pieniędzy.

Zanim napelnilem te pięćdziesiąt proustowskich „słomek” i zanurzyłem szczęśliwie w płynnym azocie, zrobiła się prawie dziewięta. Yasmin wykąpała się już, przebrała w luksusowe kobiece szatki, a ja zabrałem ją na kolację do Maxima, żeby uczcić sukces. Nie opowiedziała mi jeszcze, co tam zaszło.

Zapis w moim dzienniku pod tą datą informuje, że zaczęliśmy kolację od tuzina *escargots*. Była połowa sierpnia i z hrabstwa Yorkshire i ze Szkocji zaczęły już nadchodzić jarzabki, więc zamówiliśmy po jednym, a ja przykazałem szefowi kelnerów, że chcemy, aby były krwiste. Wziąłem do tego butelkę Volnaya, jeden z moich ulubionych burgundów.

- Dobrze - powiedziałem, złożyłwszy zamówienie. - Opowiedz mi o wszystkim.

- Mam ci opowiedzieć z detalami?

- Szczegółowo.

Na stoliku stała miska z rzodkiewkami. Yasmin wrzuciła sobie jedną do ust

1 schrupała.



- Przy drzwiach był dzwonek, więc zadzwoniłam - zaczęła opowieść.
- Otworzyła mi Celesta i zmierzyła mnie wzrokiem. Żebyś ty ją widział, Oswaldzie! Chuda jak szczapa, ostry nos, usta jak nóż i małe brązowe oczka, które obejrzały mnie od stóp do głów z najwyższym wstrętem.
- Czego pan sobie życzy? - spytała szorstko, na co odpowiedziałam, że przyjechałam z Anglii z upominkiem dla sławnego pisarza, którego uwielbiam.
- Pan Proust pracuje - odrzekła na to i chciała zamknąć drzwi. Wsadziłam nogę w szparę, pchnęłam drzwi i wmaszerowałam do środka.
- Nie przyjechałem z tak daleka, żeby zatrzaskiwano mi drzwi przed nosem
- powiedziałam. - Zechciej powiadomić swojego pana, że przyjechałem z wizytą.
- Biję ci brawo - pochwaliłem ją.
- Musiałam na nią naskoczyć. Celesta spojrzała na mnie groźnie. „Jak nazwisko?”, spytała. „Pan Podchłópek - odparłam. - Z Londynu”. Ubawiło mnie ono.
- Trafne - przyznałem. - Służąca zaanonsowała cię?
- O, tak. A on, śmieszny mały świntuch z wyłupiastymi oczami, wyszedł do przedpokoju, nie odłożywszy pióra.
- Co było dalej?
- Natychmiast palnęłam długą mówkę, której mnie nauczył, zaczynając się od „Proszę wybaczyć, monsieur...”, ale zdążyłam powiedzieć zaledwie kilka słów, kiedy podniósł rękę i zawołał: „Dosyć! Już panu wybaczyłem!” Wybałuszał na mnie oczy, jakby jeszcze nie widział tak ślicznego, wzbudzającego pożądanie i apetycznego chłopaczka; i założę się, że

naprawdę tak było.

- Mówił po angielsku czy francusku?

- Pół na pół. Po angielsku mówił całkiem dobrze, tak jak ja po francusku, więc nie miało to znaczenia.

- Od razu mu się spodobałaś?

- Oczu nie mógł ode mnie oderwać. „To wszystko, dziękuję, Celesto”, powiedział, oblizując się. Ale Celeście to się nie podobało. Nie ruszyła się. Przeczuwała kłopoty.

- Możesz odejść, Celesto! - powiedział monsieur Proust, podnosząc głos. Ale ona wstrzymywała się z odejściem.

- Naprawdę nic więcej panu nie potrzeba, panie Proust? - spytała.

- Chcę zostać sam - burknął, więc obruszona wymaszerowała z pokoju.

- Zechce pan usiąść, panie Podchłópek - zwrócił się do mnie. - Mogę wziąć pański kapelusz? Przepraszam za moją służącą. Jest odrobinę nadopiekuńcza.

- Przed czym tak pana chroni? - zapytałam. Uśmiechnął się do mnie, odsłaniając przerażająco rzadkie zęby.

- Przed panem - odparł cicho.

O rany, pomyślałam, lada chwila mnie zwyobraca. W tym momencie całkiem serio rozważałam myśl, żeby nie dawać mu sudańskiego chrząszcza. Facet aż się ślinił z pożądania. Wystarczyło, abym się pochylila, żeby zawiązać sobie but, a byłby mnie dopadł.

- Ale nie zrezygnowałaś z proszku?

- Nie. Dałam mu czekoladkę.

- Dlaczego?

- Bo w pewnym sensie łatwiej ich okiełznać, kiedy są pod jej wpływem.

Nie całkiem wiedzą, co robią.

- Czekoladka zrobiła swoje?

- Zawsze robi swoje. Ale ta dawka była podwójna, więc zrobiła więcej.

- Dużo więcej!?

- Homoseksualiści reagują inaczej.

- Wierzę ci.

- Widzisz, kiedy zwykły mężczyzna wariuje pod wpływem chrząszcza, to chce jedynie w te pędy zgwałcić kobietę. Ale kiedy wariuje od proszku ciotka, to z początku wcale nie myśli o tych rzeczach. Zaczyna na gwałt dobierać się temu drugiemu do gwizdka.

-1 To faktycznie kłopot - przyznałem.

- I to wielki - odparła Yasmin. - Wiedziałam, że jeśli dopuszczę go na tyle blisko, żeby mógł mnie dosięgnąć, to w ręku zostanie mu rozgnieciony banan.

- I co zrobiłaś?

- Wciąż uskakiwałam mu z drogi. W końcu naturalnie zrobił się z tego pościg, a on gonił mnie po całym pokoju, przewracając w prawo i lewo sprzęty.

- To dosyć męczące.

- Owszem, a podczas tej gonitwy otworzyły się drzwi i stanęła w nich znów ta okropna, niska służąca.

- Panie Proust - powiedziała - te ćwiczenia źle wpływają na pana astmę.

- Wynoś się! - wrzasnął. - Wynoś się, jędzo!

- Mam wrażenie, że przywykła do takich ekscesów - powiedziałem do Yasmin.

- Na pewno - odparła. - W każdym razie na środku pokoju stał okrągły stół

i byłam pewna, że jak długo będę się trzymała blisko niego, Proust mnie nie złapie. Okrągłe stoły ocaliły wiele dziewcząt przed starymi świntuchami. Sęk jednak w tym, że jemu chyba podobała się ta zabawa i wkrótce zaświtała mi myśl, że dla takich jak on podobna gonitwa to pewnie niezbędny wstęp.

- Rozgrzewka.

- Właśnie. A kiedy tak ganialiśmy wokół stołu, gadał mi bez przerwy różne rzeczy.

- Jakie rzeczy?

- Świństwa. Szkoda powtarzać. Przy okazji, włożenie banana do spodni było błędem.

- Dlaczego?

- Za bardzo sterczał. Zauważył go od razu. I przez całą gonitwę wokół stołu wskazywał na niego i piał pochwały. Miałam wielką ochotę powiedzieć mu, że to tylko głupi banan z hotelu Ritz, ale tego nie było w programie. Dostał kota na jego punkcie, a proszek brał go coraz bardziej, dlatego nagle wyłonił się przede mną nowy problem. Jak, na miłość boską, założę mu tę gumę, nim na

mnie skoczy? Nie mogę mu przecież powiedzieć, że to niezbędny środek ostrożności, no nie?

- Rzeczywiście.

- No bo w końcu po jakiego czorta akurat ja miałabym nosić ze sobą to świństwo?

- Trudna sprawa. Bardzo trudna - przyznałem. - Jak ją rozwiązałaś?

- W końcu powiedziałam: „Panie Proust, chce mnie pan?”

- Tak!!! - wrzasnął. - Bardziej niż kogokolwiek w życiu! Przestań uciekać!

- Jeszcze nie - odparłam. - Najpierw musi pan założyć ten drobiażdżek, żeby pańskiemu było ciepło.

Wyjęłam gumę z kieszeni i rzuciłam mu ją przez stół. Przestał mnie ścigać i wpatrzył się w nią.

- Co to jest? - zawołał.

- Nazywa się łaskotnik. To egzemplarz naszego słynnego łaskotnika, który wynalazł Oscar Wilde.

- Oscar Wilde! - wykrzyknął. - Ha! Wspaniały facet!

- Wynalazł łaskotnik - powtórzyłam. - A pomógł mu w tym lord Alfred Douglas.

- Lord Alfred to też świetny gość!

- Król Edward Siódmy - dodałam, nie żałując sobie - nie rozstawał się z łaskotnikiem, dokądkolwiek szedł.

- Król Edward Siódmy! Mój Boże! - zawołał i wziął nasz drobiazg leżący na stole. - Jest dobry, czy tak? - spytał.

- Podwaja rozkosz - zapewniłam. - Proszę go grzecznie i szybko nałożyć. Zaczynam się niecierpliwić.

- Pomożesz mi!

- Nie. Sam pan to zrobi - odparłam. A kiedy przy nim manipulował, ja... cóż, musiałam zadbać o to, żeby na pewno nie spostrzegł banana i reszty... wiedziałam jednak, że nadeszła straszliwa chwila, kiedy muszę ściągnąć spodnie...

- Bardzo ryzykowne.

- Nie było rady, Oswaldzie. Więc kiedy on manipulował przy wspaniałym wynalazku pana Oscara Wilde'a, stanęłam plecami do niego, błyskawicznie spuściłam spodnie i przegięłam się w pół na oparciu

kanapy, przyjmując, jak sądziłam, właściwą pozycję...

- Mój Boże. Yasmin, chyba nie powiesz, że pozwoliłaś mu...

- Coś ty! Ale musiałam tak ukryć banana, żeby nie mógł go chwycić.

- No owszem, ale czy nie skoczył na ciebie?

- Natarł na mnie jak taran.

- Jak go uniknęłaś?

- Wcale nie uniknęłam - odparła z uśmiechem. - W tym cała rzecz.

- Nie rozumiem - wyznałem. - Jeżeli natarł na ciebie jak taran, a ty nie zrobiłaś uniku, to musiał cię tryknąć.

- Wcale nie tryknął mnie tak, jak myślisz - odparła. - Widzisz, Oswaldzie, coś sobie zapamiętałam. Zapamiętałam historię o Woresleyu i byku jego brata, o tym, jak okpili byka, który myślał, że ma interes w jednym miejscu, a naprawdę miał go w innym. Woresley pochwycił go i skierował gdzie indziej.

- I to właśnie zrobiłaś?

- Tak.

- Ale przecież nie włożyłaś go do worka, tak jak Woresley.

- Nie bądź osłem, Oswaldzie. A po co mi worek!

- Rzeczywiście... teraz rozumiem... ale czy to nie było ryzykowne?...

Chodzi o to... że stałaś tyłem do niego itede... a on nadciągał jak taran...

Musiałaś to zrobić bardzo szybko, mam rację?

- Zrobiłam to bardzo szybko. Chwyciłam mu go w locie.

- Nie połapał się w tym?

- Nie bardziej niż byk. Właściwie to spostrzegł nawet mniej niż byk, powiem ci dlaczego.

- Dlaczego?

- Przede wszystkim oszalał od proszku, zgadza się?
- Tak.
- Mruczał, prychał, wymachiwał rękami, zgoda?
- Tak.
- A głowę trzymał jak tamten byk, dobrze mówię?
- Tak. Prawdopodobnie.
- Najważniejsze jednak, że brał mnie za mężczyznę. Myślał, że robi to z mężczyzną.
- Oczywiście.
- Szpunt wszedł mu jak się patrzy i było mu przyjemnie, tak czy nie?
- Zgoda.
- A więc dla niego mógł on tkwić tylko w jednym miejscu. Mężczyźni nie mają przecież innego.

Spojrzałem na nią z podziwem.

- Genialnie! - powiedziałem. - Absolutnie genialnie!
  - Mnie również było całkiem przyjemnie.
  - Oszustwo nie mające sobie równych!
  - Dziękuję ci.
  - Jednego tylko nie pojmuję.
  - Czego?
  - Kiedy natarł na ciebie jak taran, to nie celował?
  - Tylko o tyle, o ile.
  - Ale to przecież bardzo doświadczony strzelec.
  - Mój ty drogi cymbałku, nie potrafisz wbić sobie do makówki, jak zachowuje się mężczyzna po zażyciu podwójnej dawki chrząszcza.
- Potrafię doskonale, powiedziałem sobie w duchu. Leżałem przecież za

szafkami, kiedy Woresley zażył swoją.

- Nie, nie umiem - odparłem.-Jak zachowuje się mężczyzna po zażyciu podwójnej dawki?

- Wpada w szal - powiedziała. - Dosłownie nie wie, co robią jego członki. Mogłabym włożyć mu go do słoja z marynowaną cebulą i też by nie poczuł różnicy.

Wszystkie te lata doświadczeń pozwoliły mi odkryć zaskakującą, acz prostą prawdę o młodych kobietach, a brzmi ona tak: im piękniejsze mają oblicza, tym nieskromniejsze myśli. Yasmin nie była wyjątkiem. Oto siedziała naprzeciw mnie we wspaniałej kreacji od Fortuny przy stoliku u Maxima i wyglądała wypisz, wymaluj jak królowa Semiramida na tronie egipskim, a wyrażała się jak prostytutka.

- Wyrażasz się wulgarnie - powiedziałem.

- Bo jestem wulgarna - odparła z uśmiechem.

Przyniesiono nam Volnaya i skosztowałem go. To cudowne wino. Mój ojciec mawiał: „Jeżeli w karcie win zobaczysz Volnaya z dobrej winnicy, nigdy go sobie nie żałuj”.

- W jaki sposób zdołałaś uciec stamtąd tak szybko? - spytałem.

- Był brutalny - odparła. - Brutalny i taki jakiś zajadły. Czułam się tak, jakbym miała na plecach ogromnego homara.

- To straszne.

- Okropne. Na brzuchu wisiał mu ciężki złoty łańcuszek, który wrzynał mi się w kręgosłup. A w kieszonce kamizelki miał wielki zegarek.

- To fatalnie dla tego zegarka.

- Owszem - potwierdziła. - Chrupnęło w nim. Dobrze słyszałam.



- No, tak...
- Wspaniałe to wino, Oswaldzie.
- Wiem. A jak ci się udało tak szybko uciec?
- Nie ma co, z młodszymi po zażyciu chrząszcza są kłopoty - powiedziała.
- Ile on ma lat?
- Czterdzieści osiem.
- Jest w sile wieku. Co innego, kiedy ma się do czynienia z siedemdziesięciosześcioletkami. W tym wieku nawet po zażyciu chrząszcza szybko puchną.
- Ale nie on?
- Boże, gdzie tam! To perpetuum mobile! Mechaniczny homar!
- No, to co zrobiłaś?
- A co mogłam zrobić? Albo on, albo ja, powiedziałam sobie... Tak więc jak tylko puścił sok i dostarczył towar, sięgnęłam do kieszeni marynarki i wyjęłam swoją wierną szpilę.
- Zaaplikowałaś mu ją?
- Tak, ale nie zapominaj, że tym razem musiałam uderzać zza pleców, co wcale nie było łatwe. Trudno o dobry rozmach.
- Wyobrażam sobie.
- Na szczęście bekhend był zawsze moją mocną stroną.
- Mówisz o tenisie?
- Owszem.
- I trafiłaś go za pierwszym razem?
- Głęboko w sam tył kortu. Głębiej niż króla Hiszpanii. To był as!
- Protestował?
- O mój Boże, zakwiczał jak świnia. Tańczył po całym pokoju, trzymał się

rękami za pośladki i krzyczał: „Celesto! Celesto! Sprowadź doktora! Ukłóć mnie!” Służąca na pewno podglądała przez dziurkę od klucza, bo wpadła natychmiast i podbiegła do niego z krzykiem: „Gdzie? Gdzie? Niech pan pokaże!” A kiedy oglądała mu pośladki, ja zerwałam drogocenną gumę i wypadłam z pokoju, wciągając po drodze spodnie.

- Brawo - powiedziałem. - Wspaniały sukces!

- Właściwie to kawał - odparła. - Dobrze się bawiłam.

- Jak zawsze.

- Smaczne te ślimaki - pochwaliła. - Duże i soczyste.

- Na dwa dni przed sprzedażą puszcza ją w trociny - powiedziałem.

- Po co?

- Żeby się przeczyściły. Kiedy zdobyłaś jego podpis? Zaraz na początku?

- Tak. Na początku. Jak zawsze.

- Ale dlaczego tu jest adres Boulevard Haussman. zamiast Rue Laurent-Pichet?

- Spytałam go o to. Powiedział, że tam mieszkał. Dopiero co się przeprowadził.

- W takim razie w porządku.

Kelnerzy zabrali z naszego stolika puste skorupki ślimaków i niebawem wniesiono jarzabki. Przez jarzabki rozumiem kuropatwy szkockie. Nie czarne jarzabki (czarny kogut, szara kura), ani leśne jarzabki (głuszce) czy białe jarzabki (pardwy). Są to smaczne ptaki, zwłaszcza pardwa, ale kuropatwa szkocka to królowa. Nie masz bardziej kruchego i smaczniejszego mięsa w świecie, pod warunkiem, że ptak jest tegoroczny. Polowania zaczynają się dwunastego sierpnia i co roku czekam tej daty z większym nawet utęsknieniem niż daty pierwszego września, kiedy to na

stoły wkraczają ostrygi z Colchester i Whitstable. Tak jak piękną polędwicę wołową, kuropatwę szkocką powinno się jeść nie dopieczoną, z krwią zaledwie o odcień ciemniejszą od szkarłatu, u Maxima zaś nie było mile widziane zamawiać jej przyrządzonej inaczej.

Jedliśmy nasze kuropatwy wolno, odcinając cieniutkie płatki piersi, dając im rozplynać się na języku i popijając każdy kęs łykiem aromatycznego Volnaya.

- Kto jest następny na liście? - spytała Yasmił. Właśnie to rozważałem, więc miałem gotową odpowiedź.

- Miał to być James Joyce, ale może miło byłoby zmienić otoczenie i odbyć krótką przejażdżkę do Szwajcarii.

- Z przyjemnością. A kogo mamy w Szwajcarii? - spytała Yasmin.

- Niżyńskiego.

- Myślałam, że jest tu z tym Diagilewem.

- Szkoda, że nie ma go w Paryżu, ale ponoć mu troszkę odbiło - powiedziałem. - Sądzi, że jest poślubiony Bogu, i chodzi z dużym złotym krzyżem na szyi.

- A to pech - powiedziała Yasmin. - Czy to znaczy, że rzucił taniec?

- Tego nie wie nikt. Podobno kilka tygodni temu tańczył w hotelu w Saint Moritz. Ale tylko dla zabawy, żeby rozerwać gości.

- Mieszka w hotelu?

- Nie, ma willę nieopodal Saint Moritz.

- Mieszka sam?

- Niestety, nie. Jest z nim żona, dziecko i gromada służby. To bogaty człowiek. Zarabiał bająnskie sumy. Wiem, że Diagilew płacił mu dwadzieścia pięć tysięcy franków za występ.

- Boże Świąty! Widziałeś go tańczącego?
- Tylko raz - odparłem. - W 1914 roku, kiedy wybuchła wojna. W starym Palace Theatre w Londynie. Występował w „Sylfidach”. Był oszałamiający. Tańczył jak bóg.
- Strasznie chcę go poznać - powiedziała Yasmin. - Kiedy wyjeżdżamy?
- Jutro - odparłem. - Nie wolno nam próżnować.

## 19.

W tym miejscu mojej opowieści, kiedy właśnie miałem opisać podróż do Szwajcarii w poszukiwaniu Niżyńskiego, pióro nieoczekiwanie umyka mi z papieru i ogarniają mnie wątpliwości. Czy przypadkiem nie wiodę Państwa utartą koleiną? Czy się nie powtarzam? W ciągu najbliższych dwunastu miesięcy Yasmin miała poznać bardzo wielu fascynujących ludzi, to pewne. Ale prawie we wszystkich przypadkach (oczywiście z paroma wyjątkami) scenariusz wydarzeń był ten sam. A więc najpierw podanie proszku z chrząszczy, wynikający stąd kataklizm, ucieczka z łupem i cała reszta, co - bez względu na to, jak interesujący okazaliby się opisywani mężczyźni - na pewno znudziłoby czytelników. Nic łatwiejszego niż szczegółowo opisać, jak to nasz tandem natknął się w sosnowym lesie pod willą Niżyńskiego na tego słynnego tancerza, a tak właśnie było, jak poczęstowaliśmy go czekoladką, jak rozmawialiśmy z nim przez dziewięć minut, aż do chwili gdy proszek podziałał, jak pogonił za Yasmin w ciemny bór, sadząc susami od kamienia do kamienia i przy każdym skoku wzbijając się w powigtrze tak wysoko, że zdawał się

fruwać. Ale gdybym to zrobił, wypadaloby mi również opisać spotkanie z Jamesem Joyce'em. Joyce'ern w Paryżu, Joyce'em w granatowym ubraniu z samodziału, czarnym filcowym kapeluszu, starych tenisówkach na nogach, wywijającego jesionową laską i sypiącego sprośnościami. A po Joysie przyszlaby kolej na panów Bonnarda i Braque'a, a następnie na szybką podróż powrotną do Cambridge, żeby złożyć cenne łupy do Spichlerza Nasienia. Trwała ona bardzo krótko.

ponieważ Yasmin i ja złapaliśmy właściwy szwung i chcieliśmy pociągnąć rzecz do samego końca.

Woresley ogromnie się zapalił, kiedy pokazaliśmy mu naszą zdobycz. Mieliśmy już nasienie króla Alfonsa, Renoira, Moneta; Matisse'a, Prousta, Strawińskiego, Niżyńskiego, Joyce'a, Bonnarda i Braque'a.

- Świetnie je zamroziłeś - pochwalił mnie Woresley, kiedy ostrożnie przenosił opatrzone naklejkami kasetki z porcjowaną spermą do dużej zamrażarki w naszym sztabie - Wędrownej Twierdzy. - Tylko tak dalej, dzieci - dodał, zacierając ręce jak sklepikarz. - Tylko tak dalej.

I robiliśmy tak dalej. Nastął początek października, więc pojechaliśmy na południe, do Włoch, poszukać D.H. Lawrence'a. Znaleźliśmy go w Palazzo Ferraro na Capri, gdzie mieszkał z Friedą. Przy tej okazji musiałem zabawiać grubą Friedę na tamtejszych skałach, podczas gdy Yasmin zajęła się Lawren-ce'em. Lawrence przyprawił nas zresztą o nie lada wstrząs. Kiedy pośpieszyłem z jego nasieniem do naszego hotelu na Capri i zbadałem je pod mikroskopem, przekonałem się, że wszystkie plemniki są martwe. W ogóle się nie ruszały.

- Rany boskie - powiedziałem do Yasmin. - On jest bezpłodny.

- Wcale się tak nie zachowywał - odparła. - Był jak cap. Chutliwy cap.

- Musimy go skreślić z listy.
- Kto następny? - spytała.
- Giacomo Puccini.

## 20.

- Puccini jest wielki - powiedziałem.-Togeniusz. Nie możemy nawalić.
- Gdzie mieszka? - spytała Yasmin.
- W okolicach Lucci, ze czterdzieści mil na zachód od Florencji.
- Opowiedz mi o nim.
- Jest ogromnie bogaty i sławny. Wybudował sobie wielki dom, Villa Puccini, nad brzegiem jeziora, nie opodal wioski Torre di Lago, gdzie się urodził. To właśnie on napisał „Manon”, „Cyganerię”, „Toscę”, „Madame Butterfly”, „Dziewczę ze Złotego Zachodu”. Wszystko dzieła klasyczne. Zapewne nie jest Mozartem, Wagnerem czy nawet Verdim, ale mimo to jest genialny i wielki. W dodatku kawał zucha.
- , - W jakim sensie?
- To wyjątkowy kobieciarz.
- Cudownie!
- Ma w tej chwili sześćdziesiąt jeden lat, ale to mu w niczym nie przeszkadza - ciągnąłem. - Hula, pije, jeździ samochodem jak wariat, szaleje na punkcie łowienia ryb, a jeszcze bardziej polowania na kaczki. Ale nade wszystko kocha rozpustę. Ktoś powiedział o nim, że poluje na kobiety, dzikie ptactwo i libretta - w tej kolejności.
- Wygląda, że to swój chłop.

- Wspaniały gość - potwierdziłem. - Ma żonę, starą jędzę imieniem Elwira, i możesz wierzyć albo nie, ale tę Elwirę skazano na pięć miesięcy więzienia za spowodowanie śmierci jednej z przyjaciółek Pucciniego. Dziewczyna ta była u nich na służbie, a ta okropna, bezduszna Elwira przyłapała ją z Puccinim późną nocą w ogrodzie. Nastąpiła straszliwa scena, dziewczynę zwolniono, a Elwira zaszczuła ją potem do tego stopnia, że biedaczka łyknęła truciznę i umarła. Jej rodzina oddała sprawę do sądu i Elwira dostała pięć miesięcy odsiadki.

\*- Poszła siedzieć?

- Nie. Puccini wy dostał ją, płacąc rodzinie dziewczyny dwanaście tysięcy lirów.

- Jaki więc mamy plan? - spytała Yasmin. - Mam po prostu zapukać do drzwi i wejść?

- To na nic - powiedziałem. - Otaczają go wierni cerberzy i ta przeklęta żona. W ogóle by cię do niego nie dopuścili.

- No to co proponujesz?

- Umiesz śpiewać? - spytałem.

- Melbą to ja nie jestem, ale mam niezły głosik.

- Doskonale. Więc postanowione. Zrobimy to.

- Co?

- Powiem ci po drodze.

Właśnie powróciliśmy z Capri na kontynent i znajdowaliśmy się w Sorrento. W tej części Włoch panowała ciepła październikowa pogoda, tak że kiedy zapakowaliśmy się do wiernego citroena Torpedo i pojechaliśmy na północ do Lucci, nad głowami mieliśmy błękitne niebo. Nie postawiliśmy budy i jazda śliczną nadmorską drogą z Sorrento do Neapolu

sprawiła nam wielką przyjemność.

- Przede wszystkim pozwól, że opowiem ci, jak Puccini poznał Carusa, bo ma to związek z tym, co zrobisz - powiedziałem. - Pucciniego zna cały świat. Caruso był właściwie nikomu nie znany, ale strasznie pragnął dostać partię Rudolfa w „Cyganerii”, która wkrótce miała być wystawiona w Livorno. Tak więc któregoś dnia zjawił się w Villa Puccini i poprosił o spotkanie z wielkim kompozytorem. Pucciniego codziennie nachodzili drugorzędni śpiewacy, trzeba więc było koniecznie chronić go przed tymi ludźmi, bo inaczej nie miałby chwili spokoju.

- Powiedz, że jestem zajęty - rzekł Puccini. Służąca odparła na to, że ten człowiek nie chce odejść.

- Mówi, że pozostanie w pańskim ogrodzie, jeśli trzeba, to i cały rok - powiedziała.

- A jak on wygląda? - spytał Puccini.

- Niski, krępy, niepozorny, z wąsikami i w meloniku. Mówi, że jest z Neapolu.

- A co to za śpiewak?

- Twierdzi, że jest najlepszym tenorem na świecie - przyniosła odpowiedź służąca.

- Tak mówią wszyscy - rzekł Puccini, ale coś go skłoniło, po dziś dzień nie wie co, do odłożenia czytanej książki i wyjścia do przedpokoju.

Drzwi wejściowe były otwarte, a tuż za progiem, w ogrodzie, stał niziutki Caruso.

- Kim pan jest, do diaska? - krzyknął Puccini.

Na co Caruso odezwał się swoim głębokim, pełnym, wspaniałym głosem, odpowiadając mu słowami Rudolfa z „Cyganerii”: „*Chi son? Sono un*



*poe-ta...*”, „Kim jestem? Jestem poetą”. Pucciniego niepomierne zdumiała świetność jego głosu. Nigdy jeszcze nie słyszał takiego tenoru. Pośpieszył do Carusa, objął go i wykrzyknął:

- Rudolf jest pański!

To autentyczna historia, Yasmin. Sam Puccini uwielbia ją powtarzać. No a Caruso jest teraz oczywiście najwspanialszym tenorem świata, Puccini zaś jego najbliższym przyjacielem. Cudowna historia, prawda?

- Ale co to ma wspólnego z moim śpiewaniem? - spytała Yasmin.

- Niemożliwe, żeby mój głos zadziwił Pucciniego.

- Jasne, że nie. Ale ogólnie pomysł jest ten sam. Caruso chciał otrzymać partię w operze. A ty chcesz trzy centymetry sześciennie nasienia. Pucciniemu łatwiej przyjdzie obdarzyć tym drugim niż tym pierwszym, zwłaszcza kogoś tak ślicznego jak ty. Śpiew to po prostu sposób zwrócenia na siebie jego uwagi.

- A więc mów.

- Puccini pracuje wyłącznie nocą, od mniej więcej wpół do jedenastej do trzeciej, czwartej nad ranem. O tej porze reszta domowników śpi. O północy zakradniemy się do ogrodu Villa Puccini i ustalimy, gdzie jest jego pracownia, a myślę, że na parterze. Okno na pewno będzie otwarte, bo noce są jeszcze ciepłe. Ja ukryję się w krzakach, natomiast ty staniesz pod otwartym oknem i zaśpiewasz cicho subtelną arię „Un bel di vedremo” z „Madame Butterfly”. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Puccini podejdzie do okna i ujrzy dziewczynę niezrównanej urody - ciebie. Reszta powinna pójść jak z płatka.

- Świetny pomysł - pochwaliła mnie Yasmin. - Włosi zawsze śpiewają sobie pod oknami.

Po dotarciu do Lucci zatrzymaliśmy się w małym hoteliku i tam przy starym pianinie w hotelowym salonie nauczyłem Yasmin owej arii. Prawie wcale nie знаła włoskiego, ale szybko wyuczyła się na pamięć jej słów i na koniec potrafiła zaśpiewać ją całą doprawdy bardzo ładnie. Głos miała mały, ale idealnie czysty. Potem nauczyłem jej paru włoskich zdań: „Maestro, uwielbiam pańskie opery. Przyjechałam tu aż z Anglii...” itede, itepe oraz paru innych pożytecznych zwrotów, w tym oczywiście „Proszę tylko o autograf na pańskim papierze nutowym”.

- Wątpię, czy w jego przypadku będzie ci potrzebny proszek z chrząszcza - powiedziałem.

- Ja też wątpię - odparła. - Obejdziemy się raz bez niego.

- I bez szpilki do kapelusza - dopowiedziałem. - Ten człowiek to mój bohater. Nie chcę, żeby go pokłuto.

- Szpilka nie będzie mi potrzebna, jeżeli nie użyjemy chrząszcza - powiedziała Yasmin. - Naprawdę cieszę się, że go poznam, Oswaldzie.

- Na pewno nie będziesz się nudziła - dodałem.

Kiedy wszystko przygotowaliśmy, któregoś popołudnia pojechaliśmy do Villa Puccini na rekonesans. Była to wielka rezydencja stojąca nad brzegiem jeziora i otoczona żelaznym płotem dwupółmetrowej wysokości. Nie ułatwiało to nam zadania.

- Będzie nam potrzebna mała drabina - powiedziałem.

Tak więc wróciliśmy do Lucci i kupiliśmy drewnianą drabinę, którą włożyliśmy do otwartego samochodu.

Tuż przed północą znaleźliśmy się znowu przed domem Pucciniego. Byliśmy gotowi do akcji. Oparłem drabinę o płot. Wspiąłem się po niej i zeskoczyłem do ogrodu. Yasmin podążyła za mną. Przeciągnąłem drabinę

przez ogrodzenie na drugą stronę i ustawiłem tak, by pomogła nam w ucieczce.

Od razu spostrzeżliśmy jedyny oświetlony pokój w całym domu. Jego okna wychodziły na jezioro. Wziąłem Yasmin za rękę i podkradliśmy się bliżej. Choć nie było księżycy, światło z dwóch dużych okien na parterze odbijało się od wód jeziora i rozjaśniało bladą poświatą dom i ogród. W ogrodzie było pełno drzew, krzewów, zarośli i rabatek. Podobała mi się ta eskapada. Yasmin nazywała coś takiego „świetnym ubawem”. Zbliżając się do okien usłyszeliśmy dźwięki fortepianu. Jedno z nich było otwarte. Podkradliśmy się na palcach i zajrzeliśmy do środka. Był tam, on sam we własnej osobie - siedział w koszuli przy fortepianie, w ustach miał cygaro, przebierał palcami po klawiaturze, przerywał, żeby coś zapisać, i znowu stukał w klawisze. Krępy, korpulentny, nosił czarne wąsy. W wymyślnych mosiężnych oprawkach przyśrubowanych z obu stron instrumentu tkwiły dwa lichtarze, ale świece w nich były zgaszone. Na półce przy fortepianie stał wysoki biały wypchany ptak, żuraw lub podobny. Na ścianach wokół wisiały olejne portrety słynnych antenatów Pucciniego - prapradziadka, pradziadka, dziadka i ojca. Wszyscy czterej byli sławnymi muzykami. Przez ponad dwa wieki mężczyźni z rodu Puccinich przekazywali swoje wybitne uzdolnienia dzieciom. Porcje nasienia Pucciniego, gdybym je zdobył, miałyby ogromną wartość. Postanowiłem, że tym razem zamiast zwykłych pięćdziesięciu porcji, przygotuję sto.

Staliśmy więc z Yasmin i przez otwarte okno patrzyliśmy na wielkiego człowieka. Miał bujne, gęste, czarne włosy, zaczesane do tyłu.

- Usuwać się z widoku - szepnąłem do Yasmin. - Zaczekaj, aż przestanie

grać, a wtedy zacznij śpiewać.

Skinęła głową.

- Spotkamy się przy drabinie. Jeszcze raz skinęła głową.

- Powodzenia - powiedziałem, odszedłem na palcach i stanąłem za krzakiem, zaledwie pięć metrów od okna. Przez listowie widziałem nie tylko Yasmin ale także wnętrze pokoju, w którym siedział kompozytor, ponieważ okno znajdowało się nisko. Brzęknął fortepian. Zamilkł. Brzęknął znowu, mistrz wygrywał na nim melodię jednym palcem i cudownie było tak stać, tam, gdzieś we Włoszech, nad brzegiem jeziora, o północy, przysłuchując się, jak Giacomo Puccini komponuje utwór będący niemal na pewno uroczą arią do nowej opery. Nastąpiła kolejna przerwa. Tym razem uchwycił właściwą frazę i zapisywał ją. Z piórem w ręku pochylał się nad papierem nutowym, który miał przed sobą. Pośpiesznie notował nuty nad słowami librecisty.

Wtem, w absolutnej ciszy, która zaległa, mały słodki głosik Yasmin zaczął śpiewać „Un bel di vedremo”. Efekt był nadzwyczajny. W tym miejscu, w takiej atmosferze, wśród ciemnej nocy pod oknem Pucciniego, wzruszyłem się nad /raz. Spostrzegłem, że kompozytor zamarł. Jego ręka z piórem zastygła na papierze, a ciało znieruchomiło, on zaś siedział zasłuchany w głos dochodzący i okna. Nie obejrzał się. Myślę, że nie ośmielił się tego zrobić z obawy, że czar pryśnie. Pod jego oknem jakaś młoda panna wysokim, jasnym, idealnie czystym głosem śpiewała jedną z jego ulubionych arii. Nie zmienił wyrazu twarzy. Nie zruszył ustami. Póki aria trwała, ani drgnął. Była to cudowna chwila. Yasmin kończyła śpiewać. Jeszcze przez kilka chwil Puccini siedział przy fortepianie, zawało się, że czeka na dalszy ciąg albo na jakiś znak z zewnątrz. Ale Yasmin nie

poruszyła się, nie odezwała. Po prostu stała twarzą do okna, czekając, aż on przyjdzie do niej.

I przyszedł. Ujrzałem, jak odkłada pióro i wolno podnosi się z taboretu przy fortepianie. Podeszedł do okna. Zobaczył Yasmin. Wiele razy wspominałem o jej olśniewającej urodzie, dlatego widok tej dziewczyny stojącej tam, pod oknem, takiej spokojnej i pogodnej, musiał wstrząsnąć Puccinim. Zapatrzył się, wytrzeszczył oczy. Czy to sen? A wówczas Yasmin uśmiechnęła się do niego i czar przysłał. Zobaczyłem, jak Puccini nagle otrząsa się z odurzenia, i usłyszałem, Jak mówi: „*Dio mio come bello!*”. A potem wyskoczył przez okno i porwał Yasmin w mocarne objęcia.

Pomyślałem, że to już bardziej do niego podobne. Oto prawdziwy Puccini, Yasmin nie zwlekała z odwzajemnieniem karesów. A potem usłyszałem, jak mówi do niej cicho po włosku, czego na pewno nie zrozumiała: „Musimy wejść do środka. Jeżeli fortepian milknie na zbyt długo, moja żona budzi się i nabiera podejrzeń”. Zobaczyłem, że uśmiechnął się, odsłaniając piękne, białe zęby. Podniósł Yasmin, przesadził ją przez okno i wspiał się za nią.

Nie jestem podglądaczem. Obserwowałem błazeństwa Woresleya z Yasmin z czysto zawodowych pobudek, ale nie miałem zamiaru podglądać jej i Pucciniego. Kopulacja przypomina dłubanie w nosie. Dobrze jest robić to samemu, ale dla widza nie jest to szczególnie atrakcyjne widowisko. Odszedłem. Wspiałem się po drabinie, zeskoczyłem z niej i ruszyłem na przechadzkę brzegiem jeziora. Nie było mnie przez jakąś godzinę. Kiedy wróciłem do drabiny, Yasmin przy niej nie było. Po upływie trzech godzin przelazłem z powrotem do ogrodu, żeby Sprawdzić,

co się dzieje.

Przekradłem się ostrożnie przez krzaki, gdy wtem od żwirowej ścieżki dobiegł mnie odgłos kroków i trzy metry ode mnie przeszedł sam Puccini z uwieszoną u jego ramienia Yasmin.

- Żaden dżentelmen nie pozwoli damie wracać samej do Lucci w nocy o tej porze - powiedział po włosku.

Czyżby zamierzał odwiedzić ją do hotelu? Poszedłem za nimi, żeby zobaczyć, dokąd idą. Samochód Pucciniego stał na podjeździe przed domem. Zobaczyłem, że mistrz pomaga Yasmin wsiąść na fotel pasażera. Potem, po wielu zachodach i wypaleniu mnóstwa zapalek, zapalił acetylenowe reflektory. Zakręcił korbą. Silnik zapalił i zaczął chodzić na jałowym biegu. Puccini otworzył bramę. Wskoczył za kierownicę i odjechał z wyciem silnika pracującego na podwyższonych obrotach.

Pobiegłem do swojego samochodu i uruchomiłem go. Pojechałem prędko do Lucci, ale nie dogoniłem Pucciniego. Prawdę mówiąc, znajdowałem się w połowie drogi, kiedy minął mnie pędząc z powrotem do domu, tym razem sam.

Yasmin zastałem w hotelu.

- Masz to? - spytałem.

- Oczywiście - odparła.

- Daj mi szybko.

Wręczyła mi łup i do brzasku przygotowałem sto dobrej jakości porcji z plemnikami kompozytora. Kiedy się tym zajmowałem, Yasmin rozsiadła się u mnie w fotelu, popijając czerwone chianti i zdając mi relację.

- Było wspaniale - oznajmiła. - Naprawdę cudownie. Żeby tak wszyscy byli tacy jak on.

- To świetnie.
- Był taki wesoły - ciągnęła. - Beczka śmiechu. Zaśpiewał mi kawałek z nowej opery, którą komponuje.
- Wymienił jej tytuł?
- Turio - odparła. - Turidot. Coś takiego.
- Żona nie sprawiła wam kłopotów?
- Wcale się nie pokazała. Ale świetnie się bawiłam, bo nawet kiedy padliśmy roznamiętnieni na kanapę, on co jakiś czas sięgał ręką, żeby grzmotnąć w klawiaturę. Dawał, jej tym znać, że ciężko tyra, a nie grzmoci jakąś babę.
- Myślisz, że jest wielki?
- Wspaniały - odrzekła Yasmin. - Niesamowity. Znajdź mi drugiego takiego.

Z Lucci pojechaliśmy na północ, do Wiednia, a po drodze odwiedziliśmy Siergieja Rachmaninowa w jego ślicznym domu nad Jeziorem Czterech Kantonów.

- Dziwne - powiedziała Yasmin, kiedy wróciła do samochodu po z pewnością bardzo ożywionym spotkaniu z wielkim kompozytorem - dziwne, ale Rachmaninow ogromnie przypomina mi Strawińskiego.
- Z twarzy?
- We wszystkim - odparła. - Obaj mają niepozorne ciała i wspaniałe, duże, nieforemne twarze. Drobne stopy. Chude nogi. I olbrzymie gwizdki.
- Jesteś pewna, że geniusze mają większe gwizdki od zwykłych mężczyzn? - spytałem.
- Stanowczo. Znacznie większe.
- Obawiałem się, że tak powiesz.

- I robią z nich lepszy użytek - dodała, żeby mnie dobić. - W sztuce zadawania sztychów są wspaniali.

- Bzdura!

- Jakie bzdury, Oswaldzie! Już ja swoje wiem.

- A nie zapominasz czasem, że wszyscy zażywali chrząszcza?

- Chrząszcz pomaga. Pewnie, że pomaga - przyznała. - Ale nie ma żadnego porównania pomiędzy tym, w jaki sposób robi swoją szpadą twórczy geniusz, a zwyczajny facet. Właśnie dlatego tak dobrze się bawię.

- Jestem zwyczajnym facetem?

- Nie strosz się - odparła. - Nie wszyscy mogą być Rachmaninowami i Puccinimi.

Głęboko mnie uraziła. Ukłuła w najczulsze miejsce. Dąsałem się przez całą drogę do Wiednia, ale widok tego wspaniałego miasta niebawem przywrócił mi humor.

W Wiedniu Yasmin odbyła prześmieszne spotkanie z doktorem Zygmuntem Freudem w jego gabinecie na Berggasse 19, które moim zdaniem zasługuje na krótki opis.

Przede wszystkim zapisała się formalnie na wizytę u tego sławnego lekarza, oświadczając, że pilnie wymaga leczenia psychiatrycznego. Dowiedziała się, że musi poczekać cztery dni. Dlatego też postanowiłem wypełnić jej wolny czas, załatwiając wizytę u dostojnego Ryszarda Straussa. Pana Straussa mianowano właśnie współdyrektorem Wiedeńskiej Opery Państwowej. Według Yasmin, był mocno napuszony, ale stanowił łatwą zdobycz i dostarczył mi pięćdziesiąt pierwszorzędných porcji.

Potem przyszła kolej na doktora Freuda. Uważałem słynnego psychiatrę za półbłazna i nie widziałem powodu, dlaczego nie mielibyśmy zabawić się



jego kosztem. Yasmin zgodziła się na to. Wypichciliśmy więc dla niego we dwójkę ciekawą przypadłość psychiatryczną i pewnego chłodnego słonecznego październikowego popołudnia o wpół do trzeciej moja współpracowniczka weszła do wielkiej szarej kamienicy na Berggasse. Przytaczam jej własną relację z tej wizyty, tak jak mi ją przedstawiła później tego dnia przy butelce Kruga, kiedy już zamroziłem porcje Freudowskiej spermy.

- To nerwowy staruszek - powiedziała. - Wygląda bardzo surowo i jest nienagannie ubrany, jak bankier albo ktoś taki.

- Mówił po angielsku?

- Całkiem dobrze, ale z okropnym niemieckim akcentem. Posadził mnie naprzeciwko siebie, przed biurkiem, a ja od razu poczęstowałam go czekoladką. Połknął ją jak baranek. Czy to nie dziwne, Oswaldzie, że oni wszyscy zjadają te czekoladki bez żadnego ale?

- Wcale nie dziwne - odparłem. - Całkiem naturalne. Jeżeli piękna dziewczyna częstuje mnie czekoladką, to jej nie odmawiam.

- Był z tych zarośniętych - ciągnęła. - Miał wąsy i białą szpiczastą brodę, która wyglądała tak, jakby ją bardzo starannie strzyżono przed lustrem. Siwiuteńką. Ale zarost zaczynał mu się tuż nad górną wargą i tuż pod dolną, tak że tworzył jakby obramowanie ust. To właśnie zauważyłam u niego przede wszystkim - usta. Były uderzające, bardzo grube. Wyglądały jak para sztucznych gumowych warg przylepionych do tych prawdziwych.

- A fienc, fraulein - powiedział, gryząc czekoladkę - proszę opowiedzieć mi o swoim nagłonym kłopotcie.

- Och, doktorze Freud, naprawdę liczę, że pan mi pomoże! - zawołałam, z miejsca podniecona. - Czy mogę być szczerą?

- Po to tu pani jezd - odparł. - Proszem položycz sze na tej kozetce i powiedziecz, co paniom gnembi.

Położyłam się na tej cholernej kozetce i pomyślałam sobie: „Cóż, w każdym razie będzie mi tu wygodnie, kiedy wystrzelą z niego nasze race”.

- Rozumiem.

1- Dzieje się ze mną coś bardzo niedobrego, panie doktorze! - powiedziałam. - Bardzo niedobrego i przerażającego!

- A co takiego? - spytał z ożywieniem. Widać było, że na pewno lubi słuchać o strasznych i szokujących sprawach.

- Nie uwierzy pan, ale z żadnym mężczyzną nie mogę przebywać dłużej niż kilka minut, bo zaraz próbuje mnie zgwałcić! - oznajmiłam. - Zmienia się w dzikie zwierzę! Zrywa ze mnie ubranie! Obnaża przede mną swój organ... czy to właściwe słowo?

- Dobrze jak kaszde inne - odparł. - Proszem móficz, fraulein.

- Skacze na mnie! - zawołałam. - Przywala mnie! Cieszy się mną! Tak . robią ze mną wszyscy poznani mężczyźni, panie Freud! Musi mi pan pomóc!

Gwałcą mnie na śmierć!

- Droga pani, to barzo pospolita fantazja u pefnych typóff histerycznych kobit. Te kobity barzo szem bojom fizycznych sztosunkóff z menszyznami. A faktycznie marżom o tem, by dacz upuszt obłapianiu, kopulofaniu, tudziesz innym zbytkom, ale bojom szem konszekfencji. Dlatego fantazjujom. Fyobraszajom sobi, sze som gfalcony. Ale to nikdy nie ma miejszca. Fszytki som dziewczicami.

- Nie, nie! - wykrzyknęłam. - Pan się myli, doktorze! Nie jestem dziewicą! Jestem najczęściej gwałconą dziewczyną na świecie!

- Pani ma przyfienia - odrzekł. - Nik pani nikdy nie skfalcil. Czemu szem pani nie przizna? Na poczekaniu sropi szem pani lepij!

- Jak mogę się przyznać, jeśli to nieprawda? - zawołałam - Wszyscy poznani mężczyźni musieli mnie mieć! I tak samo będzie z panem. Jeżeli zostanę tu trochę dłużej, przekona się pan, czy nie!

- Niech pani nie mófi glupstff! - ofuknął mnie.

- Tak będzie, tak będzie! - zawołałam. - Nim ta wizyta się skończy, skrzywdzi mnie pan jak wszyscy pozostali!

Kiedy to powiedziałam, ten stary niegodziwiec wznosił oczy w górę, rozciągając wargi w wyniosłym uśmiechu.

- To fantazje, fantazje, fszistko fantazje - powiedział.

- Na jakiej podstawie sądzi pan, że ma pan całkowitą rację, a ja się całkowicie mylę? - spytałam go.

- Posfoli pani, sze wyjasniem trochem fienczej - odparł, rozsiadając się w fotelu i składając złączone dłonie na brzuchu. - F pani podszwiadomosci, droga fraulein, ufasza pani menszki organ za karabin maszinoffy...

- Jeżeli o mnie chodzi, to z grubsza tak właśnie o nim myślę! - wykrzyknęłam. - Że jest to śmiertelna broń!

- Otósz to! - powiedział triumfalnie. - Jusz do czegosz dochodzimy. Ufasza pani tesz, sze kaszdy menszyczn, który mieszy nim f paniom, poczongni za szpust i podżurafii paniom kulami.

- Nie kulami - sprostowałam. - Czymś innym.

- Fienc pani uczeka - ciągnął. - Ottronca fszistkich menszyczn. Ukryfa szem pszet nimi. Szedzi pani nocami calkim szama...

- Wcale nie siedzę sama - przerwałam mu. - Siedzę z moim ślicznym, kochanym dobermanem, Fritzem.

- To piesz czy szuka? - spytał natarczywie.
  - Fritzy to pies.
  - Tem goszej - rzekł. - Czy posfala sobi pani na sztosunki z tym dobermanem?
  - Pan zwariował, doktorze Freud! Za kogo pan mnie ma!
  - Uczeka pani pszet menszyznami. Uczeka pani pszet pszami. Uczeka pani pszet fszistkim, co ma organ...
  - W życiu nie słyszałam takich bredni! - zawołałam. - Nie boję się niczyjego organu! Nie uważam go za karabin maszynowy! Uważam go jedynie za skaranie boskie! Mam go potąd! Mam go dość!
  - Lubi pani marchefki, fraulein?
  - Są całkiem bez smaku. Wolę je w marynacie - odparłam.
  - Ja, ja - rzekł, zapisując to wszystko na mojej karcie chorobowej. - Mosze zainteresuje paniom, sze marchefka i ogórek to bardzo silne simbole szektualne. Oznaczajom członek menszski. A pani chce go albo pokroicz, albo zamarnofacz!
- Mówię ci, Oswaldzie, ledwo mogłam się powstrzymać od ryknięcia śmiechem. I pomyśleć, że ludzie naprawdę wierzą w to austriackie gadanie.
- On sam w nie wierzy - powiedziałem.
  - Wiem, że wierzy. Siedział zapisując to wszystko na wielkiej karcie. A potem spytał:
  - I co jeszcze ma pani do pofiedżenia, fraulein?
  - Powiem panu, co moim zdaniem jest nie tak - oznajmiłam.
  - Proszem mówicz.
  - Myślę, że mam w środku małą prądnicę. Ta prądnicza chodzi na okrągło i wytwarza potężny ładunek erotycznego prądu.

- Barzo czekafe - powiedział i zapisał to. - Proszem kontynuofacz.
- Ten prąd erotyczny ma tak wielkie napięcie, że kiedy tylko zbliża się do mnie mężczyzna, przeskakuje on ze mnie na niego i zaczyna nim rzucać.
- Jak to, rzucać?
- To znaczy, że go podnieca - odparłam. - Pobudza. Elektryzuje jego narząd płciowy. Rozpala go do czerwoności. I właśnie wtedy mężczyzna wariuje i rzuca się na mnie. Pan mi nie wierzy, doktorze?
- To pofaszna pszipadloszcz - rzekł na to starowina. - Pszifrócenie pani normalnoszczi zajmie fiele sesji psychoanalitycznych na tej kozetce. Przez cały ten czas zerkałam na zegarek. A kiedy minęło osiem minut, powiedziałam do niego:
- Niech pan mnie nie gwałci, doktorze Freud. Pan powinien być ponad to.
- Niech pani nie bendże śmiszna, fraulein - odparł. - Snóff ma pani przifidzenia.
- Mówię o moim prądzie! - zawołałam. - Zacznie panem rzucać! Wiem, że tak! Przeskoczy ze mnie na pana i pobudzi pański narząd płciowy! Pański członek rozgrzeje się do czerwoności! Zedrze pan ze mnie ubranie! Weźmie mnie pan siłą! Wykorzysta!
- Doszcz tych histericznych krzikóff - skarcił mnie, wstał od biurka, podszedł i zatrzymał się przy kozetce, gdzie leżałam. - Jesztem tu - powiedział, rozkładając ręce. - Nie kszi fdzem pani, praffda? Nie próbujem na paniom fskoczycz, tak?
- I w tej właśnie chwili, Oswaldzie, chrząszcz nagle zaczął na niego działać. Interes ożywił mu się i wyprostował, jakby doktor miał w kieszeni laskę.
- Znakomicie rozegrałaś to w czasie - pochwaliłem Yasmin.
- Nieźle, co?

Wyciągnęłam rękę i oskarżająco wskazując palcem, krzyknęłam:

- Proszę! Co się z panem dzieje, stary capie?! Mój prąd szarpnął panem!

Teraz mi pan uwierzy, doktorze Freud!? Uwierzy pan w to, co mówię?

Powinieneś widzieć jego minę, Oswaldzie. Naprawdę powinieneś.

Chrzaszcz wziął go w obroty, w oczach błysnął mu erotyczny szal i zaczął

machać rękami jak stara wrona. Ale jedno trzeba mu przyznać. Nie rzucił

się na mnie od razu. Powstrzymał się co najmniej przez minutę, starając

się dociec, co się z nim, u licha, dzieje. Spuścił wzrok na spodnie. Podniósł

go na mnie. I zaczął mruzczyć:

- Nie do flary!... Stumiefajonce!... Niesłychane!... Muszem to zanotować...

Muszem utrfalicz kaszdom chfilem. Kcie moi pióro, na miłoszcz

boskom?! Kcie atrament? Kcie papier? Och, to tiabla z papirem! Proszem

zdjoncz ubranie, fraulein! Nie mogę dluszej czekać!

- Musiał być wstrząśnięty - powiedziałem.

- Tak wstrząśnięty, że cały zeszywniał - odrzekła Yasmin. - Podkopało to jego najsłynniejszą teorię.

- Nie użyłaś szpilki?

- Pewnie, że nie. Zachowywał się naprawdę bardzo przyzwoicie. Zaraz po pierwszej erupcji, mimo że chrzaszcz nadal silnie na niego działał, odskoczył, nagusieńki popędził do biurka i zaczął notować. Musi mieć potwornie silną wolę. Wielką ciekawość intelektualną. Był jednak całkowicie zdezorientowany i zdumiony tym, co mu się przydarzyło.

- Teraz mi pan wierzy, doktorze?

- Muszem pani fierzyć! - zawołał. - Sfoim erotycznym prondem ofoszyła pani całkiem nofą dżedzinem nauki psychologii! Ten przypadek przejdze do historii! Musimy szem szpotkacz jeszcze raz, fraulein.

- Rzuci się pan na mnie - zapewniłam go. - Nie zdoła pan się powstrzymać.

- Fiem - odparł, po raz pierwszy uśmiechnięty. - Fiem o tym, fraulein, fiem.

Doktor Freud dostarczył mi pięćdziesięciu pierwszorzędnych porcji.

## 21.

Z Wiednia pojechaliśmy w bladym jesiennym słońcu na północ, do Berlina. Wojna skończyła się zaledwie jedenaście miesięcy temu, dlatego miasto było ponure i niegościnne, ale mieliśmy tu odwiedzić dwie ważne osoby, które postanowiłem zdobyć do naszej kolekcji. Pierwszą z nich był Albert Einstein, a nadzwyczaj miłe i udane spotkanie z tym niezwykłym człowiekiem odbyła Yasmin w jego domu przy Haberlandstrasse 9.

- Jak było? - zadałem jej w samochodzie tradycyjne pytanie. -

- Jemu wspaniale - odparła.

- A tobie?

- Niezupełnie. To sam mózg, nic ciała. Po stokroć wolę Pucciniego.

- Może tak zapomnisz w końcu o tym włoskim Romeo!

- Owszem, zapomnę. Powiem ci jednak, co mnie zastanawia. Otóż ci mózgowcy, wielcy intelektualiści, reagują na naszego chrząszcza zupełnie inaczej niż artyści.

- Jak?

- Mózgowcy stają i myślą. Starają się dociec, co, u licha, im się przydarzyło i dlaczego. Artyści uważają to za rzecz naturalną i od razu

biorą się do rzeczy.

- Jak zareagował Einstein?

- Nie mógł uwierzyć - odparła Yasmin. - Właściwie to zwietrzył podstęp. On pierwszy i jedyny nabrał podejrzeń, że go podeszliśmy. To wskazuje, jaki jest bystry.

- Co powiedział?

- Stał i patrzył na mnie spod tych swoich krzaczastych brwi.

- Jest w tym coś mocno podejrzanego, fraulein - powiedział. - Ja nie zachowuję się tak wobec urodziwych gości.

- A czy to nie zależy od ich urody? - spytałam.

- Nie, fraulein, nie zależy - odparł. - Co to za niezwykłą czekoladką ' mnie pani poczęstowała?

- Najzwyklejszą w świecie - powiedziałam, lekko drżąc. - Sama zjadłam *f* jedną.

Ten mały świerszcz był bardzo nagrzany przez naszego chrząszcza, Oswaldzie, ale podobnie jak staremu Freudowi, z początku udało mu się powstrzymać. Chodził tam i z powrotem po pokoju i mrucał:

- Co się ze mną dzieje? To anormalne... Coś tu jest nie tak... Nigdy nie pozwoliłbym sobie...

Ułożyłam się na kanapie w uwodzicielskiej pozie, czekając aż zabierze się do dzieła, ale nie, nic z tego. Proces myślenia na całe pięć minut sparaliżował jego cielesne żądze, -czy jak je tam zwa. Kiedy próbował rozgryźć problem, niemal słyszałam, jak mu pracuje mózg.

- Panie Einstein, niech pan się odpręży - powiedziałam.

- Obcowałeś z największym myślicielem świata - rzekłam do Yasmin.

- Ten człowiek ma nadprzyrodzone zdolności rozumowe. Spróbuj pojąć,



co mówi o względności, a przekonasz się, co mam na myśli.

- Bylibyśmy skończeni, gdyby ktoś połapał się, co robimy.

- Nikt się nie połapie - uspokoiłem ją. - Einstein jest tylko jeden. Naszym drugim ważnym dawcą w Berlinie był pan Tomasz Mann. Yasmin oświadczyła, że to miły człowiek, ale bez polotu.

- Lubię jego książki - powiedziałem.

- I dlatego go wybrałeś?

- Napisał parę pięknych dzieł. Myślę, że jego imię przetrwa.

W podróźnej walizce z ciekłym azotem miałem już nasienie Pucciniego. Rachmaninowa, Straussa. Freuda, Einsteina i Manna. Tak więc po raz wtóry wróciliśmy do Cambridge z cennym ładunkiem.

Woresley był zachwycony. Doskonale orientował się, że zmierzamy do wielkich sukcesów. Wszyscy troje byliśmy zachwyceni, lecz nie miałem jeszcze ochoty marnować czasu na świętowanie.

- Skoro już tu jesteśmy, załatwimy kilku naszych - powiedziałem.

- Zaczniemy jutro.

Bodaj najważniejszym z nich był Joseph Conrad, więc wzięliśmy się za niego w pierwszej kolejności. Mieszkał w Capel House w Orlestone, w hrabstwie Kent. Pojechaliśmy tam w połowie listopada, a dokładnie, szesnastego listopada 1919 roku. Już wspomniałem, że z obawy przed powtórzeniami nie kuszę się o szczegółowe relacje ze zbyt wielu naszych wizyt. Zasady tej będę przestrzegał dopóty, dopóki nie zdarzy się coś barwnego albo zabawnego. Nasza wizyta u pana Conrada nie była ani barwna, ani zabawna. Zwyczajna. Chociaż potem Yasmin przyznała, że to jeden z najmilszych mężczyzn, z jakimi dotąd miała do czynienia.

Z Kent pojechaliśmy do Crowborough w hrabstwie Sussex, gdzie

złowiliśmy Herberta George'a Wellsa.

- Niezgorszy - orzekła Yasmin po wyjściu od niego. - Dostojny i namaszczony, ale wcale miły. Dziwna rzecz z tymi wielkimi pisarzami. Nie ma w nich nic, co by choć trochę wskazywało na wybitność, tak jak w przypadku malarzy. Wielki malarz w niewytłumaczalny sposób zawsze wygląda na wielkiego malarza. Ale wielki pisarz wygląda zazwyczaj jak urzędnik rachuby płac z wytwórni serów.

Z Crowborough pojechaliśmy do Rottingdean, także w hrabstwie Sussex, złożyć wizytę Rudyardowi Kiplingowi.

- Kłujący mały świntuch - skomentowała wizytę u tej osobistości Yasmin, nie dodając nic więcej.

Kipling dostarczył nam pięćdziesiąt porcji.

Złapaliśmy już odpowiedni rytm działania i nazajutrz, w tymże hrabstwie Sussex, zerwaliśmy równie łatwo jak wiśnię z drzewa sir Arthura Conana Doyle'a. Yasmin po prostu zadzwoniła do drzwi i oświadczyła służącej, która je otworzyła, że przyjechała z wydawnictwa i przywiozła ważne dokumenty. Natychmiast została wprowadzona do gabinetu.

- Co sądzisz o naszym Sherlocku Holmesie? - zapytałem.

- Nic specjalnego - odparła. - Jeszcze jeden pisarz ze sztywnym piórem.

- Poczekaj - powiedziałem. - Następny na naszej liście to też pisarz, ale ten na pewno cię nie znudzi.

- Kto taki?

- Pan Bernard Shaw.

Żeby dotrzeć do Ayot St Lawrence'w hrabstwie Hertforshire, gdzie mieszkał Shaw, musieliśmy przejechać przez Londyn i po drodze opowiedziałem Yasmin co nieco o tym zadowolonym z siebie literackim

błaźnie.

- Przede wszystkim jest zaciekleym wegetarianinem - uprzedziłem ją. - Je wyłącznie surowe warzywa, owoce i zboża. Tak że wątpię, czy przyjmie czekoladkę.

- Co zrobimy, podamy mu to w marchewce?

- A może w rzodkiewce? - zaproponowałem.

- Zje ją?

- Pewnie nie - - odparłem. - Lepiej niech to będzie winogrono. W Londynie kupimy dużą kiść winogron i jedno z nich nafaszerujemy proszkiem.

- To się nie uda - - orzekła Yasmin.

- Musi się udać. On nie zrobi tego bez chrząszcza.

- A co mu jest?

- Nikt dokładnie nie wie.

- Nie uprawia tej szlachetnej sztuki?

- Nie - odparłem. - Seks go nie interesuje. Robi wrażenie kapłona.

- O, cholera!

- Chudego, gadatliwego, starego, nadzwyczaj zarozumiałego kapłona.

- Chcesz powiedzieć, że sprzęt ma do niczego?

- Trudno powiedzieć. Ma sześćdziesiąt trzy lata. Ożenił się w wieku czterdziestu dwóch, dla towarzystwa i wygody. Żadnego seksu.

- Skąd o tym wiesz?

- Nie wiem. Ale taka jest powszechna opinia. On sam oświadczył: „Do dwudziestego dziewiątego roku życia nie miałem żadnych przygód erotycznych...”

- Nieco zapóźniony w rozwoju.

- Wątpię, czy w ogóle miał jakieś przygody. Uganiało się za nim wiele

słynnych kobiet, bezskutecznie. Pani Pat Campbell, śliczna aktorka, powiedziała o nim: „To wyłącznie kura, bez jaj”.

- Fajne.

- Dietę ma celowo dobraną pod kątem zachowania sprawności umysłowej. „Kategorycznie oświadczam - napisał kiedyś - że człowiek raczący się whisky i trupami nie może stworzyć nic dobrego”.

- Czego nie można powiedzieć o tym, który raczy się whisky i żywymi, jak przypuszczam.

Bystra była ta nasza Yasmin.

- To socjalista - dodałem. - Uważa, że wszystkim powinno zawiadywać państwo.

- W takim razie to większy osioł, niż myślałam - odparła. - Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć jego minę, kiedy chrząszcz weźmie go w obroty. Przejeżdżając przez Londyn kupiliśmy kiść wspaniałych cieplarnianych winogron muszkatelowych u Jacksona na Piccadilly. Były bardzo drogie, bardzo duże i jasnożółto-zielone. W północnym Londynie przystanęliśmy na poboczu i wyjąłem pudełko z proszkiem z sudańskiego chrząszcza.

- Damy mu podwójną dawkę? - spytałem.

- Potrójną - powiedziała Yasmin.

- Myślisz, że to bezpieczne?

- Jeżeli to prawda, co o mm mówisz, to na niego potrzeba pół tego pudełka.

- A więc zgoda. Dam potrójną - powiedziałem.

Wybraliśmy owoc wiszący najniżej w całej kiści i ostrożnie, leciutko nacięliśmy nożem jego skórkę. Wydłubałem spod niej odrobinę mięszu, wsypałem potrójną dawkę proszku i upchałem go szpilką. A potem

ruszyliśmy w dalszą drogę do Ayot St Lawrence.

- Zdajesz sobie sprawę, że pierwszy raz dajemy komuś potrójną dawkę? - spytałem.

- O mnie się nie martw - odparła Yasmin. - Ten facet jest na pewno strasznie niedopieczony. Ciekawe, czy jest eunuchem? Ma wysoki głos?

- Nie wiem.

- Cholerni pisarze - zaklęła. Usadowiła się wygodniej na siedzeniu i przez resztę drogi milczała rozeźlona.

Dom, znany jako Zakątek Shawa, był dużym, nieszczególnym budynkiem z cegły i stał w ładnym ogrodzie. Kiedy zatrzymałem się przed nim, była czwarta dwadzieścia po południu. \*

- Co mam robić? - spytała Yasmin.

117

- Okrążysz dom i pójdziesz prosto na koniec ogrodu - powiedziałem.

- Znajdziesz tam małą drewnianą altanę ze spadzistym dachem. Tam właśnie pracuje. Teraz na pewno w niej jest. Wpakuj się do środka i zasuń mu zwykłą gadkę.

- A jeżeli zobaczy mnie jego żona?

- Musisz zaryzykować - odparłem. - Prawdopodobnie ci się uda. I zaznacz, że jesteś wegetarianką. To mu się spodoba.

- Jakie są tytuły jego sztuk?

- „Człowiek i nadczłowiek”, „Lekarz na rozdrożu”, „Major Barbara”, „Cezar i Kleopatra”, „Androkles i lew”, „Pigmalion”.

- Spyta mnie. którą lubię najbardziej.

- Odpowiedz, że „Pigmaliona”.

- Dobrze, powiem, że „Pigmaliona”.

- Staraj mu się przypochebić. Powiedz, że jest nie tylko największym dramaturgiem, ale i największym krytykiem muzycznym wszechczasów. Nie obawiaj się. To on będzie gadał, a nie ty.

Yasmin wysiadła z samochodu i pewnym krokiem weszła przez furtkę do ogrodu Shawa. Odprowadzałem ją wzrokiem, aż zniknęła za domem, a potem pojechałem dalej i wynająłem pokój w gospodzie „Pod Furą i Końmi”. Na górze w pokoju rozłożyłem sprzęt i przygotowałem wszystko do szybkiej zamiany nasienia Shawa w zamrożone „słomki”. Po godzinie wróciłem do jego Zakątka, żeby poczekać na Yasmin. Nie trwało to długo, ale nie powiem Wam, Czytelnicy, co było potem, zanim nie usłyszycie, co wydarzyło się wcześniej. Takich historii lepiej słuchać we właściwym porządku.

- Przeszłam przez ogród - powiedziała mi później Yasmin w gospodzie, przy wybornym pasztecie z wołowiny i nerek oraz butelce godziwego Beaune.

- Przeszłam przez ogród i zobaczyłam altanę. Ruszyłam szybko w jej stronę. W każdej chwili spodziewałam się usłyszeć za plecami głos pani Shaw, wołającej: „Hola!” Ale nikt mnie nie widział. Otworzyłam drzwi altany i zajrzałam. W środku nie było nikogo. Stał tam trzcinowy fotel, zwykły stół pokryty kartkami papieru i panowała spartańska atmosfera. Ale Shawa nie było. No to koniec, pomyślałam. Lepiej się wyniosę. Wrócę do Oswalda. Całkowita klapa. Zatrzęsnęłam głośno drzwi.

- Kto tam? - krzyknął zza altany czyjś głos. Był męski, ale bardzo wysoki i prawie piskliwy.

O mój Boże, pomyślałam sobie, to jednak naprawdę kapłan.

- Czy to ty, Szarloto? - zapiszczał głos.

Zastanawiałam się, jak zareaguje stuprocentowy eunuch na naszego chrząszcza.

- Szarloto! - zawołał. - Co robisz?

A potem zza altany wyłonił się wysoki, kościsty stwór z wielką brodą i z ogrodowymi nożycami w ręku.

- Kim pani jest, jeśli wolno spytać? - zadał mi pytanie. - To teren prywatny.

- Szukam szaletu publicznego - odparłam.

- Czego pani szuka, młoda osobo? - spytał napastliwie, mierząc we mnie nożycami jak pistoletem. - Weszła pani do mojej altany. Co pani ukradła?

- Nic nie ukradłam - odparłam. - Jeżeli chce pan wiedzieć, to przywiozłam panu upominek.

- A, upominek? - spytał, nieco udobruchany.

Wyjęłam piękną kiść winogron z torby, trzymając je za łodyżkę.

- A czym sobie zasłużyłem na taką szczodrość? - spytał.

- Dzięki panu doznałam mnóstwa rozkoszy w teatrze - powiedziałam.

- Więc pomyślałam sobie, że miło byłoby się panu zrewanżować. O nic więcej mi nie chodzi. Proszę skosztować. - Urwałam winogrono na samym spodzie i poczęstowałam go nim. - Są naprawdę bardzo smaczne.

Podszedł, wziął winogrono i wepchnął je sobie w zarośnięte ze wszystkich stron usta.

- Pyszne - powiedział, gryząc je. - To muszkatel. - Łypnął na mnie okiem spod rosochatych brwi. - Ma pani szczęście, młoda osobo, że nie pracowałem, bo inaczej wyrzuciłbym panią stąd, bez względu na winogrona. Tak się składa, że przycinałem róże.

- Przepraszam za najście. Wybaczy mi pan? - spytałam.

- Wybaczę, jeżeli przekonam się, że przyszła pani w uczciwych zamiarach  
- odrzekł.

- Uczciwych jak Matka Boska - przysięgłam.

- Wątpię - odparł. - Kobiety nigdy nie odwiedzają mężczyzn, chyba że widzą w tym dla siebie jakąś korzyść. Wiele razy podkreślałem to w moich sztukach. Kobieta, proszę pani, to drapieżne zwierzę. Poluje na mężczyzn.

- Co za wierutne bzdury! - powiedziałam. - To mężczyzna jest myśliwym!

- W życiu nie polowałem na kobietę - rzekł. - To kobiety polują na mnie. A ja zmykam jak lis, któremu depta po piętach zgraja psów. Zachłanne stworzenia - dodał, wypluwając pestki z winogrona. - Krwiożercze, drapieżne, żarłoczne.

- No wie pan! - powiedziałam. - Każdy od czasu do czasu poluje. Kobiety polują na mężczyzn dla małżeństwa, cóż w tym złego? Ale mężczyźni polują na kobiety, bo chcą iść z nimi do łóżka. Gdzie mam położyć te winogrona?

- Położymy je w altanie - odparł, biorąc je ode mnie.

Wszedł do środka, a ja za nim. Modliłam się, żeby te dziewięć minut szybko upłynęło. Usiadł w trzciniowym fotelu i spojrzał na mnie spod wielkich krzaczastych brwi. Prędko zajęłam jedyne krzesło.

- Jest pani śmiałą młodą osobką - rzekł. - Podziwiam śmiałość.

- I plecie pan banialuki o kobietach - powiedziałam. - Wątpię, czy w ogóle się pan na nich zna. Czy pan kiedykolwiek namiętnie kochał?

- Typowo kobiece pytanie - odparł. - Dla mnie istnieje tylko jeden rodzaj namiętności. Ta namiętność to rozum. Jego praca to najzarliwsza namiętność, jakiej doświadczam.

- A co z namiętnością fizyczną? - spytałam. - Nie może zatriumfować?



- Nie, proszę pani, nie może. Descartes czerpał z życia więcej namiętności i przyjemności niż Casanova.

- A co z Romeem i Julią?

- Szczeniacka miłość. Płytkie dyrdymałki.

- Twierdzi pan, że pański „Cezar i Kleopatra” to lepsza sztuka niż „Romeo i Julia”?

- Niewątpliwie.

- O rany, ależ ma pan tupet, panie Shaw!

- Pani również, młoda osobo. - Wziął ze stołu kartkę. - Proszę posłuchać - powiedział i zaczął czytać piskliwym głosem: - „Ciało zawsze ściąga w końcu na nas utrapienie. Tylko myśl pozostaje piękna i ciekawa, bo myśl to życie...”

- Jasne, że ściąga w końcu utrapienia - odparłam. - To oczywiste. Ale nie jest utrapieniem w moim wieku. Jest soczystym owocem. Co to za sztuka?

- O Matuzalemie - odparł. - A teraz muszę panią prosić o odejście. Jest pani ładna i pełna życia, ale nie daje to pani prawa do zabierania mi czasu. Dziękuję za winogrona.

Spojrzałam na zegarek. Objawy miały wystąpić dopiero za minutę. Musiałam podtrzymać rozmowę.

- Wobec tego pójdę - powiedziałam - ale w zamian za winogrona bardzo bym chciała otrzymać od pana autograf na jednej z pańskich słynnych pocztówek.

Sięgnął po kartkę pocztową i złożył podpis.

- A teraz proszę iść. Zmarnowała pani dość mojego czasu - powiedział.

- Idę - odparłam, grzebiąc się i starając odwlec moment wyjścia. Minęło dziewięć minut.

Och, żuku, śliczny żuku, dobry żuku, gdzieżeś? - modliłam się w duchu. -  
Dlaczegoś mnie opuścił?

- Ryzykowałeś - wtrąciłem.

- Byłam w kropce, Oswaldzie. To mi się jeszcze nie zdarzyło.

- Panie Shaw - powiedziałam, zatrzymując się w drzwiach i szukając pretekstu, żeby opóźnić odejście. - Przyrzekłam mojej drogiej, kochanej mamie, która ma pana za samego Boga Ojca, że zadam panu jedno pytanie...

- Pani mi się naprzykrza! - huknął.

- Wiem, wiem, wiem, ale proszę na nie odpowiedzieć. Oto ono. Czy to prawda, że potępia pan wszystkich artystów, którzy tworzą dzieła z czysto estetycznych pobudek?

- Tak, proszę pani.

- Uważa pan, że czyste piękno to za małe?

- Tak jest. Sztuka zawsze powinna być dydaktyczna, służyć społecznym celom.

- Czy Beethoven służył społecznym celom? A Van Gogh?

- Precz mi stąd! - ryknął. - Nie będę się spierał o słowa...

Urwał w pół zdania, bo właśnie w tej chwili, Oswaldzie, chwała niebiosom, chrząszcz, zaczął działać.

- Hura! Mocno go chwyciło?

- Pamiętaj, że to była potrójna dawka.

- Wiem. I co się stało?

- Wątpię, czy bezpiecznie jest aplikować potrójne porcje. Więcej tego nie zrobię.

- Zatrzęsło nim trochę, co?

- Pierwsza faza była niszczycielska - odparła Yasmin. - Zdawało się, że Shaw siedzi na krześle elektrycznym, a ktoś pociąga za dźwignię i ładuje w niego milion woltów.
- Do tego stopnia?
- Słuchaj, on uniósł się z fotela i zawisł sztywno w powietrzu, trzęsąc się, wybałuszając oczy i wykrzywiając twarz.
- O mój Boże!
- Przeraziłam się.
- Ja myślę.
- I co teraz zrobimy, pomyślałam. Sztuczne oddychanie, tlen, co?
- Nie przesadzasz, Yasmin?
- Boże Świący, skądże! Powykrzywiało go. Sparaliżowało. Dławił się. Nie mógł mówić.
- Był przytomny?
- Kto go wie.
- Bałaś się, że wyciągnie kopyta?
- Myślałam, że brak mu trzy ćwierci do śmierci.
- Naprawdę?
- Trzeba ci go było widzieć.
- O, cholera!
- Stałam przy drzwiach i pamiętam, że pomyślałam: „Trudno, tak czy owak ten łajdak napisał swoją ostatnią sztukę”.
- Hej, hej, panie Shaw! - zawołałam. - Niech pan się ocknie.
- Słyszał cię?
- Wątpię. Wśród zarostu widziałam jego usta, na których pojawiło się coś białego, jak sól.

- Jak długo to wszystko trwało?
- Parę minut. A na domiar złego zaczęłam się obawiać o jego serce.
- Dlaczego serce, na miłość boską?
- Bo spurpurowiał na twarzy. Spostrzegłam, że zaczyna mu czerwienieć skóra.

- Dusił się?

Coś w tym rodzaju. Prawda, jaki pyszny ten paszтет?

- Wyborny.

Raptem ni z tego, ni z owego opadł na ziemię. Zamrugał oczami, łypnął na mnie, zawył jak Indianin, zeskoczył z fotela i zaczął zrywać z siebie ubranie. „Irlandczyk atakuje! - wrzasnął. - Do góry nóżki, dobrodziejko! Do góry nóżki, gotuj się do walki!”

- A więc to nie całkiem eunuch?

- Wcale na to nie wyglądało.

- Jak zdołałaś nałożyć mu nasze gumisko?

- Kiedy oni stają się gwałtowni, jest na to tylko jedna rada - odparła. - Złapałam go za dolną szyję, uwiesiłam się na niej kurczowo i przekręciłam raz czy dwa, żeby stał spokojnie.

- Ummm.

- To świetnie skutkuje.

- Ja myślę.

- Możesz ich wówczas prowadzić, gdzie tylko chcesz.

- Na pewno.

- Działa tak, jak uzda na konia.

Pociągnąłem łyk Beaune, starannie je smakując. Dostarczył je Louis Latour i było doprawdy bardzo godziwe. To szczęście natrafić na takie w

wiejskiej gospodzie.

- A potem co? - spytałem.

- Chaos. Drewniana podłoga. Straszliwe sińce. Wszystko. Ale powiem ci coś ciekawego, Oswaldzie. Kompletnie nie wiedział, co robić. Musiałam mu pokazać.

- A więc był prawiczkim?

- Na pewno. Ale diablo pojętnym. Nie spotkałam się jeszcze z takim wigorem u sześćdziesięcioletnia.

- Zawdzięcza go swojej wegetariańskiej diecie.

- Możliwe - odparła Yasmin, nadziewając na widelec kawałeczek nerki i wkładając go do ust. - Pamiętaj jednak, że miał całkiem nową maszynę.

- Co takiego?

- Nową maszynę. Większość mężczyzn w tym wieku to na ogół zużyte wraki. Mówię o ich sprzęcie. Mają na liczniku taki przebieg, że wszystko zaczyna im grzechotać i stukać.

- Serio twierdzisz, że był prawiczkim?

- - Właśnie, Oswaldzie. Miał całkiem nową maszynę, zupełnie nie używaną. Dlatego chodziła na sto dwa.

- Ale musiał się chyba jakiś czas rozpędzać?

- Nie - odparła. - Po prostu pozwolił jej pruć. Cały czas co sił. Na pełny gaz. A kiedy się z tym otrząsał, krzyknął: „Teraz wiem, o co chodziło Pat Campbell!”

- Podejrzewam, że w końcu musiałaś użyć naszej szpilki do kapelusza.

- Naturalnie. I wiesz co? Po zażyciu potrójnej dawki są tak podnieceni, że nic nie czują. To tyle, co łaskotać im tyłek piórkiem.

- Ile razy go ukłułaś?

- Kłulałam, aż mnie zabolęła ręka.

- I co wtedy?

- Są inne sposoby - powiedziała tajemniczo.

- Hmm, hmm - mruknąłem, przypominając sobie, co kiedyś zrobiła Woresleyowi, żeby mu się wyrwać. - Podskoczył?

- Na metr. Dało mi to czas, żeby chwycić łup i rzucić się do drzwi.

- Dobrze, że byłaś ubrana.

- Musiałam być ubrana. Kiedy dostają silniejszą dawkę, zawsze muszę wiać sprintem.

To mi opowiedziała Yasmin. Pozwólcie mi teraz podjąć moją opowieść i cofnąć się do chwili, kiedy podczas tych wydarzeń siedziałem spokojnie w samochodzie przed Zakątkiem Shawa w zapadającym zmierzchu. Raptem wypadła galopem Yasmin, pędząc z rozwianym włosom ogrodową ścieżką, a ja prędko otworzyłem drzwiczki dla pasażera, żeby wskoczyła do wozu. Ale nie wskoczyła. Dobiegła do maski samochodu i chwyciła za korbę. Proszę pamiętać, że w owych czasach nie było samoczynnych rozruszników.

- Zapalaj, Oswald! - krzyknęła. - Zapalaj! Goni mnie! Włączyłem zapłon. Yasmin zakręciła korbą. Silnik zaskoczył. Yasmin wycofała się migiem i wskoczyła na siedzenie obok mnie z okrzykiem: „Jazda! Jazda! Gazu!” Nim jednak zdążyłem wcisnąć jak należy bieg, z ogrodu dobiegł mnie ryk i w półmroku ujrzałem wysoką, widmową, białobrodą postać, pędzącą jak ją Pan Bóg stworzył i krzyczącą:

- Wracaj, dziewczko! Jeszcze z tobą nie skończyłem!

- Jazda! - ponagliła Yasmin.

Włączyłem bieg, zwolniłem sprzęgło i odjechaliśmy.

Przed domem pisarza stała uliczna latarnia gazowa i kiedy się obejrzałem, zobaczyłem pana Shawa, płasającego na chodniku pod nią i świecącego, z wyjątkiem stóp w skarpetach, białą nagą skórą, oraz jego dwie brody, górną i dolną, z której sterczał jak urznięta lufa strzelby jego potężny różowy sromotnik. Był to widok trudny do zapomnienia - oto wielki i zarozumiały dramaturg, który zawsze szydził z potrzeb ciała, sam został przeszyty mieczem żądz i ryczał do Yasmin, żeby wróciła. Przyszło mi na myśl, że *Cantharis vesicatoria* sudanii zrobi małpę nawet ze świętego.

## 22.

Zbliżały się już święta Bożego Narodzenia i Yasmin oświadczyła, że chce sobie zrobić wakacje. Ja natomiast pragnąłem kontynuować nasze dzieło.

- Daj spokój - powiedziałem. - Zróbmy najpierw nasze- Królewskie Tournee - odwiedzmy samych królów. Załatwimy resztę europejskich monarchów, a potem zrobimy sobie długi, miły odpoczynek.

Figo-fago z koronowanymi głowami, jak to określała Yasmin, było dla niej gratką nie do odrzucenia, zgodziła się więc odłożyć wakacje i spędzić Boże Narodzenie w chłodnej Europie. Wspólnie opracowaliśmy rozsądną marszrutę, prowadzącą przez następujące kraje: Belgię, Włochy, Jugosławię, Grecję, Bułgarię, Rumunię, Danię, Szwecję i Norwegię. Przejrzałem jeszcze raz dziewięć starannie spreparowanych listów od króla Jerzego Piątego. Woresley napełnił mój podróżny pojemnik ciekłym azotem, zaopatrzył w nowy zapas „słomek”, po czym wyruszyliśmy wiernym Citroenem w kierunku Dover i parowca kursującego przez kanał

La Manche. Miejscem pierwszego postoju w podróży była Bruksela z jej pałacem królewskim.

Wrażenie, jakie list króla Anglii wywarł na pierwszych ośmiu władcach z naszej listy, było właściwie identyczne. Zelektryzował ich. Nie mogli się wprost doczekać, żeby okazać uprzejmość królowi Jerzemu i obejrzeć jego potajemną kochankę. Dla nich sprawa miała pikantny posmak. Wszyscy bez wyjątku zapraszali Yasmin do swych pałaców zaledwie w kilka godzin po otrzymaniu dostarczonego przeze mnie listu. Odnosiliśmy sukces za sukcesem. Niekiedy szpilka przydawała się, innym znów razem nie. Choć Yasmin była świadkiem kilku zabawnych scen i przeżyła parę niebezpiecznych chwil, zawsze w końcu zdobywała mężczyznę. Zdobyła nawet względy siedemdziesięciosześcioletniego króla Jugosławii Piotra, choć na koniec zemdłał i musiała go cucić spryskując mu twarz wodą z nocnika. Docierając do Christianii (obecnie Oslo) na początku kwietnia, wieźliśmy ze sobą spermę ośmiu królów i pozostał nam już tylko król Norwegii Haakon. Miał czterdzieści osiem lat.

W Christianii zatrzymaliśmy się w Grand Hotelu na Carl Johan Gate, gdzie mój balkon wychodził wprost na wspaniałą ulicę prowadzącą do pałacu królewskiego na wzgórzu. Dostarczyłem tam list we wtorek o dziesiątej rano. W porze lunchu Yasmin otrzymała odpowiedź skreśloną ręką samego króla. Zapraszał ją do złożenia wizyty o wpół do trzeciej.

- To mój ostatni król - powiedziała. - Będzie mi brakowało wizyt w pałacach i obłapianek z monarchami.

- Co o nich w sumie myślisz, teraz, tuż przed zakończeniem akcji? - spytałem. - Jak ich oceniasz?

- Różnią się od siebie. Na przykład ten Borys z Bułgarii był przerażający,



kiedy poniewierał mną na tej drucianej siatce.

- Z Bułgarami nie ma lekko.

- Ferdynand Rumuński też był niezły wariat.

- Ten z krzywymi lustrami na wszystkich ścianach?

- Właśnie. Zobaczmy, jakie to okropne zwyczaje ma ten Norweg.

- Podobno to bardzo przyzwoity gość.

- Po zażyciu chrząszcza, Oswaldzie, nikt nie jest przyzwoity.

- Idę o zakład, że się denerwuje - powiedziałem.

- Dlaczego?

- Powiem ci dlaczego. Jego żona, królowa Maud, -to siostra króla Jerzego. A więc nasz sfalszowany list napisał rzekomo jego szwagier. Są bardzo blisko spokrewnieni.

- Pikantna sprawa. To mi się podoba - wyznała Yasmin i w te pędy pobiegła do pałacu i bombonierką czekoladek, szpilką do kapelusza i resztą niezbędnych rekwizytów.

Ja zostałem w hotelu i przygotowałem sprzęt na jej powrót.

Wróciła po niespełna godzinie. Wpadła do mojego pokoju jak bomba.

- Nawaliłam! - zawołała. - Och, Oswaldzie, zrobiłam coś potwornego, przerażającego. Wszystko spaprałam!

- Co się stało? - spytałem roztrzęsiony.

- Daj mi się napić - odparła. - Koniaku. Nalałem jej pełny kieliszek.

- Mów - ponagliłem. - Niechże się dowiem. Powiedz mi najgorsze.

Łyknęła potężny haust, rozparła się w fotelu i zamknęła oczy.

- O, już mi lepiej - powiedziała.

- Na miłość boską, powiedz, co się stało?! - zawołałem.

Dopiła koniak i poprosiła o jeszcze jedną porcję. Prędko jej nalałem.

Miła, duża komnata - zaczęła. - Miły, wysoki król. Z czarnymi wąsami, wytworny, uprzejmy, przystojny. Zjadł czekoladkę jak anioł i zaczął odliczać minuty. Mówił po angielsku prawie doskonale.

- Niezbyt mnie cieszy ta sprawa, lady Victorio - powiedział, stukając palcem w list króla Jerzego. - To w ogóle niepodobne do mojego szwagra. Król Jerzy to najbardziej prawa i szlachetna osoba, jaką znam.

- Jest tylko człowiekiem, Wasza Wysokość.

- Jest wzorowym mężem - odparł mi.

- Rzecz jednak w tym, że jest żonaty - powiedziałam.

- Naturalnie, że jest żonaty. Co pani sugeruje?

- Że z żonatych mężczyzn są kiepscy mężowie, Wasza Wysokość.

- Plecie pani głupstwa! - obruszył się.

- Dlaczego się w tym momencie nie zamknęłaś? - zawołałem.

- Och, Oswaldzie, nie mogłam. Jak już zacznę mówić, to tak się rozgadam, że nie mogę przerwać. Wiesz, co mu odpowiedziałam?

- Nie mogę się doczekać - odparłem, oblewając się potem.

- Powiedziałam: „Wasza Wysokość, kiedy tak silnego, przystojnego mężczyznę jak Jerzy całymi latami raczy się noc w noc ciepłymi kluskami, to jasne, że w końcu nabierze ochoty na kawior”.

- Chryste Panie!

- Wiem, że palnęłam głupstwo.

- Co ci odpowiedział?

- Zzieleniał. Myślałam, że mnie trzaśnie, ale tylko pryskał śliną i syczał jak sztuczne ognie, które pękają z hukiem, takie, co to długo niecą iskry przed wielkim wybuchem.

- Wybuchnął?

- Wtedy jeszcze nie. Zachował się z wielką godnością.
- Byłby natobowiązany, gdyby nie nazywała pani królowej Anglii „ciepłymi kluskami”, powiedział.
- Przepraszam, Wasza Wysokość, nie chciałam tego powiedzieć - odparłam.

Nadal stałam na środku komnaty, bo nie poprosił mnie, żebym usiadła Pał sześć, pomyślałam sobie. Wybrałam dużą zieloną kanapę i przybrałam najodpowiedniejszą pozę, gotowa na atak chrząszcza.

- To niepodobna, żeby Jerzy mógł się tak zapomnieć - powiedział Haakon.
- Cóż, Wasza Wysokość, idzie tylko w ślady swego taty - odparłam.
- Zechce pan wyjaśnić, co przez to rozumie.
- Mówię o starym Edwardzie Siódmym. Na miły Bóg, przecież on wsadzał swoje berło gdzie popadło, jak Anglia długa i szeroka
- Jak pani śmie! - zawołał, po raz pierwszy nie panując nad sobą. - To same kłamstwa!
- No, a co z Lily Langtry?
- Król Edward to ojciec mojej żony - odparł lodowato Haakon. - Nie pozwolę go obrażać pod swoim dachem
- Boże Świąty, Yasmin, co cię, do licha, opętało, żeby wygadywać takie rzeczy? - zawołałam. - Pierwszy raz trafiasz na prawdziwie miłego króla i co robisz? Obrażasz go jak wszyscy diabli!
- Był taki uroczy.
- No to czemu to zrobiłaś?
- Bo we mnie siedzi diablica, Oswaldzie. A poza tym chyba sprawiało mi to przyjemność.
- Ależ nie wolno ci zwracać się w ten sposób do królów!

- A właśnie, że wolno! - odparła. - Bo widzisz, odkryłam że nie liczy się to, co mówisz, ani to, jak bardzo ich rozsierdzasz, ponieważ kochany chrząszcz zawsze cię w końcu wybawi. Po właśnie oni zawsze wychodzą na głupców.

- Ale przecież powiedziałaś, że nawaliłaś?

- Pozwól mi mówić, a dowiesz się, co zaszło. Nasz wysoki król chodził tam i z powrotem po komnacie i mruczał do siebie, a ja cały czas zerkałam na zegarek. Te dziewięć minut z jakiegoś powodu bardzo mi się wlokło.

- Jak pani może robić to swojej królowej? - spytał mnie znienacka Haakon.

- Jak pani może tak się poniżać i uwodzić jej ukochanego męża? Królowa Maria to najuczciwsza kobieta w Anglii.

- Wasza Wysokość naprawdę tak sądzi? - spytałam.

- Wiem o tym - rzekł. - Jest niepokalana jak pierwszy śnieg.

- Hola, Wasza Wysokość - odparłam. - Czyżby pan me słyszał tych wszystkich frywolnych plotek?

Na te słowa odwrócił się, w moją stronę tak nagle, jakby ukąsił go skorpion. - Rany boskie, Yasmin, ależ ty jesteś bezczelna!

- Żartowałam. Powiedziałam to dla kawału.

- Ładny mi kawał!

- Plotek?! - krzyknął król. - Jakich plotek?!

- - Bardzo nieprzyzwoitych - odparłam.

- Jak pani śmie! - ryknął. - Jak pani śmie przychodzić tu i wyrażać się w taki sposób o królowej Anglii! Jest pani ladacznicą i kłamczuchą!

- Mogę sobie być ladacznicą, ale nie kłamczuchą! Bo widzi Wasza Wysokość, jest w pałacu Buckingham pewien koniuszy, pułkownik

grenadierów, w dodatku bardzo przystojny, z wielkimi, czarnymi, sterczącymi wąsami, który codziennie rano spotyka się z królową w sali gimnastycznej i udziela jej lekcji gimnastyki.

- A czemu nie miałby udzielać? - odburknął król. - - Cóż złego w ćwiczeniach gimnastycznych? Sam to robię.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła dziewiąta minuta. Lada chwila ten wysoki, dumny król miał przedzierzgnąć się w chutliwego rozpustnika.

- Wasza Wysokość - powiedziałam. - - Jerzy i ja wiele razy zaglądaliśmy przez okna w końcu sali gimnastycznej i widzieliśmy...

Tu urwałam. Straciłam głos, Oswaldzie. Po prostu zaniemówiłam.

- Co się stało, na miłość boską?!

- Myślałam, że to atak serca. Zaczęłam dyszeć. Nie mogłam swobodnie oddychać i czułam, że na całym ciele dostaję gęsiej skórki. Naprawdę myślałam, słowo ci daję, naprawdę, że mogę wyciągnąć kopyta.

- Chryste Panie, co to było?

- O to samo spytał mnie król. To naprawdę przyzwoity człowiek. Pół minuty temu rzucałam straszliwe kalumnie na jego rodzinę w Anglii, a tu raptem on ogromnie się przejmuje moim zdrowiem.

- Czy mam wezwać lekarza? - spytał.

Nie byłam w stanie mu odpowiedzieć. Tylko bełkotałam. A potem nagle poczułam w podszwach stóp okropne łaskotanie, które szybko objęło całe nogi. Sparaliżowało mnie, pomyślałam. Nie mogę mówić. Nie mogę się poruszyć. Ledwo klecę myśli. Lada chwila umrę. I nagle - bach! Rąbnął mnie!

- Kto cię rąbnął?!

- Jasne, że chrząszcz!

- Chwileczkę!
- Przez pomyłkę zjadłam niewłaściwą czekoladkę, Oswaldzie! Zamieniłam je. Jemu dałam zwykłą, a sama zjadłam tę z chrząszczem!
- Rany boskie, Yasmin!
- Wiem, wiem, domyśliłam się. co się stało, i od razu postanowiłam uciec z pałacu do wszystkich diabłów, zanim zrobię z siebie jeszcze większą idiotkę.
- I uciekłaś?
- No cóż, łatwiej było to powiedzieć, niż wykonać. Po raz pierwszy w życiu przekonałam się, co to znaczy zażyć chrząszcza.
- Silny jest.
- Strasznie silny. Lasuje ci mózg. Nie możesz normalnie rozmawiać. Całym ciałem wstrząsają gwałtowne erotyczne dreszcze. Myślisz wyłącznie o seksie. W każdym razie mnie tylko to było w głowie i bardzo się bałam. Nie mogłam nad sobą zapanować, rozumiesz... Po prostu nie byłam w stanie... no i... zeskoczyłam z kanapy i runęłam królowi do spodni...
- O mój Boże!
- Na tym nie koniec - dodała, znów łykając koniaku.
- Nic mi nie mów. Nie zniosę tego.
- Dobrze, nie powiem.
- Tak? No to opowiadaj.
- Zachowywałam się jak wariatka. Zwaliłam się na niego. Stracił równowagę i popchnęłam go na kanapę. Ale król to wysportowana sztuka. Był bardzo szybki. Błyskawicznie poderwał się na nogi i schronił za biurko. Wskoczyłam na nie.

- Przestań, kobieto! Co cię opętało? Zostaw mnie! - wciąż powtarzał, a potem naprawdę zaczął krzyczeć, to znaczy, krzyczeć głośno. - Na pomoc! Niech ktoś zabierze stąd tę kobietę!

I wówczas, drogi Oswaldzie, otworzyły się drzwi i do komnaty weszła sama królowa, mała królowa Maud, w całym majestacie, z robótką w ręku.

- Inaczej być nie mogło.

- Wiem.

- Gdzie byłaś, kiedy weszła?

- Skakałam po jego wielkim biurku w stylu chippendale, chcąc go złapać. Po całym pokoju fruwały krzesła i właśnie wtedy weszła ona, drobniutka, całkiem ładna kobieta...

- Co powiedziała?

- Co ty właściwie robisz, Haakonie?! - spytała.

- Zabierz ją! - krzyknął król.

- Chcę go! - wrzasnęłam. - I będę go miała!

- Haakonie!- powiedziała królowa. - Masz w tej chwili z tym skończyć!

- To nie ja, to ona! - zawołał, umykając co sił w nogach po komnacie. Ale zagoniłam go w kąt i już miałam się na niego rzucić i go pojąć, kiedy od tyłu chwyciło mnie dwóch gwardzistów. Żołnierzy. Ładnych norweskich chłopców.

- Zabierzcie ją - wydyszał król.

- Dokąd, Wasza Wysokość?

- Zabierzcie ją natychmiast! Wyrzucicie na ulicę!

Tak więc wyniesiono mnie z pałacu za ręce i nogi. Pamiętam tylko tyle, że obrzucałam tych młodych żołnierzy przekleństwami, robiłam im różne erotyczne propozycje, a oni ryczeli ze śmiechu.

- Więc cię wyrzucili?
- Na ulicę. Przed bramę pałacu.
- Masz piekielne szczęście, że nie był to król Bułgarii albo ktoś taki - powiedziałem. - Wrzucono by cię do lochu.
- Wiem.
- Więc wyrzucili cię na ulicę przed pałacem?
- Tak. Byłam oszołomiona. Usiadłam na ławce pod jakimiś drzewami, próbując się pozbierać. Widzisz, Oswaldzie, miałam wielką przewagę nad moimi ofiarami - ja wiedziałam, co mi jest. Wiedziałam, że jestem pod działaniem chruszcza. To strasznie przeżywać to co ja i nie wiedzieć dlaczego. Śmiertelnie bym się bała. Ja jednak byłam w stanie z tym walczyć. Pamiętam, że siedziałam tam i mówiłam sobie w duchu: „Yasmin, do wytrzeźwienia przydałoby ci się kilka mocnych ukłuć szpilką w tyłek”. To mnie rozśmieszyło. A potem, ale bardzo powoli, to okropne erotyczne podniecenie zaczęło opadać, pozbierałam się, wstałam, poszłam ulicą prowadzącą do hotelu i oto jestem. Przepraszam, że wszystko zawałam, naprawdę. To się więcej nie powtórzy.
- Lepiej wynośmy się stąd - powiedziałem. - Wątpię, żeby chcieli nam zaszkodzić, ale kroi na pewno będzie się rozpytywał.
- Z całą pewnością.
- Chyba domyśli się, że mój list jest sfalszowany - ciągnąłem. - Założę się o każde pieniądze, że w tej chwili szuka potwierdzenia swoich domysłów, wpytując o to przez telefon Jerzego Piątego.
- Ja też. Mogę o to założyć - zawtórowała mi Yasmin.
- W takim razie się pośpiesz i spakuj - poleciłem. - Zmykamy natychmiast,



z powrotem pojedziemy przez Szwecję. Wynosimy się stąd.

## 23.

Około połowy kwietnia wróciliśmy przez Szwecję i Danię do kraju, przywożąc spermę ośmiu królów - po pięćdziesiąt porcji każdego z siedmiu monarchów i dwadzieścia wiekowego króla Jugosławii, Piotra. Szkoda, że me wyszło nam w Norwegii. Choć osłabiło to nasze osiągnięcia, wątpię jednak, czy na dłuższą metę to taka istotna różnica.

- A teraz chcę sobie zrobić wakacje - powiedziała Yasmin. - Długie. A zresztą, czyż prawie nie zakończyliśmy dzieła?

- Kolej na Amerykę - przypomniałem.

- W Ameryce nie ma ich wielu.

- Owszem, ale musimy ich mieć. Popłyniemy sobie elegancko „Mauretanią”.

- Najpierw chcę mieć wakacje - odparła Yasmin. - Przrzekłeś mi je. Nigdzie nie pojedę, dopóki przez dłuższy czas porządnie me wypocznę.

- Jak długo?

- Miesiąc.

Po zejściu z duńskiego statku w porcie Harwich pojechaliśmy prosto do Cambridge i właśnie siedzieliśmy sobie popijając w salonie Wędrowniej Twierdzy, gdy zjawił się Woresley, zacierając ręce.

- Moje gratulacje - powiedział. - Świetnie się spisaliście z tymi królami.

- Yasmin chce sobie zrobić miesięczne wakacje - oznajmiłem mu. - Ja natomiast uważam, że powinniśmy pójść za ciosem i najpierw obskoczyć

Amerykę.

Woresley, pykając ze swojej obrzydliwej fajki, spojrział przez chmurę dymu na Yasmin i Dowiedział:

- Zgadzam się z Corneliussem. Najpierw robota, potem wakacje.

- Nie - odparła Yasmin.

- Dlaczego nie? - spytał.

- Bo nie chcę - dlatego!

- No cóż, decyzja należy do ciebie.

- Ja myślę, że do mnie!

- Źle się bawisz? - spytałem.

- To przestaje być zabawne - odparta. - Z początku był to dobry kawał.

Świetny żart. Ale raptem poczułam, że mam tego dość.

- Nie mów tak.

- Już powiedziałam.

- Cholera!

- Obaj, zdaje się, zapominacie, że kiedy chcemy zdobyć spermę jakiegoś cholernego geniusza, to nikt inny tylko właśnie ja idę i staczam z nim bój.

To ja nadstawiam karku.

- Wcale nie karku - sprostowałem.

- Nie sil się na żarty, Oswald – powiedziała z ponurą miną. Woresley milczał.

- Jeżeli teraz zrobisz sobie miesiąc wakacji, to czy zaraz potem pojedziesz ze mną do Ameryki? - spytałem.

- Na pewno spodoba ci się Rudolf Valentino.

- Wątpię. Myślę, że dla mme to już koniec obłapianek.

- Akurat - zawołałem. - To tak, jakbyś umarła.

- Obląpianki to jeszcze nie wszystko.
- Rany boskie, Yasmin! Gadasz jak Bernard Shaw!
- Może wstąpię do klasztoru.
- Ale najpierw pojedziesz do Ameryki?
- Już powiedziałam, że pojedę - odparła.
- Mamy wspaniałą kolekcję, Corneliusie, doprawdy niezwykłą - odezwał się Woresley, wyjmując z ust fajkę. - Kiedy zaczniemy sprzedaż?
- Pośpiech jest niewskazany-powiedziałem. - Uważam, że nie powinniśmy wystawiać na sprzedaż spermy ludzi żyjących.
- Dlaczego?
- Bo wielcy ludzie są bardziej interesujący po śmierci niż za życia. Kiedy umierają, przechodzą do legendy.
- Może masz ranę - zgodził się Woresley.
- Na liście jest sporo staruszków - ciągnąłem. - Większość nie pożyje długo. Założę się, że za pięć, dziesięć lat połowa z nich będzie już w grobie.
- A kiedy to nastąpi, kto zajmie się sprzedażą?
- Ja.
- A dasz sobie radę?
- Posłuchaj - powiedziałem. - Już jako siedemnastoletnie pacholę bez najmniejszych kłopotów sprzedawałem czerwone pigułki francuskiemu ministrowi spraw zagranicznych, tuzinowi ambasadorów i prawie wszystkim grubym rybom w Paryżu. A dopiero co z powodzeniem sprzedałem lady Victorię Nottingham wszystkim prócz jednej koronowanym głowom Europy.
- To moja zasługa. Nie twoja - zaprotestowała Yasmin.

- O, nie, nie twoja - powiedziałem. - Handel szedł dzięki listom króla Jerzego, a to był mój pomysł. Więc chyba nie myślicie serio, że będzie mi trudno opchnąć plemniki geniuszy bogatym babom, co?

- Możliwe - powiedział Woresley.

- A przy okazji, skoro to ja mam zajmować się sprzedażą, powinienem, w takim razie mieć większy udział w zyskach.

- Ej! Dość tego gadania. Oswald! - zawołała Yasmin.

- Zgodziliśmy się, że wszyscy dostają po równo - rzekł Woresley z wrogą miną.

- Spokojnie, ja tylko żartowałem.

- Mam, psiakrew, taką nadzieję - prychnęła Yasmin.

- Właściwie to najwięcej powinien dostać Artur, bo to on odkrył cały proces - powiedziałem.

- Owszem, muszę przyznać, że to bardzo wielkodusznie z twojej strony, Corneliusie - rzekł rozpromieniony Woresley.

- Czterdzieści procent dla odkrywcy, po trzydzieści dla mnie i Yasmin. Zgoda, Yasmin? - spytałem.

- Nie jestem taka pewna - odparła. - Zdrowo się natyrałam. Choć mieć jedną trzecią zysków.

Żadne z nich nie wiedziało, że już bardzo dawno postanowiłem, iż to właśnie ja wezmę lwią część owych zysków. W końcu potrzeby Yasmin zawsze były skromne. Lubiła ładnie się ubrać i smacznie zjeść, ale większych wymagań nie miała. Co do starego Woresleya. wątpiłem, czy wiedziałby, co zrobić z taka forszą, nawet gdyby ją miał. Tytoń fajkowy był na ogół jedynym luksusem, na jaki sobie pozwalał. Za to ja byłem inny. Styl życia, do którego dążyłem, wymagał bezwarunkowo posiadania

wielkiej fortuny. W żaden sposób nie mogłem znieść kiepskiego szampana lub choćby najdrobniejszych niewygód. W moich oczach nawet to, co najlepsze, a rozumiem przez to szczyt doskonałości, było nie dość dobre.

Obliczyłem, że jeżeli dam im po dziesięć procent, a sam wezmę osiemdziesiąt, to i tak powinni być szczęśliwi. Z początku pewnie wrzeszczeliby wniebogłosy, ale kiedy zrozumieliby, że nic nie wskórają, wkrótce by ochłonęli, kontentując się małymi dobrodziejstwami. Podyktować tym dwojgu swoje warunki mogłem tylko w jeden sposób. Musiałem położyć łapę na Spichlerzu Nasienia i wszystkich zamkniętych w nim skarbach, a potem przenieść je do bezpiecznej kryjówki, do której żadne z nich nie miałyby dostępu. Nie byłoby to trudne. Zaraz po powrocie z Yasmin z Ameryki wynająłbym wóz do przeprowadzek.

podjechałbym nim pod Wędrowną Twierdzę w chwili, kiedy nie byłoby tam nikogo, a potem bym zwiózł z cennym kufrem pełnym skarbów.

Żaden problem.

Niektórzy z Państwa pomyślą, że to nieuczciwe zagranie. Nikczemność.

Bzdury, odpowiem na to. W tym świecie człowiek nie dojdzie do niczego, jeżeli nie chwyta wszystkich nadarzających się okazji. O bliźnich zawsze można pomyśleć potem. Przynajmniej ja tak robię.

- A więc kiedy wy dwoje pojedziecie do Ameryki? - spytał Woresley.

Wyjąłem terminarzyk.

- Za miesiąc wypada sobota, piętnastego maja - powiedziałem. - Odpowiada ci ten termin. Yasmin?

- Piętnastego maja - powtórzyła, wyjmując z torebki kalendarzyk. - Nie widzę przeszkód. Spotkam się z tobą tutaj piętnastego. Za cztery tygodnie.

- Jak najszybciej zarezerwuję dla nas na ten termin kabiny na „Maureta-

ni”.

- Doskonale - powiedziała, zaznaczając w kalendarzyku datę.

- No, a potem upolujemy starego Henry’ego Forda, Marconiego. Rudolfa Valentino i resztę naszych Jankesów.

- Nie zapomnij o Alexandrze Grahamie Bellu - rzekł Woresley.

- Dopadniemy wszystkich - zapewniłem. - Po miesięcznym odpoczynku nasza koleżanka będzie się palić do czynu, przekonasz się.

- Mam nadzieję - powiedziała Yasmin. - - Ale teraz naprawdę muszę odpocząć, słowo daje.

- Dokąd się wybierasz?

- Do Szkocji, do mojego stryja.

- Miłego?

- Bardzo. To brat ojca. Łowi łososie.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Zaraz. Pociąg mam za jakąś godzinę. Odwieszysz mnie na stację?

- Naturalnie. Ja też wyjeżdżam do Londynu.

Odwiozłem Yasmin na stację i pomogłem jej wnieść bagaże do poczekalni.

- Do zobaczenia dokładnie za miesiąc - powiedziałem. - W Wędrownej Twierdzy.

- Będę na pewno - przyrzekła.

- Udanych wakacji!

- Tobie też, Oswaldzie. y

Pocałowałem ją na pożegnanie i pojechałem do Londynu. Udałem się prosto do mojego domu na Kensington Square. Byłem w dobrym nastroju.

Wielki plan się ziszczał. Oczyma wyobraźni widziałem siebie za pięć lat.

jak siedzę z jakąś bogatą idiotką, która mówi:

- Bardzo podoba mi się Renoir, panie Cornelius. Tak uwielbiam jego obrazy. Ile on kosztuje?
- Renoir - siedemdziesiąt pięć tysięcy, proszę pani.
- A ile kosztuje król?
- Zależy który.
- Ten tutaj. Ten przystojny brunet, kroi Hiszpanii. Alfons.
- Król Alfons kosztuje czterdzieści tysięcy dolarów.
- Jest tańszy od Renoira?
- Renoir to większa znakomitość, proszę pani. Jego nasienie to ogromna rzadkość. ,
- A co będzie, jeżeli nic z tego nie wyjdzie? Jeżeli nie znajdę w ciąży?
- Nic pani nie zapłaci.
- A kto właściwie dokonałby zapłodnienia?
- Doświadczony ginekolog, proszę pani. Wszystko zaplanowaliśmy z największą starannością.
- I mój mąż nigdy się o tym nie dowie?
- W jaki sposób? Pomyśli, że to jego dziecko.
- Tak chyba pomyśli, prawda? - spytałaby pani zachichotana.
- Na pewno, proszę pani.
- Miło by było mieć dziecko z królem hiszpańskim
- A czy szanowna pani nie rozważała kandydatury króla Bułgarii? To okazja za dwadzieścia tysięcy.
- Nie chcę mieć bułgarskiego dziecka, panie Cornelius, nawet królewskiej krwi.
- Doskonale panią rozumiem.
- A poza tym myślę naturalnie o Puccinim. „Cyganeria” to moja ulubiona

opera. Ile on kosztuje?

- Giacomo Puccini jest za sześćdziesiąt siedem tysięcy pięćset, proszę pani. Gorąco polecam. Dziecko prawie na pewno będzie muzycznym geniuszem.

- Sama grywam trochę na fortepianie.

- To poważnie zwiększa szansę tego dziecka.

- No chyba.

- W zaufaniu zdradzę pani, że pewna dama z Dallas w Teksasie urodziła trzy lata temu dziecko Pucciniego i berbec ten już skomponował swoją pierwszą operę.

- Co pan powie!

- Fantastyczne, prawda?

Z chwilą rozpoczęcia sprzedaży czekał mnie setny ubaw. Teraz jednak miałem przed sobą miesiąc nieróbstwa i samych uciech. Postanowiłem pozostać w Londynie. Poszaleć. Prawie przez całą zimę uganiałem się za królami po Europie, czas więc było oddać się gruntownej rozpuście.

I naprawdę była to rozpusta! Oddałem się hulankom. Przez trzy z czterech tygodni bawiłem się szampańsko (patrz tom III). I wtedy nagle, na początku czwartego tygodnia wakacji, kiedy bawiłem się w najlepsze i grzmociłem londyńskie damy z takim skutkiem, że aż huczało w całym Mayfair, zdarzył się piekielny wypadek, który uciął jak nożem moje praktyki. Był okropny. Straszliwy! Na samą myśl o nim jeszcze dziś przeszywa mnie ostry fizyczny ból.

Niemniej czuję, iż powinienem opisać ten podły epizod w nadziei, że uchroni to innych sportsmenów oci podobnej katastrofy.

Nie zwykłem siadać w wannie z niewłaściwego końca, plecami do kranu.



Niewielu to robi. Jednakże tamtego popołudnia ów drugi, przyjemnie spadzisty koniec wanny zajmowała elegancka szelmutka, obdarzona nadmiarem zainteresowań cielesnych. Dlatego właśnie ją gościłem. Tak się składa, co nie jest bez znaczenia, że była również angielska księżną. Gdybym był o kilka lat starszy. wiedziałbym czego się spodziewać po kobiecie z wyższych sfer i byłbym znacznie ostrożniejszy. Wiek z nich doszło do swoich tytułów usidlając jakiegoś biednego zaślepionego para lub księcia, a żeby odnieść sukces w takiej grze, potrzebne są niezwykła przebiegłość i zakłamanie. Żeby zostać księżną, kobieta musi umieć pierwszorzędnie manipulować mężczyznami. W swoim czasie zetknąłem się z wieloma takimi kobietami i wszystkie były jednakowe. Markizy i hrabiny nie są aż tak bezwzględne, ale niewiele ustępują księżnym. Chcecie z nimi flirtować, proszę bardzo. To pikantne przeżycie. Ale kiedy już to robicie, to na miłość boską, miejcie się na baczności. Nigdy nie wiadomo, po prostu nie da się przewidzieć, kiedy odwrócą się i ugryzą rękę, która je pieści, dlatego tego powiadam: strzeżcie się kobiet z imponującymi tytułami.

No więc, ja i owa księżna baraszkowaliśmy w wannie przez jakąś godzinę, a ponieważ jej się to sprzykrzyło, cisnęła mi w twarz mydło i wyszła z wody. Duży, śliski pocisk ugodził mnie w usta, lecz puściłem ten wybryk płazem, bo nie wybiła mi ani nie rozchwiała zacnego zęba. Prawdę mówiąc, zrobiła to. żeby zamknąć mi usta i zyskać sposobność do ucieczki, co też nastąpiło.

- Wracaj - powiedziałem, chcąc od niej otrzymać dokładkę.

- Muszę iść - odparła. Siała w bezpiecznej odległości ode mnie, wycierając którymś moich dużych kąpielowych ręczników swoje dobrze utrzymane

ciało.

- To dopiero połowa zawodów - błagałem.

- Najgorsze w tobie jest to, Oswaldzie, że nie wiesz, kiedy przerwać - powiedziała. - Kiedyś ktoś straci do ciebie cierpliwość.

- Oziębła jęzda - odparłem na to. Było to głupie odezwanie, które zupełnie nie odpowiadało prawdzie, niemniej wymuskiło mi się.

Wyszła do pokoju obok, żeby się ubrać. Ja dalej siedziałem w wannie, milczący i przegrany. Nie lubię, żeby kto inny o czymś za mnie decydował.

- Do widzenia, kochanie - powiedziała wchodząc do łazienki. Była w ciemnozielonej jedwabnej sukience z krótkimi rękawami.

- No to idź sobie do domu - odparłem naburmuszony. - Wracaj do swojego idiotycznego księcia.

- Przestań gderać - powiedziała.

Podeszła do mnie, pochyliła się i zacięła pod wodą masować mi plecy. Jej ręka ześliznęła się niżej, delikatnie pieszcząc mnie i łaskocząc. Siedziałem spokojnie, rozkoszując się tym i zastanawiając, czy księżna przypadkiem nie zmięknie.

Nie uwierzycie mi, lecz ta mała lisica, udając cały czas, że mnie pieści, cichaczem i z wielką wprawą usuwała zatyczkę z dna wanny. Jak wiecie, po wyjęciu zatycki z wanny napełnionej wodą w otworze odpływowym powstaje niezwykle silne ssanie. A kiedy człowiek siedzi tuż nad nim, tak jak ja w owej chwili to dwa jego najcenniejsze klejnoty nieuchronnie zostają nagle wessane w tę okropną dziurę. Ssanie to z głuchym chlupnięciem mocarnie pochwyciło moją mosznę i wciągnęło ją w wąski otwór. Wrzasnąłem tak, że musiano to słyszeć po drugiej stronie placu

Kensington.

- Do widzenia, kochanie - powtórzyła księżna, wymykając się z łazienki. W ciągu pełnych udręki chwil, które nastąpiły, poznałem dokładnie, co to znaczy wpuść w ręce owych Beduinek, którym rozkosz sprawia pozabawianie mężczyzn męskości tępymi nożami.

- Na pomoc! - wrzasnąłem. - Ratunku!

Tkwiłem jak wbity na pal! Przyklejony do wanny! Trzymany kleszczami przez potężnego kraba.

Miałem wrażenie, że trwa to godziny, lecz wątpię, żebym spędził w tej pozycji dłużej niż dziesięć, piętnaście minut. Ale i tak było to wystarczająco długo. Nie wiem nawet, jak udało mi się wyswobodzić. Jednakże nie wyszedłem z tego bez szwanku. Potężne ssanie to rzecz straszliwa i moje dwa cenne klejnoty rodowe, mające normalnie wielkość renklod, powiększyły się nagle do rozmiaru arbuźów. Bodaj to zacny Geoffrey Chaucer jeszcze w czternastym wieku napisał:

*Gdy damy z tytułami,*

*Uważaj z narządami*

i te nieśmiertelne słowa, wierzcie mi, noszę teraz wryte w sercu. Przez trzy dni chodziłem o kulach i przez Bóg wie ile czasu poruszałem się jak ktoś, kto między nogami trzyma jeźozwierza.

Tak okaleczony, pojechałem piętnastego maja do Cambridge na umówione spotkanie z Yasmin w Wędrowniej Twierdzy. Kiedy wysiadłem z samochodu i pokuśtykałem do drzwi, mój nabiał wciąż mnie straszliwie piekł i pulsował w rytmie kastanietów. Zdawałem sobie sprawę, że Yasmin na pewno będzie chciała wiedzieć, co mi się przytrafiło. Woresley również. Miałem powiedzieć im prawdę? Gdybym to zrobił, ona padłaby,

tarzając się ze śmiechu, i już słyszałem Woresleya, mówiącego głupio i pompatycznie:

- Za bardzo poświęcasz się zmysłom, drogi Corneliusie. Nikt nie może bezkarnie hulać tak jak ty, nie zapłaciwszy słonej ceny.

Wątpiłem, czy mógłbym znieść coś takiego w tamtej chwili, dlatego postanowiłem powiedzieć im, że naciągnąłem sobie ścięgno w udzie. Że stało się to, kiedy pomagałem podnieść się starszej pani, która potknęła się i wywalila na chodnik przed moim domem. Wniosłem ją do środka i doglądałem aż do przyjazdu ambulansu, lecz było to dla mnie odrobinę za wiele itede, itede. To ich powinno przekonać.

Stałem na małym ganku przed drzwiami wejściowymi Wędrownej Twierdzy i sięgnąłem do kieszeni po klucze. A wówczas spostrzegłem na drzwiach przypiętą kopertę. Ktoś przytwierdził ją pinezką. Głupio zrobił. Nie mogąc wyciągnąć pinezki, oderwałem kopertę. Nie była zaadresowana, więc ją otworzyłem. To głupota nie adresować koperty. Czy była przeznaczona dla mnie? Tak.

*Drogi Oswaldzie - przeczytałem. - Artur i ja pobraliśmy się w zeszłym tygodniu...*

Artur? - pomyślałem. - Co za Artur?

*Wyjechaliśmy daleko i mam nadzieję, że nie zmartwisz się za bardzo tym, że zabraliśmy ze sobą Spichlerz Nasienia, a przynajmniej wszystko co w nim było, z wyjątkiem spermy Proust a...*

Rany boskie! - pomyślałem. - Ten Artur to na pewno Woresley! Artur Woresley!

*Tak. Prousta zostawiamy tobie. Zresztą ten mały świntuch wcale mi się nie podobał. Wszystkie jego pięćdziesiąt porcji znajdziesz bezpiecznie*

*schowane w piwnicy w pojemniku podróżnym, a jego oświadczenie leży na biurku. Resztę oświadczeń, całych i zdrowych, mamy ze sobą...*

Wirowało mi w głowie. Nie byłem w stanie czytać dalej. Otworzyłem kluczem drzwi, na chwiejących się nogach wszedłem do środka i odszukałem butelkę whisky. Nalałem sobie szklankę i wypilem duszkiem. *Jeżeli wszystko spokojnie rozważysz, to na pewno przyznasz, że naprawdę nie robimy ci świństwa. Powiem ci dlaczego. Artur mówi...*

Guzik mnie obchodziło, co mówi Artur. Ukradli mi cenną spermę! Wartą miliony! Gotów byłem iść o zakład, że to ten mały podlec Woresley namówił do tego Yasmin.

*Artur mówi. że w końcu to on odkrył cały proces, no nie? I to ja odwalilam całą czarną robotę, żeby zebrać towar. Artur przesyła ci najlepsze pozdrowienia.*

*Pa, pa*

*Yasmin*

*Woresley.*

To był cios! Dokładnie poniżej pasa. Zatkano mnie.

Obiegnęłam dom, rycząc w dzikim szale. W żołądku mi się gotowało, a z nozdrzy na pewno buchała para. Gdyby w środku był jakiś pies, skopałbym go na śmierć. Zamiast niego skopałam meble. Roztrzaskałam sporo ładnych, dużych przedmiotów, po czym zacząłem brać mniejsze, w tym szklany przycisk do papieru z wytwórni w Baccarat i etruską wazę, rzucając je w okna, krzycząc wniebogłosy i patrząc, jak lecą szyby.

Jednakże po mniej więcej godzinie zacząłem się uspokajać i wreszcie opadłem na fotel, z dużą szklanką whisky w ręku.

Być może wywnioskowaliście już Państwo, że jestem odporny na porażki. Wybucham, gdy mnie zdenerwują, ale potem nigdy nie rozpamiętuję klęsk. Wyrzucam je z pamięci. Zawsze jest przecież następny dzień. Co więcej, nic tak nie pobudza mnie do myślenia, jak ogromna katastrofa. Po niej, gdy zalega śmiertelna cisza i absolutny spokój, które zwykle następują po burzy, mój umysł ożywia się nadzwyczajnie, kiedy tak siedziałem popijając whisky tego okropnego wieczoru w spustoszonej Wędrownej Twierdzy, już wtedy zacząłem dumać i snuć plany na przyszłość.

A więc stało się, powiedziałem sobie. Wykołowali cię Wszystko skończone. Trzeba zaczynać od nowa. Wprawdzie masz Prousta i w przyszłości dobrze wyjdiesz na tych pięćdziesięciu porcjach (nie myślcie Państwo, że tak się nie stało), ale nie uczynią cię one milionerem. Więc co dalej?

I właśnie w tejże chwili poczęło się kłuć w mojej głowie wielkie i wspaniałe rozwiązanie. Siedziałem całkiem spokojnie, pozwalając temu pomysłowi zapuścić korzenie i podrosnąć. Był natchniony. Piękny w swojej prostocie. Nie mógł się nie powieść. Musiał przynieść milion. Czemu nie wpadłem na niego wcześniej?!

Przyrzekłem na początku tego pamiętnika, że opowiem, jak stałem się bogaczem. Tymczasem zająłem Państwu mnóstwo czasu opowieścią, jak mi się to nie udało. Pozwólcie zatem, że wynagrodzę Wam stracony czas i opiszę w kilku akapitach, jak w końcu zostałem prawdziwym multimilionerem. Ów wspaniały pomysł, który nagle przeszedł mi do głowy w Wędrownej Twierdzy, wygląda następująco:

Natychmiast wracam do Sudanu Przeprowadzam pertraktacje ze skorum-

powanymi urzędnikami państwowymi w sprawie wydzierżawienia cennego terenu, na którym rośnie drzewo haszabowe i rozmnażają się sudańskie chrząszcze. Uzyskuję wyłączne prawa do ich odłowu. Zbieram wszystkich miejscowych łowców żuków i tworzę z nich zorganizowany oddział. Płacę im hojnie i znacznie więcej, niż dostają obecnie, sprzedając złowione chrząszcze na wolnym rynku. Pracują wyłącznie dla mnie. Kłusownicy zostają zlikwidowani bez litości. Praktycznie zdobywam monopol na majkę sadańską. Po załatwieniu tego wszystkiego i zapewnieniu sobie dużych, stałych dostaw buduję w Chartumie małą wytwórnię, tam przerabiam owady i produkuję masowo słynne pigułki profesora Jusupoffa na potencję. Pakuję je w tej wytwórni. Organizuję małą tajną ekipę sekretnej sprzedaży, z placówkami w Paryżu, Londynie, Nowym Jorku, Amsterdamie i innych miastach na całym świecie.

W duchu powiedziałem sobie: skoro siedemnastoletni smarkacz zdołał sam jeden zarobić w Paryżu w ciągu roku sto tysięcy funtów, pomyśl tylko, czego możesz dokonać w skali całego świata.

I wszystko potoczyło się, przyjaciele, prawie tak, jak przewidziałem. Wróciłem do Sudanu. Przebywałem tam nieco ponad dwa lata i nie będę przed Wami ukrywał, że chociaż dowiedziałem się wiele o sudańskim chrząszczu, to dowiedziałem się także pani rzeczy o paniach zamieszkujących tamte strony. Tamtejsze szczepy boczyły się na siebie i rzadko ze sobą obcowały. Ja jednakże obcowałem z nimi jak najbardziej - z Nubijkami, Hasariankami, Beggarkami, Sziluczками, Szukriami i osobliwie jasnoskórymi Niam-Niāmkami, które zamieszkują na zachód od Białego Nilu. Zwłaszcza zasmakowałem w Nubijkach i nie zdziwiłbym się, gdyby to właśnie stąd wzięło się słowo „nubile” - „dojrzały”.

Pod koniec roku 1923 mała fabryczka pracowała na pełnych obrotach, wytwarzając tysiąc pigułek dziennie.

Do 1925 roku umieściłem swoich agentów w ośmiu miastach. Dobrałem ich starannie. Wszyscy bez wyjątku byli emerytowanymi generałami. Generałowie bez zatrudnienia to powszechne zjawisko w każdym kraju, i są oni, jak odkryłem, stworzeni do tej roboty. Kompetentni. Pozbawieni skrupułów. Odważni. Niezbyt wysoko cenią sobie ludzkie życie. A ponadto są za mało inteligentni, żeby mnie oszukać i nie dać się na tym złapać.

Było to bajecznie intratne przedsięwzięcie. Przyniosło astronomiczne zyski. Ale po kilku latach znudziło mi się zawiadywanie tak wielką operacją i oddałem jej prowadzenie w ręce greckiego syndykatu w zamian za połowę zysków ze sprzedaży. Grecy byli szczęśliwi, ja byłem szczęśliwy i szczęśliwe były setki tysięcy klientów.

Jestem naprawdę dumny ze swojego wkładu w szczęśliwość rasy ludzkiej. Niewielu ludzi interesu, a na pewno bardzo mało milionerów może powiedzieć o sobie z czystym sumieniem, że wzbogacili się na rozpowszechnieniu wśród swojej klienteli przeżyć tak ekstatycznych i radosnych. Bardzo mnie cieszy odkrycie, że przesadzono z opinią na temat szkodliwości *Cantharis vesicatoria* sudanii dla ludzkiego zdrowia. Z moich zapisków wynika, że najwyżej pięćdziesięciu, sześćdziesięciu z tych, którzy zażyli chrząszcza, cierpi na poważniejsze przypadłości wskutek łyknięcia tej cudownej substancji. Umiera bardzo niewielu.

I jeszcze jedno. W 1935 roku, mniej więcej piętnaście lat później, jadłem śniadanie w moim paryskim domu i czytałem poranną gazetę, kiedy mój wzrok padł i zatrzymał się na następującej wiadomości w rubryce plotek



(jest to tłumaczenie i francuskiego):

*La Muison Dor na przylądku Ferrat, największa i najbardziej luksusowa posiadłość na Lazurowym Wybrzeżu, zmieniła ostatnio właściciela. Zakupiło ją angielskie małżeństwo, profesor Artur Woresley i jego piękna żona Yasmin. Woresleyowie przybyli do Francji z Buenos Aires, gdzie mieszkali przez wiele lat. Serdecznie ich witamy. Przydadzą świetnego blasku wspaniałemu życiu towarzyskiemu Riwiery. Zakupili oni nie tylko La Maison D 'or, ale dostarczono im właśnie równie wspaniały pełnomorski jacht, który jest solą w oku dla wszystkich śródziemnomorskich milionerów. Jego załoga liczy osiemnastu ludzi, a kabiny mieszczą dziesięć osób. Woresleyowie nazwali swój jacht „Plemnik”. Kiedy spytałem panią Woresley, czemu wybrali to dość niezwykle imię, roześmiała się i odparła: „Och, czy ja wiem. Chyba dlatego, że plemnik to nowe życie”.*

Niezwykła dziewczyna z tej Yasmin. To jej muszę przyznać. Chociaż nie pojmuję, co mogła zobaczyć w starym Woresleyu z tym jego profesorskim zadęciem i przyżółconymi nikotyną wąsami. Mówią, że dobrego człowieka trudno znaleźć. Może Woresley to jeden z nich. Ale komu, u licha, potrzebny jest dobry mężczyzna? Komu, jeśli już o tym mówimy, potrzebna jest dobra kobieta?

Nie mnie.